

D ERICH VON DÄNIKEN

Dzień, w którym przybyli bogowie



WYDAWNICTWO PROKOP

DZIEŃ, W KTÓRYM PRZYBYLI BOGOWIE

I. Cudowna podróż w epokę kamienną

Dwie rzeczy nie mają granic: wszechświat i ludzka głupota

Albert Einstein (1879-1955)

Już pierwszego wieczora w Gwatemali zdarzyło się coś, czego nie lubię, kiedy mam zamiar nie nagabywany pomyszkować sobie w jakimś kraju. W hallu hotelu "El Dorado" usłyszałem, że ktoś wywołuje moje nazwisko - trzeci program telewizji prosił mnie o wywiad.

W Gwatemali byłem przed pięciu laty. Od tamtej pory stolica tego kraju przeżyła wielki rozwój. O ile jednak dumna sylwetka centrum pełnego rozmigotanych reklam prawie się nie zmieniła, o tyle pozostała część sześćsettyśięczonego miasta leżącego 1493 m n.p.m. między wulkanami Agua a Fuego, tętni nowym życiem. Republika Gwatemali nie chce być ciągle krajem rozwijającym się, pragnie wyjść z izolacji, w jakiej znalazły się mniejsze narody. Rozbudzone ambicje odczuwa się tu na każdym kroku. Około 60 % ludności stanowią Indianie, 25% Metysi reszta - to biali, z których większość mieszka tu od pokoleń.

Miasto Gwatemala będzie dla nas w najbliższych dniach bazą wypadową wypraw do starożytnych siedlisk Majów, pierwszym celem zaś Tikal. Samolotem towarzystwa lotniczego "Aviateca" lecimy nazajutrz w południe do Flores nad jeziorem Peten Itzá. W nowym budynku dworca lotniczego wita nas potworna duchota. Pod eternitowym dachem hali przypominającej hangar żar jak w piecu. Nie znaleźliśmy samochodu terenowego, wynająłem więc półciężarówkę datsuna. Powiedziano mi też, że droga do Tikal jest w doskonałym stanie.

Byłem przyzwyczajony do informacji tego rodzaju. Z każdym przejechanym kilometrem oczekiwałem więc niespodziewanego końca równiutkiej wstęgi asfaltu - nic takiego się jednak nie stało. Jak nam obiecywano, jechaliśmy dobrą drogą, mijając fincas, ogromne majątki ziemskie z plantacjami kawy i kukurydzy. Aż do Tikal sześćdziesięciokilometrowa droga była równa jak stół. Gdyby ulewne tropikalne deszcze nie ograniczały widoczności, przybylibyśmy na miejsce już po godzinie jazdy. A tak dopiero o późnym zmierzchu dotarliśmy do szlabanu zamykającego wjazd do Archeologicznego Parku Narodowego Tikal.

Ralf, chemik in spe a zarazem mój towarzysz podróży, podobnie jak ja wypatrywał hotelu "Jungle Lodge", w którym spędziłem kilka dni przed siedemnastu laty. Przy drodze znajdowały się wówczas tablice informacyjne. Teraz nie było żadnej.

- Señores. - zawołałem w kierunku trzech Indian siedzących na ziemi. - Gdzie jest "Jungle Lodge" ?

Spojrzeli na mnie tępo. Czy mój hiszpański był aż tak niezrozumiały, a może oni znali tylko jeden z szesnastu indiańskich dialektów, którymi po dziś dzień mówi się w Gwatemali? Dodałem gazu.

Granatowe chmury deszczowe sprawiły, że zmierzch zapadł szybciej niż zazwyczaj. Gdzeniegdzie jaśniały prostokąty niewielkich okien rozświetlonych słabymi żarówkami, przed ubogimi chatami dymiły pochodnie. Po chwili poczuliśmy swojski zapach węgla drzewnego. Nagle datsun zaczął

podskakiwać na wybojach, skręciłem więc w kierunku światła widocznego między dwoma olbrzymimi puchowcami.

[Puchowiec (Ceibapentandra) - drzewo, z którego jajowatych owoców o długości do 15 cm wydobywa się wełnisty puch, stosowany jako materiał tapicerski oraz wypełnienie kamizelek ratunkowych (kapoków).]

Pod okapem drewnianej chaty jakiś starzec palił fajkę. Wcale nie przeszkadzał mu deszcz, który zaczynał właśnie bębnić po dachu naszego samochodu zamieniając zarazem drogę w grzęzawisko.

- Przepraszam - zapytałem najpierw po hiszpańsku, a potem po angielsku. - Jak dojechać do "Jungle Lodge"? - Starzec pokręcił głową, ale nie była to chyba odpowiedź. Nagle przypomniało mi się, że hotel stał na niewielkim wzgórzu.

Droga, którą jechaliśmy, zamieniła się w potok.

- Ta woda płynie z góry - rzucił Ralf z humorem. Skręciłem w łożysko strumienia i ruszyłem pod prąd. Datsun jęczał podskakując na korzeniach i głązach. Wreszcie reflektory prześliznęły się po zniszczonej drewnianej tablicy, na której widniał czerwony napis: JUNGLE LODGE. Samochód kołysał się sunąc wśród drzew i krzaków. Gdzieś tu znajduje się zapewne budynek hotelu i bungalowy.

Zatrzymałem wóz, zgasilem reflektory. Kiedy oczy przyzwyczały się nam do ciemności, ujrzelśmy nie oświetlony, wydłużony budynek, pokryty dachem z liści palmowych i łyka. Ze środka dobiegały męskie głosy. Wszystko było nieco niesamowite. Zawołałem Halo, a zaraz potem: "Buenos tardes!"

Usłyszeliśmy kroki. Za drzwiami ktoś zapalił zapalniczkę, po chwili zajaśniało światło. Roztańczony płomień oślepił padając nam prosto w twarz. Trzymający świecę człowiek o posturze zapaśnika wagi ciężkiej spojrzał na mnie przyjaźnie.

- Bienvenidos! Señor von Däniken? - Przez dłuższą chwilę olbrzym przyglądał mi się badawczo. - Bienvenidos, don Eric! - powiedział w końcu niskim i jakby melancholijnym głosem. Rozbłysła latarka.

Ujrzałem pocziwą twarz o długim, wąskim nosie. Mężczyzna miał koło pięćdziesiątki, był ubrany w brązową bawełnianą koszulę w żółtą kratę i o wiele za ciasne zielone spodnie ze sztruksu, nie prane od niepamiętnych czasów.

- Skąd pan mnie zna?

Olbrzym przedstawił się pod okapem, po którym z szumem spływały potoki deszczu:

- Jestem Julio Chaves. Proszę mi mówić Julio. - Wymawiał "j"

jako twarde, gardłowe "h". - Czy mogę do pana mówić don Eric?

- Proszę mi mówić Erich! - zgodziłem się, lecz nadal mówił do mnie "Don Eric". W kilku słowach wyjaśnił, że jest Gwatemalczykiem ale pochodzi z Europy i jest inżynierem budownictwa, że archeologiczna pasja kazała mu przez wiele lat studiować historię Tikal i innych ośrodków kultowych Majów, że przeczytał wszystkie hiszpańskie wydania moich książek, zna zamieszczone w nich zdjęcia i widział mnie wczoraj w telewizji.

- Dlaczego nigdzie nie pali się światło?

- Ze względu na moskity. - Olbrzym z rezygnacją opuścił ręce, kiedy jednak brązowawy owad wielkości chrabaszca wkręcił mi się we włosy, Julio bez wahania palnął mnie swoją wielką łapą.

- Pardon! - powiedział i pstryknawszy palcami cisnął martwego owada w deszcz, a potem szerokim gestem zaprosił nas do środka. Jeden z trzech obecnych tam mężczyzn zapalił natychmiast przedpotopową latarnię.

- Gdzie są goście hotelu? - zacząłem się dopytywać patrząc na resztki minionej świetności

pomieszczenia.

- Poza nami nie ma nikogo. Ludzie nocują tu tylko w ostateczności

- powiedział Julio.

Kiedy byłem tu ostatni raz, hotel "Jungle Lodge" był jeszcze nowy.

Mieszkali w nim archeolodzy, studenci, turyści. Od kiedy jednak asfaltowa szosa połączyła Tikal z Flores, turyści wołają eleganckie hotele w mieście. Archeolodzy natomiast już się tu nie pojawiają, bo prac wykopaliskowych w Tikal prawie się nie prowadzi. Hotele, nie mające klientów, podupadają jeszcze prędzej, niż je budowano. W tropikalnej dżungli zab czas daje znać o sobie znacznie szybciej niż gdzie indziej. Moskitiery w oknach są dziurawe, materace i pościel wilgotne, za to z pryszniców woda ledwie kapie.

Razem z Juliem i pozostałymi mężczyznami siedzieliśmy w "jadalni" wokół świecy. Nagle na dworze coś zaczęło warczeć - uruchomiono prądnicę. Po chwili rozjarzyły się gołe żarówki.

Dekoracja, jaka zainspirowałaby Hitchcocka do napisania sceny dramatycznego morderstwa! Półmrok. Przy stole sześciu zmęczonych mężczyzn - trzech o twarzach pokrytych nieświeżym zarostem podają sobie po kolei butelkę rumu. Na ścianie za ladą wiszą zardzewiałe klucze do pokoi i zblakły kalendarz sprzed trzech lat wydany przez jakąś firmę ubezpieczeniową. Wielkie pożółkłe prześcieradło, na którym widać jakby odbicie steli Majów, dzieli długie pomieszczenie na dwie części. Poza tym stoi tu jeszcze wiele stołów pomalowanych na brązowo.

Dziury między dachem a ścianami zapewniają stały dopływ świeżego powietrza i ułatwiają bezustanne wizyty wszelkiego latającego robactwa. Słychać brzęczenie moskitów, które tak długo obmacują czułkami ściany, podłogę i stoły, aż trafią w końcu z satysfakcją na ludzkie ciało. Indiańska dziewczyna - gdzie ukrywała się dotąd? - podaje nam sznycle wołowe z nie omaszczonym ryżem. Wyglodniali rzucamy się na jedzenie. Dobra psu i mucha! (Któregoś dnia zaszedłem do kuchni i zrobiło mi się niedobrze. Na stole leżały kawałki mięsa, owoce i jarzyny, na których roiło się od much i mrówek. Garnki i patelnie były pokryte zakrzepłym starym tłuszczem. Przez następne cztery dni żywiliśmy się wyłącznie orzeszkami z puszki i coca-colą.)

Julio i brodacze zanieśli nasze bagaże do bungalowu nr 3. Umówiliśmy się na dziewiątą rano - o wiele za późno, bo o śnie i tak nie było co marzyć. Ze zmęczenia można się było wprawdzie jakoś przyzwyczać do ciasnego łóżka pokrytego pleśnią, ale z moskitami nie dało się znaleźć żadnej płaszczyzny porozumienia. Szparę pod drzwiami i dziury w siatkach umieszczonych w oknach pozaklejałem wrzawdzie plastrem, którego wielkie rolki zawsze wożę ze sobą, ale wobec pluskw i innych pasożytów byliśmy bezradni - gryzły nas bez przerwy w łydki, uda i co szlachetniejsze części ciała. Znalazły chyba szczególne upodobanie w szwajcarskiej krwi. Założyliśmy dzinsy i obwiązaliśmy nogawki w kostkach sznurowadłami. Ale nie spaliśmy nadal, bo na dworze odzywały się jakieś zwierzęta. Ustawiczne "uuurch, uuurch, uuurch aż do bólu wwiercało się w uszy. O siatki w oknach obijały się chrabąszcze. Czy w ogóle udało nam się zasnąć? Jeśli tak, to zapadaliśmy w sen tylko na krótkie chwile - pod narkozą zmęczenia. O pierwszym brzasku wstaliśmy, zjedliśmy trochę orzeszków z puszki, a potem obolali powlekliśmy się do datsuna - na pierwszym biegu, podskakując na wybojach koryta wczorajszej rzeki, która dziś na powrót przeobraziła się w drogę, pojechaliśmy do Tikal.

Tikal, najstarsze miasto Niziny Maya

O brzasku Tikal sprawiało wrażenie miasta duchów. Szare welony mgły wznoszące się nad akropolem otulały szczyty piramid. Spod stóp uciekały nam jaszczurki. W zaroślach hałasował

grzechotnik - przepłoszyliśmy go jednak rzucając kamieniami.

Tikal jest najstarszym miastem Majów - znaleziska świadczą, że istniało już w VIII w. prz. Chr. Starożytny Rzym założono podobno w 753 r. prz. Chr. Wprawdzie rozkwit Tikal przypada wprawdzie na ten sam okres, lecz ekspansja tej zdumiewającej struktury urbanistycznej wymyka się wszelkim porównaniom z innymi wielkimi miastami tamtej epoki.

Obszar, uznany przez rząd Gwatemali za Archeologiczny Park Narodowy, obejmuje 576 km². Znajduje się tu ogromne skupisko ruin

- w większości pokrytych bujną roślinnością - świadczących, że niegdyś stały tu "nowoczesne" wówczas budowle. W "city", strefie obejmującej około 16 km², zlokalizowano mniej więcej trzy tysiące zabytków, z których część już odkopano. Są to domy mieszkalne i pałace, rezydencje władców, tarasy, platformy, piramidy oraz ołtarze

- łączą je ulice o kamiennej nawierzchni, przy których znajdują się wielkie place do obrzędowej gry w piłkę. Lotnicze zdjęcia radarowe wykazały również istnienie podziemnej sieci kanalizacyjnej - systemu irygacyjnego rozciągającego się na cały Jukatan. Infrastruktura wodociągowa była również niezbędna jak ogromne, planowo rozmieszczone zbiorniki wodne, z których siedem odkryto w strefie wewnętrznej, trzy zaś w zewnętrznej - Tikal nie leży ani nad rzeką, ani nad jeziorem. Ludność tego miasta w okresie narodzin Chrystusa eksperci oceniają dziś na około 50-90 tys., a jest to liczba, którą - jeśli weźmie się pod uwagę wielkość metropolii - w trakcie odkopywania dalszych znalezisk trzeba będzie zapewne skorygować w górę.

- Proszę mi powiedzieć, don Eric, dlaczego Tikal zbudowano właśnie tu, w sercu dżungli, nie zaś nad brzegami jeziora Peten Itza, odległego zaledwie o czterdzieści kilometrów? Dlaczego właśnie tu?

- Don Eric nie wie.

- Może przez przypadek... - odparłem, żeby spoconemu olbrzymowi dać choćby namiastkę odpowiedzi. Brązowym grzbietem dłoni Julio zaczął nerwowo trzeć czoło złane potem.

- Bzdura! Tu nie ma mowy o żadnym przypadku! Tikal to matematyczno-astronomiczne monstrum... - Julio zaczynał się robić gadatliwy. Wyniosłe wskazał na siedemdziesięciometrową piramidę leżącą z prawej. - Oto świątynia IV! - Potem wskazał na lewo, gdzie stała piramida "tylko" czterdziestometrowa. - Oto świątynia I. Jeśli przeciągnie pan linię prostą między środkiem świątyni I a środkiem świątyni IV, to 13 sierpnia linia ta wskaże dokładnie azymut Słońca

[Azymut - kąt zawarty między południkiem miejscowym a południkiem przechodzącym przez obserwowane ciało niebieskie, mierzy się go od południa na zachód, północ i wschód.]

o zachodzie. Przed nami widać świątynię III. Linia prosta łącząca świątynię I z III wskazuje dzień równonocy, kolejna prosta, między III

a IV, wschód Słońca pierwszego dnia zimy. I co pan na to, don Eric!

Don Eric milczał, ale Julio spostrzegł jego sceptyczne spojrzenie. - Świątynia V, ta z tyłu, leży dokładnie na wierzchołku kąta prostego, którego ramiona biegną do świątyni I i IV! - Spojrzał na mnie z radością.

- No i co z tego? Istnieje znacznie więcej budowli, które tworzą ze sobą kąt prosty. Cóż w tym dziwnego?

Julio zbliżył się do mnie prawie groźnie.

- Ma pan kompas?

Nosiłem go w torbie z aparatami fotograficznymi. Po chwili przyrząd spoczął w wielkim łapsku Julia, który poprosił, żebym spojrzał na czerwoną igłę, która jak zawsze wskazywała północ.

- Czy mógłby pan wskazać piramidę, której przekątne leżą na linii północ-południe lub wschód-

zachód? - spytał.

Przeniosłem wzrok z kompasu na piramidy.

- Nie - powiedziałem.

Julio uśmiechnął się z wyższością.

- Dobrze. Wejdzmy na szczyt świątyni I!

Zarzuciliśmy aparaty fotograficzne na ramię i ruszyliśmy posłusznie za naszym olbrzymem. Julio zdążył zżawo w kierunku schodów świątyni - od lat zdarzało mu się wiele razy wchodzić na nią z kompasem i przyrządami mierniczymi, dla nas jednak była to wspinaczka ryzykowna. Stopnie sięgały do kolan, a na dobitkę były tak strome, że wejście przypominało mi wspinaczkę w skałach naszych szwajcarskich gór. W dole leżała Plaza - porośnięta trawą, otoczona piramidami i świątyniami. Pięcioro wczesnych turystów, otulonych w kolorowe peleryny, wyglądało jak pięć pracowitych mrówek którym leniwa królowa dała rozkaz obfotografowania wszystkich stel, owych kamiennych przedmiotów, których pierwotne znaczenie pozostaje do dziś kwestią sporną.

Bez tchu stanęliśmy na szczycie, na najwyższej platformie piramidy, nazywanej przez archeologów świątynią I.

Nawet na górze było jak w pralni. Po chwili usłyszeliśmy magiczne brzęczenie i otoczyły nas roje moskitów. Piątka turystów spojrzała ku nam. Jeden z nich zawołał:

- How is it up there?

- Głupie pytanie - mruknął Ralf. - Prawie jak na Matterhornie!

- odkrzyknął po chwili trzymając się stalowego łańcucha przymocowanego na wszelki wypadek do kamieni. - Kto stąd spadnie, nie wstanie chyba o własnych siłach, prawda, don Julio?

- Będzie trochę połamany - odrzekł Julio ze znużeniem. - Dużo gorzej spaść z siedemdziesięciometrowej świątyni IV. Zeszłego roku zabiło się tam dwóch turystów i jeden przewodnik.

- Matteredhorn załatwia czterech alpinistów rocznie - Ralf upierał się przy danych krajowych.

- W trampkach - dorzuciłem, bo myślałem właśnie, że o wiele łatwiej byłoby się tu wspinać w czymś takim.

Julio znów zabrał głos:

- Don Eric, niech pan spojrzy w stronę świątyni V! Czy tworzy kąt prosty ze świątynią I, czy z IV?

Staliśmy na szczycie świątyni I. Rzuciłem okiem na schody i ściany, spojrzałem ku świątyni V, potem ku bardziej oddalonej świątyni IV. Kompas potwierdzał to, co widziałem: świątynia IV, I i V tworzyły trójkąt prostokątny. Ale co w tym dziwnego? Dlaczego nie miałyby to być przypadek? Powiedziałem to na głos.

- Nie o to chodzi - pouczył mnie Julio. - Zauważył pan, że ani jedna ze świątyń nie jest zorientowana zgodnie ze stronami świata. Przed chwilą przyznał pan, że świątynia IV, I i V tworzą trójkąt prostokątny. Ale w jakim kierunku odchodzą od osi północ-południe ramiona tego trójkąta prowadzące do świątyni V i I?

Rozbawiony oddał mi kompas. Spojrzałem na świątynię V.

- Tak na oko 15 do 17 stopni na północny wschód - odparłem niezdecydowanie - może ten stary kompas nie jest za dokładny...

- Dokładnie siedemnaście stopni! - tryumfował Julio Chaves, inżynier, który musiał to wiedzieć na pewno. - Mówię panu, że nic nie jest tu przypadkowe!

Nic nie rozumiałem. Co ma znaczyć ta bzdura z siedemnastoma stopniami odchylenia na północny wschód?

- Don Eric! - Julio mówił teraz spokojnie i stanowczo. Podniosłem wzrok ku jego twarzy. - Tula.

Chichen-Itza. Mayapan. Teotihuacan... To tylko kilka słynnych miast Majów, które można znaleźć w każdym przewodniku. W każdym z tych miast osie budynków odchylają się o siedemnaście stopni na północny wschód. Przypadek?

Po tej zaskakującej wypowiedzi Julio zrobił pauzę, jakiej nie zainscenizowałby lepiej żaden reżyser. Powoli zaczęła do mnie docierać niesamowitość tej informacji. Julio chciał dowieść, że ośrodki kultowe Mezoameryki zbudowano według planu, określającego szczegółowo [Obszar na którym rozwijały się niegdyś wysokie kultury Majów - w odróżnieniu od północnego Meksyku i południowych rejonów Ameryki Środkowej od Nikaragui po Panamę, należących raczej do tradycji południowoamerykańskiej albo kręgu karaibskiego.] zorientowanie budowli. Miejscowości, wymienione przez Julia, zbudowano w różnych okresach, ich inwestorzy jednak oraz architekci byli zawsze posłuszni jakimś tajemniczym, nieubłaganym przykazaniom. Dziwne.

Monumentalne relikwie

Za jedyny pewnik można uznać tylko, że budowniczowie wzniesli te wszystkie świątynie i piramidy nie po to, aby służyły za obiekt fotografii dla turystów XX wieku. Reszta jest wyłącznie przypuszczeniem bądź czystą spekulacją.

Od samego początku świątynie i piramidy stały tam, gdzie znajdują się dziś ich ruiny. Nie ulega wątpliwości, że nim rozpoczęto karczowanie dżungli w tych miejscach - nie przypadkowych! - planiści Tikal dobrze przemyśleli wybór placu budowy. Ale najpierw inwestor musiał zdecydować, gdzie stanie dana budowla. Wznoszony budynek musiał potem czemuś służyć.

Tikal było zapewne strukturą urbanistyczną o szczególnym znaczeniu. Wykopaliska wykazały, że niektóre "nowe budowle" postawiono na fundamentach starszych - w trakcie stuleci wykorzystywano drogocenny grunt tak, jak postępuje się obecnie na Manhattanie, burząc stare drapacze chmur i stawiając na ich miejsce nowe. Dlaczego? Bo kiedyś centrum Manhattanu zostało raz na zawsze podzielone na kwadratowe działki.

Centrum Tikal musiało być ruzplanowane w quasi-księdze wieczystej. Wyjątki dotyczyły co najwyżej piramid: wzniesiono je na ziemi dziewiczej, stały tu od samego początku, udało im się nawet przetrwać upadek kwitnącej stolicy Majów.

Piramidy miały jakieś pierwotne znaczenie. Tylko jakie? Jak dotąd nie osiągnięto porozumienia na temat prawdziwego przeznaczenia tych kamiennych olbrzymów.

Czy były to obserwatoria? Dlaczego zgromadzono ich tyle w jednym miejscu?

A może były to groby? Gdziejegdzie w piramidach znaleziono grobowce, powinny jednak istnieć również godne i wspaniałe mauzolea, które budowano - nawet dla królów i kapłanów - nieco mniejszym kosztem. Gdyby były to miejsca pochówku, wówczas należałoby oczekiwać, że komory grobowe będą się znajdować w każdej piramidzie.

A może wzniesiono je dla szkół różnych kierunków myślowych?

Hipoteza tak nieprawdopodobna, że trzeba ją od razu wykluczyć. Gdzie wykładaliby docenci, gdzie uczyliby się studenci? Na górze zmieści się tylko kilku ludzi.

Czy te masywne, wysokie kamienne budowle były miejscami ofiarnymi, na których kapłani w ponurym rytuale wydzierali niewolnikom serca z piersi i ofiarowywali je bogom słońca? Gdy w Tikal powstawały piramidy, nie składano tam jeszcze ofiar z ludzi, które - jak twierdzą świadectwa - rozpowszechniły się dopiero od początku naszej ery.

A jeśli nawet, to przecież nie trzeba do tego tak wielu miejsc ofiarnych jak w Tikal. Archeolodzy z

Uniwersytetu Stanowego Pensylwania, którzy prowadzili tu prace wykopaliskowe, znaleźli w strefie centralnej ponad 60 piramid różnej wielkości oraz ich ruin - aż po siedemdziesięciometrową piramidę Świątyni.

Czy piramidy były pomnikami rodzin panujących? Czy różnice w wielkości były wyrazem znaczenia i siły tych rodzin? Przypuszczenie to może mieć rację bytu. W Tikal znaleziono stele upamiętniające znaczące osobistości. Czy osoby te mogły sobie pozwolić na luksus budowy piramidy, czy musiały być zarazem królami-kapłanami o rozległej wiedzy w dziedzinie matematyki, astronomii i architektury, trzymającymi się ponadto przekazanych (nakazanych?) planów. Nikt poważny nie kwestionuje już faktu, że owe "wielkopańskie rezydencje" były orientowane astronomicznie.

Najważniejsze pytania: Czy pod piramidami pogrzebano starych, prawdziwych bogów? Razem z przedmiotami używanymi za życia oraz tajemniczym sprzętem technicznym, podziwianym przez pierwotnych mieszkańców tego kraju? Czy w tak zwanych grobach kapłańskich pochowano jedynie strażników i obrońców bogów? Owych mędrców, którzy sprowadzili tu lud, a następnie go nauczali? A może bogowie zażądali postawienia masywnych, kamiennych "zamków", które miały przetrwać wieki, żeby stanowiły świadectwo dla przyszłych pokoleń? Spekulacje tego rodzaju trzeba zweryfikować. Jak dotąd pod żadną z piramid nie drążono sztolni kontrolnych prowadzących do środka budowli! Sztolnie te musiałyby sięgać pod ziemię równie głęboko, jak wysoko wznosi się nad nią piramida.

W muzeum w holenderskim mieście Lejda znajduje się jadeitowa płytką - w literaturze fachowej zwana płytką z Leiden. Zalicza się ją do najstarszych znalezisk z Tikal. Wryto na niej piętnaście hieroglifów Majów. Po imieniu, którego nie udało się dotąd odcyfrować, odcitano następujący tekst: "[...] zstąpił ów władca rodziny niebiańskiej z Tikal [...]". Rodzina niebiańska? Jakież to władca zstąpił? Choć pytania te pozostają na razie bez odpowiedzi, pozwalają jednak na wyciągnięcie pewnych wniosków.

Budowniczo Tikal znali pismo, dysponowali doskonałym kalendarzem. Wszystkie znane nam ludy rozwijały się powoli, stopniowo zdobywając, pomnażając i doskonaląc kolejne wiadomości i umiejętności. Nikomu nigdy nic nie spadło z nieba. A może?

Tikal było ośrodkiem sakralnym, w którym budowle stały na z góry określonych miejscach. Jeśli coś tu zbudowano, to owo coś trwało, co najwyżej było rozbudowywane, lecz nigdy nie popadało w niepamięć. Tikal było zapewne punktem przyciągającym ludzi jak magnes - my nazwalibyśmy je miejscem pielgrzymek. Miejscowość rosła. Powstawały kolejne place, wznoszono kolejne świątynie, a miejsca święte zdobiono coraz bardziej bogato. Wszystko jednak, co dodawano później, niezależnie od epoki, miało ściśle określone położenie i orientację w stronach świata zgodną z prawami astronomii, opartymi na obserwacjach ciał niebieskich. Jak dotąd wiemy tylko tyle.

Podziwiam zachwyt fachowców nad mistrzostwem tego projektu i nad jego realizacją. Oczywiście, wśród Majów byli wspaniali budowniczo oraz artyści rzemiosła jedyni w swoim rodzaju. Bez pomocy z zewnątrz stworzyli budowle niezwykle śmiałe. Jeśli nawet zaakceptuje się taką hipotezę, to i tak trzeba będzie jeszcze odpowiedzieć na pytanie, jak i skąd otrzymali takie umiejętności? Pytanie to zazwyczaj odkłada się wstydliwie ad acta.

"Czego nie wiemy, potrzebne nam właśnie, A to, co wiemy, nie przyda się na nic..." - napisał Johann Wolfgang von Goethe w Fauście. To samo można powiedzieć o Tikal.

Śmieją się nawet bogowie!

Boiska do piłki nożnej mają na całym świecie wymiary 105x70 m. Wielki Plac między świątynią I a świątynią II ma wymiary 120x75 m. Na powierzchni dwa razy większej (!) rozciąga się na południe od Placu akropol. Zespół 42 budowli jest podzielony na sześć dziedzińców

- a każdy leży na innym poziomie. Setki sklepionych pomieszczeń połączono schodami i kamiennymi przejściami - labirynt, w którym można się zgubić.

Nikt nie potrafił udzielić jednoznacznej odpowiedzi na pytanie, czemu służył ten ogromny kompleks budynków. Czy były to mieszkania kapłanów, siedziby zarządców, miejsca na "święte zapasy" jakichś dóbr. Kolosalny układ zagnieżdżonych wzajemnie akropoli odjął zapewne interpretatorom fenomenu Tikal i mowę, i rozum. Jeśli zespół ten leżałby na jednym poziomie, wówczas niektóre rzeczy można by jeszcze zaakceptować. Wówczas ów architektoniczny plaster miodu, złożony z pomieszczeń, sal i korytarzy, mógłby być powiększany według potrzeb. Gmatwanina budowli piętrzy się jednak na sześciu różnych sztucznych poziomach-platformach. To wymagało już dysponowania szczegółowym projektem. Wymagało organizacji. Wymagało odpowiednich narzędzi, a przede wszystkim musiało mieć jakiś sensowny cel. Wszystkiego dokonał lud epoki kamiennej.

- Lud epoki kamiennej! - pomyślałem na tyle głośno, że Julio usłyszał. Chwilę patrzył na mnie zdumiony, potem zaśmiał się na całe gardło. Nie mógł przestać. Brązowe ręce o stwardniałej skórze zbliżył do ust i zawołał w kierunku akropolu:

- Stone-age people! Stone-age people! - A potem znów zagrzmiał urywanym śmiechem tak, jak śmieją się tylko olbrzymy. Po chwili jego głos powrócił echem odbitym od piramid i pustych pomieszczeń akropolu. Julio uznał to za zabawne, że jego śmiech powraca echem pierwotnych głosek.

- Don Eric! - Uśmiechnął się do mnie słuchając z zadowoleniem.

- Śmieją się nawet bogowie!

Nauka twierdzi, że ludzie żyjący w epoce kamiennej nie znali metalu. Cokolwiek tworzyli - czy były to budowle, czy rzeźbione stele i reliefy - tworzyli bez użycia narzędzi z metalu. Podobno używali zaostrzonych kawałków kości, siekier z bazaltu, diorytu i obsydianu, [Bazalt - magmowa skała wulkaniczna; dioryt - magmowa skała głębinowa, używana na kamienie nagrobne i jako materiał drogowy; obsydian - zastygła fawa wulkaniczna o dużej zawartości krzemu.] zwanego również szkliwem wulkanicznym - był to kamień o największej twardości.

- Niech pan nie wierzy w te bzdury! - Julio spojrzał na mnie z sarkazmem.

- A to niby dlaczego? Jak dotąd w Tikal nie znaleziono ani śladu metalu, a nawet ani śladu ruin, które pozwoliłyby wysnuć wniosek, że go używano. . .

- To żaden dowód! Kiedy rozpoczęto prace wykopaliskowe, ruiny

Tikal już od ponad tysiąca lat znajdowały się pod ziemią, porośła je dżungla, splukały tropikalne deszcze. W tej okolicy, nawet nasze noże podobno nierdzewne, zamieniają się w rdzę za życia jednego pokolenia. Jakże metale - pomijając oczywiście metale szlachetne, które są za miękkie do obróbki kamienia - mogły w takich warunkach przetrwać tysiąclecia?

- Ale przecież tu nie chodzi wyłącznie o Tikal. Jak dotąd w żadnym z siedlisk Majów nie natrafiono na metal...

Julio przysiadł na jednym ze stopni, zaproponowałem mu papierosa

- wetknął go sobie w usta, ale nawet nie zauważył, że podaję mu ogień.

- Myślę nad tym od wielu lat i zawsze dochodzę do wniosku, że metal musiał być uważany przez Majów za świętość! Może był to prezent dany kapłanom i uczonym przez bogów i jako taki czczony i strzeżony, a nawet ukrywany. Kapłani wiedzieli - od bogów - co można zrobić z metalu: sztylety, miecze, tarcze oraz inną broń. Wiedzieli także, iż lud jest ciemnomyślny, zmuszany do pracy

przy budowlach.

Sytuacja ta mogłaby w końcu doprowadzić do powstania, do rewolucji. Właśnie dlatego mądrzy kapłani nie mogli dopuścić, żeby metal wpadł w ręce ludu. Ale mimo to będę twierdził, że wielu Majów weszło w posiadanie metalu! Czy dowodem na to nie są ślady precyzyjnej obróbki kamieniarskiej? Bo czy można było dojść do takiej perfekcji obrabiając kamień innym kamieniem albo zaostrzonym kawałkiem kości? Don Eric, w Tikal znaleziono przepięknie rzeźbione głowy z kryształu górskiego. Na pewno obrabiano je za pomocą narzędzi sporządzonych z metalu. Tak samo jak te foremne kółka!

- Kółka? - spytałem, wykorzystując chwilę, gdy przerwał dla nabrania oddechu, żeby zapalić mu papierosa. - Zawsze czytałem, że Majowie nie znali koła?

Julio rozpoczął inhalację, ale już po chwili mówił dalej otoczony kłębam dymu.

- No to niech pan pójdzie do Museo de Arte Prehispanico w Oaxaca! Tam zobaczy pan kółka z kryształu górskiego. A w muzeach antropologicznych w stolicy Meksyku i w Jalapa stoją w gablotach zabawki na kółkach! Coś jakby pies ciągnący wózek... Wszystko to znaleziono w dawnych siedliskach Majów.

Julio uzupełniał i potwierdzał moje wiadomości. W Copan, mieście Majów leżącym w dzisiejszym Hondurasie, zrobiłem zdjęcia kół zębatach - są one dowodem na istniejące niegdyś technologie. Koła zębata z Copan niszczej rzucone w rogu wielkiego placu. Przed obiektywem aparatu znalazły się też kamienne koła mające kiedyś piasty. Ostatnio przeczytałem również, iż Majowie wprowadzili koło znali, nie stosowali go jednak. Twierdzenie takie byłoby przekonujące, gdyby w tym kraju nie istniały drogi...

Drogi, którymi nikt nie jeździł?

Pięć dróg o jasnej nawierzchni i solidnej podbudowie biegnie z Tikal przez dżunglę. W stosownej literaturze określa się je mianem dróg procesyjnych lub obrzędowych. To zadziwiające, po jakie środki sięga archeologia, żeby tylko utrzymać przy życiu teorie skazane na wymarcie!

Zdjęcia lotnicze udowodniły już dawno, że miasta Majów łączyła cała sieć dróg. Szesnaście (!) z nich miało swój początek lub koniec w Coba, na północy dzisiejszego terytorium Quintana Roo w Meksyku. Jedna z dróg, mijając Coba, biegła wielkim łukiem do Yaxuna, niewielkiej miejscowości w pobliżu najważniejszego miasta Majów, Chichen-Itza. Zdjęcia lotnicze ujawniły jasne wstęgi prześwitujące przez roślinność dżungli, pozwalając przypuszczać, że stukilometrową drogę z Coba do Yaxuna poprowadzono dalej przez Chichen-Itza aż do Mayapan i Uxmal. Daje to w sumie 300 km. Według zdjęć lotniczych jeszcze dłuższa jest droga biegnąca z Dzibilchaltún koło Meridy, stolicy

Jukatanu, na wschodnie wybrzeże Morza Karaibskiego, w okolice wyspy Cozumel.

Budowniczo pracowali chyba według jednolitego planu. Wszystkie drogi wyłożono kawałkami skały, a następnie pokryto jasną nawierzchnią, odporną na wpływy atmosferyczne. Odcinek Coba-Yaxuna ma szerokość 10 m - pewna przesada jak na drogę procesyjną, bo mogłoby tamtędy iść w jednym rzędzie piętnaście osób ze śpiewem na ustach.

Owe 100 km podzielono na 7 odcinków prostych - najdłuższy liczy

36 km. Na początku każdego odcinka droga lekko zmienia kierunek.

Nauka twierdzi, że Majowie nie znali kompasu. Jak więc wytyczali drogę? Jakimi przyrządami geodezyjnymi dysponowali?

Czy określali kierunek za pomocą ognia i znaków dymnych? Rejon jest płaski jak patelnia, a na

dobitkę porośnięty bujną roślinnością. Nie ma wzniesień, z których można dawać odpowiednie znaki. Ogniska, płonące w ciemnozielonej gęstwinie, byłoby widać co najwyżej na kilka kilometrów. W trakcie pewnej dyskusji któryś z jej uczestników stwierdził, że rozwiązanie problemu jest niezwykle proste - budowniczo wie wytyczali linie za pomocą lin i wyznaczali bieg drogi palikami. Wszystkie te propozycje opierają się na założeniu, że w dżungli robiono przecinki! Bo dopiero wówczas można było ustawiać znaki, widzieć ogniska i rozciągać liny. Przedtem jednak trzeba było ustalić i wyznaczyć kierunek przecinki.

Dla pełnego skompletowania listy bezsensownych prób wyjaśnienia tego problemu należałoby wymienić jeszcze twierdzenie, zgodnie z którym Majowie wytyczali drogi według gwiazd. Ale gwiazdy świecą wyłącznie nocą, bezustannie zmieniają swoje położenie na niebie, a poza tym w strefie tropików są przez dwie trzecie roku zupełnie niewidoczne. Nie da się ich nawet policzyć, nie mówiąc o wykorzystywaniu do wytyczania dróg.

Dla liczykrupów, jacy znajdują się wśród moich krytyków, chciałbym w tym miejscu wnieść pewną poprawkę: gładka powierzchnia patelni ma tu i ówdzie niewielkie zagłębienia - lekkie obniżenia terenu występują w pobliżu rzek i bagien. Majowie zniwelowali je. Gdzie było to konieczne, zbudowali sklepione przepusty, a poziom niektórych odcinków podnieśli o 5 m nad poziom gruntu. Drogi obrzędowe nie wymagały w żadnym razie takiego nakładu środków, pielgrzymi przeszliby przecież i tak bez narzekań przez obniżenia terenu. Mimo to jednak drogę splantowano dokładnie i wyrównano!

Jadąc współczesną szosą musimy czasem zwolnić w miejscu, gdzie prowadzi się roboty drogowe - widzimy wówczas ogromne walce wyrównujące podłoże.

W pobliżu Ekal, na odcinku drogi łączącej Coba z Yaxuna, znaleziono pięciotonowy walec rozbity na dwie części! Walec długości 4 m nie miał jednak osi - należałoby go więc określić mianem wielkiej rolki. Czysty obłęd! Oto ludzie żyjący w epoce kamiennej potrafili wyciąć ogromny kawał skały, a następnie obrobić go w kształcie rolki długości 4 m, ludzie ci zarazem nie stosowali koła - chociaż je znali!

Po co więc Majowie niwelowali drogi, jeśli nie jeździły nimi wozy na kołach. Dlaczego odcinki biegnące przez tereny bagniste budowali na tak solidnych fundamentach, że nie osiadły one do dziś? A jeżeli nie pojazdy na kołach, to co jeździło po tak wspaniale zbudowanych drogach? Sanie na drewnianych płozach? Sanie pozostawiłyby jednak wyraźne ślady na nawierzchni. A może ślizgały się po nawierzchni podobnie jak żeglarze pustyni? To prawie niemożliwe, bo przecież i oni stosowaliby płozy lub koła. Czy pędzono tymi drogami zwierzęta juczne i pociągowe, czy jeżdżono na nich wierzchem? Według obowiązującej teorii Majowie nie znali jednak ani zwierząt jucznych, ani pociągowych. Czy zatem poruszali się w powietrzu, latali nie dotykając ziemi? Ale do tego nie byłyby im przecież potrzebne drogi. A może to ja pomiąłem jakąś możliwość użytkowego wykorzystania tej sieci komunikacyjnej?

A może - tak jak archeologom - umknęło coś również mojej uwadze?

Rozmowy nad dachami Tikal

Przycupnęliśmy na szczycie jednej z piramid. Słońce paliło niemiłosiernie w odkryte części ciała mimo olejku do opalania, który ocalił mnie kiedyś przed poparzeniem nawet na lodowcu. Na Wielkim Placu u stóp akropolu tłoczyły się grupy turystów, błyski odbite od obiektywów aparatów fotograficznych docierały aż do nas - zdjęcia raczej nie

Wyjdą.

- Julio, jak pan myśli, po co Majowie budowali drogi?

Julio odparł prawie z oburzeniem, jak gdyby moje pytanie naruszyło jakieś tabu:

- Dla bogów!

- Dla chwały religii...

- Dla bogów! - upierał się Julio. - Bogowie mieli pojazdy!

Pokazali władcom Majów, jak budować drogi, a ci zwołali całe armie niewolników, żeby urzeczywistnić te plany.

- Nigdzie nie znaleziono pozostałości po boskich pojazdach, nigdzie nie ma rysunków przedstawiających coś takiego!

- Przecież często wcale nie wiemy, co przedstawiają reliefy. Wizerunek znajdujący się na płycie sarkofagu w Palenque może przedstawiać boski pojazd. Zna pan zapewne hieroglify ukazujące dymiącego boga, również on może siedzieć w pojeździe, który wcale nie jest pojazdem z epoki. Z faktu, że zachowane obiekty sztuki Majów nie przedstawiają koła, mogę też wyciągnąć wniosek, iż było ono uważane za obiekt sakralny.

- Drogi powstawały przecież w różnych okresach, a bogowie przebywali tu pewnie tylko na samym początku epoki Majów, może nawet wcześniej, w czasach protoplastów tego narodu.

Kilku zasapanych turystów wspinało się na piramidę, podciągali się na stalowym łańcuchu. Julio nie dał sobie przerwać.

- Dobrze, nawet jeśli bogowie byli tu tylko na samym początku, nawet jeśli potem zniknęli albo pogrzebano ich pod piramidami - już samo to mogło zainspirować Majów do zbudowania pierwszej drogi.

W późniejszych epokach tubylcy szli gorliwie za tym przykładem budując jedną drogę za drugą - na pamiątkę pobytu bogów i w przekonaniu o ich powrocie. Budując drogi, piramidy i świątynie przygotowywali się do nadejścia dnia X.

Julio przemawiał równie płomiennie jak Abraliam a Santa Clara, najzarliwszy kaznodzieja baroku. Przypomniały mi się linie na peruwiańskiej równinie Nazca, które moim zdaniem Indianie sporządzili w oczekiwaniu na dzień powrotu bogów - były to znaki widoczne nawet z dużej wysokości.

W naszym punkcie obserwacyjnym na szczycie piramidy zrobiło się trochę ciasno. Było słychać wszelkie możliwe języki. Pojawili się Amerykanie, jeszcze więcej było Japończyków, znaleźli się też turyści z Europy. Wycieczki do miast Majów są w modzie od wielu lat.

Z informacji biur podróży organizujących grupowe wycieczki, jakie prowadziłem do Mezoameryki i Ameryki Południowej, wiem, że wszystkie miejsca sprzedaje się bardzo szybko. Wkrótce wymknęliśmy się z tłoku, wsiedliśmy do datsuna i ruszyliśmy w dalszą podróż miejscowymi drogami. Noszą one imiona słynnych badaczy, którzy odwiedzali Tikal. Jest więc Droga Maudsley'a - nazwana tak według nazwiska Alfreda Percivala Maudsley'a, przebywającego tu w 1895 roku, są Drogi Malera i Tozzera - według nazwisk Teoberta Malera i Alfreda Marstona Tozzera, którzy znaleźli się w tej okolicy w początkach naszego wieku, Droga Mendeza - według nazwiska Modesta Mendeza, który w 1848 roku badał ruiny Tikal.

Wrażenia były tak silne, że zapomniałem o prawie siedemdziesięciostopniowej temperaturze panującej w wozie. Julio i Ralf siedzieli na skrzyni chłodzeni pędem powietrza. Wspaniałe obrazy zmieniały się co chwila jak w kalejdoskopie. Bliźniacze piramidy bez budowli sakralnych na szczycie przesuwwały się przed kikutami piramid, których odkopane resztki wynurzały się z zielonej gęstwiny. W Tikal jest 151 stel, większość na Wielkim Placu. Z kompleksów budowli wyrastały

ogromne tropikalne drzewa o potężnych, zielonych koronach. Kwiaty trwoniły świetliste kolory. Z szarobrazowych stel patrzyły na nas twarze władców i głowy bogów. Zatrzymywaliśmy się często i wspinaliśmy na sterty kamieni

- pozostałości po budynkach, które padły ofarą czasu. Zdawało się, że

Tikal ciągnie się bez granic, zatracając się w swojej imponującej wspaniałości. Tu można dotknąć historii.

Skomplikowana podróż w przeszłość

Trzy dni później Julio opuścił "Jungle Lodge". Musiałem mu obiecać, że na pewno odwiedzę plantacje Las Illusiones, Los Tarros i Bilbao. Mówił, że znajdują się tam kamienie boskiego pochodzenia, do dziś czczone przez Indian jako boskie kamienie - niektóre są tak ciężkie, że nie można ich przetransportować do żadnego muzeum, leżą więc na polach. W żadnym razie nie powinienem się dopytywać o znaleziska archeologiczne - co najwyżej o piedras antiguas, stare kamienie. Julio opisał, jak dotrzeć do czczonych osobliwości, krzyżykami oznaczył na mapie miejsca, gdzie powinniśmy o nie pytać.

Gwatemalczyki wszędzie byli dla nas niezwykle uprzejmi i uczynni, niekiedy mimo woli nieco zabawni - niestety informacje, jakich udzielali, rzadko odpowiadały prawdzie.

Wynajętym volkswagenem-garbusiem jechaliśmy południowym skra-

Jem Wyżyny Gwatemalskiej przez prowincję Escuintla w stronę Oceanu Spokojnego. Julio powiedział, żebyśmy zaczęli się dopytywać o drogę do piedras antiguas na około 50 km przed wybrzeżem.

W Santa Lucia zatrzymaliśmy się przed pralnią na świeżym powietrzu, pod której dachem dziewczęta i kobiety prały w baliach i miskach bieliznę. Silnik ucichł, nasze spojrzenia pobiegły w kierunku studni

- niestety, piękne dziewczyny od razu zasłoniły gołe piersi, a kobiety zachichotały z zakłopotaniem.

- Przepraszam, gdzie tu są stare kamienie? Las Illusiones, Los

Tarros, Bilbao?

Odpowiedział nam śmiech i ożywiona paplanina, potem każda z wiejskich piękności wskazała ręką inną stronę.

- Drogie panie - przywołałem na pomoc cały swój szwajcarski wdzięk - zgódźmy się na jeden kierunek.

Z roztrajkotanej grupki wysunęła się rezolutna czarnuszka. Opalona na brąz, ubrana w dżinsy uwydatniające jędrny tyłeczek, podparła się pod boki. Najpierw zapytała, skąd jesteście. Pomyślałem sobie, że byle komu nie udziela się tu informacji.

- Z Europy, z niedużego, spokojnego kraju, w którym jest wiele pięknych gór i zielonych łąk, ze Szwajcarii! - powiedziałem jak najuprzejmiej.

Czarnowłosej piękności zaczęło coś świtać - oczywiście, zna ten kraj, to u jego wybrzeży zauważono niedawno radzieckie łodzie podwodne.

Gdyby nie zabraniała tego europejska etykieta, wybuchnąłbym śmiechem - pohamowałem się jednak i wyjaśniłem spokojnie, że łodzie podwodne zauważono u wybrzeży Szwecji, a moja ojczyzna nie leży nad morzem. Czarnuszka, wyraźnie zainteresowana problemami polityki europejskiej, wydawała się nieco rozczarowana, zebrała jednak siły do kolejnego pytania: Czy Szwajcaria należy do Niemiec Wschodnich, czy do Zachodnich. Znow musiałem ją rozczarować. Wyjaśniłem, że Szwajcaria, jest państwem autonomicznym o najstarszej demokracji na świecie i zanim piękność zdążyła zadać kolejne pytanie, pośpiesznie powtórzyłem swoje: Gdzie są fincas?

Czarnowłosa wskazała nam trzy strony.

- Tam, tam i jeszcze tam!

- Co jest tam?

- Bilbao. Trzeba dojechać do placu w środku wsi, na skrzyżowaniu skręcić w prawo pod górę, a na górze w lewo. Potem niech pan jeszcze raz zapyta...

- A Las Ilusiones i Los Tarros?

- Trzeba pojechać w kierunku Mazatenango, do następnej wsi!

To już było coś. W trakcie pożegnalnych gestów mój wzrok prześliznął się po apetycznie opiętych dżinsach i jędrych piersiach, które znów zajaśniały w słońcu. W takim towarzystwie nawet noc w "Jungle

Lodge" byłyby znośne. Moskity nie miałyby większego znaczenia. Człowiek nauczyłby się jakoś z nimi współżyć.

Fincas, które poza kukurydzą i kawą kryją niezliczone skarby

Bilbao jak wymarłe prażyło się w słońcu. Natknęliśmy się tam na ciężki traktor. Na siodełku siedział wąsaty seńor w towarzystwie dwóch indiańskich chłopców. Na widok obcych obaj kurczowo złapali za maczety.

- Szukamypiedras antiguas! Gdzie one są? - spytałem uprzejmie.

Po chwili namysłu, podczas której ciemne, nieufne oczy badawczo patrzyły to na nas, to na volkswagena, mężczyzna zaczął się dopytywać. - Czy panowie są archeologami? - Ton pozwalał wysnuć przypuszczenie, że nasz rozmówca nie miał najlepszych doświadczeń z ludźmi tego zawodu.

Wyjaśniłem, że nie, że przyjechaliśmy ze Szwajcarii i chcieliśmy tylko sfotografować stare kamienie. Na dźwięk słowa "Szwajcaria" twarz mu się rozjaśniła.

- Panowie są Szwajcarami! Znam dwóch Szwajcarów, inżynierów mechaników. To dobrzy ludzie!

Podziękowałem w duchu moim ziomkom, próbując zarazem zrozumieć, o czym mężczyzna opowiada chłopcom w niezrozumiałym dialekcie. Jeden z nich zeskoczył z traktora i wśliznął się do samochodu, nie wypuszczając jednak z ręki maczety. Mówiąc nienaganną szkolną hiszpańszczyzną poprowadził nas wąskimi polnymi drogami pośród plantacji kawy i kukurydzy. Wreszcie rozkazującym tonem powiedział: "Tu!". Wyskoczył z samochodu zwinnie jak wiewiórka i maczetą zaczął wycinać ścieżkę w gąszczu dwuipółmetrowej kukurydzy, której długie, szerokie liście objęły się nam o uszy. Przedzierając się przez gęstwinę staraliśmy się nie stracić z oczu naszego przewodnika. Nagle chłopiec przepuścił nas do przodu.

- Tam! - powiedział.

Po kilku krokach stanęliśmy na polance, stanowiącej wspaniałą, zieloną oprawę dla kontrastującego z nią niebieskawego lśnienia bazaltu - piedra antigua miał mniej więcej trzy i pół do czterech metrów średnicy.

Do fotografii reliefu chciałbym dodać parę słów wyjaśnienia:

W centrum mitologicznej sceny stoi wysoki mężczyzna z rękami skierowanymi ku górze. W jednej trzyma coś, co przypomina białą broń kłującą, w drugiej okrągły przedmiot, który można uznać zarówno za piłkę czy trupa czaszkę, jak i za owoc kakaowca lub gniazdo szerszeni. (Majowie ciskali bombami szerszeniowymi w szeregi nieprzyjaciół.

Tylko jak miotacze chronili się przed ukąszeniami tych owadów?) Mężczyzna ma na sobie współcześnie wyglądającą koszulkę z krótkimi rękawami przylegającą do ciała i zakończoną szerokim pasem, z którego zwiesza się prawie do ziemi lina z wielką pętlą na końcu. Równie współczesne jak koszula jest zdobienie tkaney przepaski, na której wyhaftowano twarz. Przepaska

jest zakończona frędzlami. Spodnie postaci są obcisłe jak dżinsy, stopy tkwią w butach sięgających do kostek i opatrzonych dość ekstrawaganckimi klamerkami. Z lewej strony mężczyzny stoi ktoś bosy - nie ma na sobie nic oprócz szerokiej przepaski biodrowej. Można odnieść wrażenie, że podaje coś postaci centralnej albo przynajmniej w niezbyt elegancki sposób pokazuje jej coś palcem. Z prawej strony kamiennej sceny siedzi na stołku Indianin, który ma wprawdzie na głowie hełm, ale jest bosy i żongluje piłkami albo czymś okrągłym, w każdym razie przedmiotami podobnymi do tego, jaki trzyma współcześnie wyglądający mężczyzna w centrum obrazu.

Ruchomą scenę otaczają ptaki, figurki, twarze i symboliczne znaki.

I trzeba patrzeć naprawdę uważnie, żeby spostrzec owalny przedmiot, znajdujący się na przegubie prawej ręki mężczyzny - jest to istotnie coś godnego uwagi, bo w równie dziwne rekwizyty byli wyposażeni bogowie na drugim końcu świata, w państwie Akad i w Babilonie nad Eufratem. Jak głęboko w ziemi tkwi ten kamień? Czy na jego niewidocznej stronie też znajduje się relief? Ciekawość archeologów jeszcze tu nie dotarła.

Na wiejskim placu w Santa Lucia Cotzumalguapa podobny kamień, na którym znajdują się takie same wizerunki, jest traktowany jak pomnik. Archeolodzy są zdania, że uwieczniono na nim rytualną scenę ubierania się do obrzędowej gry w piłkę, narodowego sportu Majów. Ale zdrowy rozsądek każe podać tę interpretację w wątpliwość: Ozdoba głowy mężczyzny dominującego w obrazie zdecydowanie przeszkadzałaby w grze, lina zwisająca między nogami utrudniałaby bieganie, szeroki i obcisły pas krępowałby ciało, wielkie buty uniemożliwiałyby szybkie zmiany kierunku ruchu w trakcie gry - poza tym po co do gry w piłkę tak ostra broń. Broń ta przypomina przedmioty, w jakie wyposażano posągi bogów w Tuli, boskiej stolicy królestwa Tolteków. W ziemi, na której stoimy, znaleziono w 1860 roku przy karczowaniu drzew wspaniałe stele. Wieść o tym dotarła do Austriaka, dr. Habla, podróżującego w 1862 roku po Meksyku. Habel przyjechał tu i jako pierwszy sporządził rysunki stel, które pokazał podczas pobytu w Berlinie dyrektorowi Królewskiego Muzeum Etnograficznego, dr. Adolfowi Bastianowi (1826-1905). Bastian pojechał do Santa Lucia Cotzumalguapa w 1876 roku, odkupił od właściciela gruntu znalezione stele i uzyskał odeń zapewnienie, że berlińskie muzeum będzie miało prawo zakupić wszystkie przyszłe znaleziska. Dzięki temu w Muzeum Etnograficznym w Berlinie Zachodnim można podziwiać osiem stel. Zgodnie z umową z 1876 roku muzeum rościło sobie również prawa do kamiennego reliefu na polu kukurydzy, ale dziś nie wolno już wywozić z Gwatemali zabytków. Kraje Ameryki Środkowej stały się dumne ze swojej historii - gdyby jeszcze mogły uchronić bezcenne skarby przed szkodliwymi wpływami atmosfery, to radość z identyfikowania się z mieszkającym tu niegdyś ludem byłaby niczym niezmacona.

Stele w berlińskim Muzeum Etnograficznym mają upamiętniać sceny z obrzędowej gry w piłkę: zwycięzca wręcza bogu słońca serce. Jakiegoż to boga słońca spotyka taki zaszczyt? Na wizerunku widać otoczoną promieniami istotę w hełmie, która zstępuje z nieba. Lapidarna informacja zawarta w katalogu - bóg słońca - jest niewystarczająca. Gdyby chciało się to wyrazić we współczesnym żargonie, trzeba by zadać pytanie: Kogo wyobrażano pod postacią "boga słońca", jakie znaczenie miała ta postać dla człowieka, który uwiecznił ją na steli, a poza tym, dlaczego bóg słońca żądał dla siebie serca - ofiary najdroższej.

- Chce pan kupić stare kamienie? - spytał mnie mężczyzna, kiedy wróciliśmy do traktora.

- Nie, dziękuję - odparłem. Ktoś, u kogo na granicy odkryje się w bagażu zabytki, jest uznawany - czy był świadom popełnianego przestępstwa, czy nie - za winnego, nie miałbym więc żadnej szansy na dowieszenie kamiennego mężczyzny z pola kukurydzy w Santa Lucia Cotzumalguapa do mojego ogrodu w Feldbrunnen. Ale nawet w 1876

roku problemy prawie nie do pokonania stanęły przed dr. Bastianem który dysponując oficjalnym zezwoleniem ówczesnego rządu, chciał przetransportować wielotonowe stele. Rozwiązanie znaleźli dopiero dwaj specjalnie sprowadzeni inżynierowie, dzięki którym olbrzymi udało się dostarczyć po bezdrożach do portu San Jose, odległego o 80

km: stele, zdobione jednostronnie, przepiłowano wzdłuż na dwie części, a strony pozbawione rysunku wydrążono dla zmniejszenia ciężaru.

Płaskie lecz nadal bardzo ciężkie płyty umocowano ostrożnie na platformach ciągniętych przez woły. Mimo wszystko jedna ze stel obsunęła się podczas przeładunku - do dziś spoczywa na dnie basenu portowego San Jose. Także w trakcie kolejnych dni zdecydowanie odrzucałem dalsze oferty sprzedaży "starych kamieni".

Czarnowłosa piękność dała mi niezbyt dokładne informacje. Powiedziała, że finca Las Illusiones znajduje się w następnej wsi. Według traktorzysty było to nie tam, lecz w pobliżu - ure wsi mieliśmy tylko spytać o drogę.

W cieniu, na stopniach kościoła z czasów kolonialnych trzej Indianie grali w karty. Gdy zapytałem o drogę, jeden z nich podszedł ze szczerwanym uśmiechem na twarzy i próbował mi wcisnąć "stare kamienie". Nie udało mu się jednak mnie przekonać nawet do kupna kamyków mieszczących się w dłoni. Nie dysponując mikroskopem i stosowną wiedzą człowiek nie ma zielonego pojęcia, co jest naprawdę

"stare", co zaś tylko "staro" wygląda, a pochodzi z najświeższej produkcji. Miejscowi ludzie podrabiają kamienie tak, że wyglądają one na bardzo stare. Dysponując uzdolnieniami swoich przodków, rzeźbią według znanych sobie wzorów sceny mitologiczne, wkładają kamienie do żarzącego się popiołu z węgla drzewnego, potem wcierają w nie szczotką czarną pastę do butów i trzymają przez parę dni na deszczu. W ten sposób oprócz kukurydzy i kawy również "stare kamienie", tak lubiane przez "szybkobieżnych" turystów, trafiają do rodzinnych zbiorów jako egzotyczne trofea.

Po drugiej stronie, pod kolorowymi liśćmi drzewa mesquite, którego owoce przypominające chleb świętojański służą za paszę dla bydła, przykucnął policjant. Podszedłem do niego, aby uzyskać informację, że tak powiem urzędową - młody człowiek w mundurze wstał i z kieszonki na piersi wyciągnął gwizdek, zapewne, aby pokazać, że w każdej chwili może zagwizdać po posiłki. Z nieruchomej twarzy nie dało się wyczytać, czy wie, gdzie znajduje się poszukiwane miejsce. W każdym razie skierował nas do kolegi na posterunku. Ten wysłuchawszy, o co chodzi, przekazał nas bez słowa komendantowi, siedzącemu w pomieszczeniu obok. W sposób miły, lecz zdecydowany szef zażądał ode mnie paszportu, po czym krytycznie taksował każdą z pieczęci wbitych na kolejnych granicach. Za kogo mnie właściwie uważał? Za poszukiwacza antyków? Jego urzędowa twarz rozjaśniła się jednak od razu uprzejmością, kiedy na jednej ze stron natrafił wreszcie na szwajcarski krzyż. W niezrozumiałym dialekcie wydał natychmiast rozkaz młodziutkiemu, nieśmiałemu rekrutowi, żeby pilotował nas do finca Las Illusiones.

W trakcie jazdy nasz policjant zasłonił mi nagle ręką pole widzenia

- nie pozostało nic innego, jak natychmiast zahamować. Zatrzymaliśmy się przed bramą kutą w żelazie.

- Las Illusiones! - oznajmił nasz przewodnik.

Wysiadłem z wozu i od razu zaskoczył mnie widok duplikatu kamiennej rzeźby, jaką sfotografowałem pigć lat temu w El Baul [Erich von Däniken, Reise nach Kiribati, Dusseldorf 1981, s. 259 n.] wioszczynie o parę kilometrów od Santa Lucia Cotzumalguapa. Również w El Baul rzeźba wyobraża mężczyznę silnego jak tur, w wojennym nakryciu głowy, które chroni go niczym

hełm nurka - za "okienkiem" widać twarz. "Hełm" jest połączony "węzem" z "pojemnikiem" na plecach postaci. Oczywiście - czytam - chodzi o zwycięzcę w obrzędowej grze w piłkę. "Graez w piłkę" z El Baul trwa pogrążony w zadumie pod mizernym drewnianym daszkiem na tyłach cukrowni

- nie lepiej przechowywany jest jego duplikat, niszczący pośród rupieci na jakimś parkingu. W katalogach wspaniałość z El Baul określa się mianem "monumentu nr 27", nigdzie jednak nie natknąłem się na jakąkolwiek wskazówkę, że istnieje jego dublet. A może przewieziono tu monument nr 27? (Nawiasem mówiąc tego samego dnia byłem w El Baul. Osilek stoi tam nadal, tylko chroniący go drewniany daszek rozpląnął się jak sen jaki złoty.)

Otworzyliśmy ciężką bramę. W środku pochrząkiwały śwynie, dwa wychudzone psy podbiegły do nas machając ogonami - dałem im trochę orzeszków z naszych zapasów. Przy bramie, prowadzącej na teren ogrodzony płotem z desek, stał na straży żując liście koki korpulentny starszy mężczyzna. Narazony riał kaprysy pogody, marnieje tu zbiór rzuconych byle jak niepowtarzalnych zabytków - ogromne, cudownie wykończone rzeźby głów o wielkich oczach, stele, które od razu przywiodły mi na myśl San Augustin w Ameryce Południowej.

Co najmniej w czterech reliefach widać rękę tego samego artysty.

W takim razie kiedyś odbywała się, przemknęło mi przez myśl, migracja

Indian z Południa na Północ, z Ameryki Południowej do Środkowej. Trudno tylko zrozumieć postępowanie gwatemalskich archeologów, którzy pozwalają niszczyć skarby przeszłości bez jakiegokolwiek ochrony.

Młodziutki policjant mógłby nas wprawdzie nazajutrz zaprowadzić do finca Los Tarros, ale nawet on nie wiedział, gdzie to jest. Zdawało się, że Indianie pracujący na plantacjach niezbyt chętnie udzielają informacji, a nawet, że celowo wprowadzają nas w błąd. Chwilę po deszczu, który spadł na dżunglę, jakby ktoś na górze wylewał wodę z ogromnej wanny, słońce wymiotło wszystkie chmury. Powietrze było tak pełne wilgoci, że nie dawało się prawie wciągnąć do płuc - kleiło się, pachniało stęchlizną. W trakcie dalszej jazdy dołączyły do nas moskity [Erich von Däniken, Strategie der Götter, Dusseldorf 1981, s. 152 n.] - gdy tylko wyrzuciliśmy jednego przez okno, pojawiała się z brzęczeniem dwóch albo trzech jego krewnych, którzy od razu zabierali się do, bezbronnych ofiar zamkniętych w ciasnym pudle samochodu.

W południe zrobiliśmy sobie odpoczynek w cieniu kępy drzew. Nagle dobiegło do nas niewyraźne mamrotanie. Zrzuciliśmy aparaty fotograficzne na ramię i poszliśmy w tamtym kierunku. Wdrapaliśmy się na jakiś pagórek i przedarliśmy przez gęste zarośla. Po chwili stanęliśmy na polanie, gdzie ujrzelśmy dziewięć Indian-czterech mężczyzn, trzy kobiety i dwóch chłopców - była to najwyraźniej rodzina. Ustawieni w półkole trwali w skupieniu przed kamienną twarzą, wystającą na kilka metrów z ziemi. Paliły się na niej świece - jak na ołtarzu w kościele - z czoła wspaniałej rzeźby wosk kapał na jej brwi. Grupa wiernych zebrana wokół swojego boga i zatopiona w medytacji wzbudzała szacunek. Mimo że poruszaliśmy się bardzo cicho, nasze przybycie przerwało modlitwę. Indianie patrzyli na nas z lękiem, jakby przyłapano ich na czymś zabronionym. Podeszliśmy w milczeniu starając się sprawić wrażenie, że chcemy złożyć hołd ich kamiennemu bogu.

Twarz, na której spoczywały spojrzenia Indian, patrzyła przyjaźnie i w porównaniu z innymi rzeźbami znajdującymi się w tych okolicach miała zadowoloną minę. Nad potężnym, haczykowanym nosem śmiały się owalne oczy - zdawało się nawet, że na ustach błąka się filuterny uśmieszek. Nareszcie roześmiany bóg, pomyślałem. Indianie patrzyli w milczeniu. Podnieśli amulety leżące

przed rzeźbą i sehowali je do brązowego worka z juty.

- Czy ta rzeźba wyobraża boga? - spytałem najstarszego, który bez wątpienia był głową rodu, jako jedyny więc mógł odpowiedzieć.

- Tak, serior - odparł prawie bezgłośnie.

- Co to za bóg?

Nie zrozumiałem odpowiedzi, którą było długie imię w indiańskim narzeczu. Spytałem powtórnie. Tym razem odpowiedź padła w czystej hiszpańszczyźnie:

- Bóg szczęścia.

- Czy ta rzeźba znajduje się tu od dawna?

- Od niepamiętnych czasów - powiedział Indianin. - Ten bóg pomagał kiedyś naszym przodkom, dzisiaj pomaga nam.

Rodzina starała się dyskretnie zniknąć. Być może Indianie obawiali się, że doniosę wiejskiemu księdzu o "pogańskich" obrzędach, jakie tu odprawiają. Uspokoili się jednak, gdy usłyszeli, że jestem z dalekiego kraju i jeszcze dziś jadę dalej. Nie kryjąc się wyciągnęli więc znów amulety z worka, zapalili świece, a na jeden z kamieni nasypali trochę kadzidła, które po zapaleniu zaczęło wydzielać słodkawy, żywiczny zapach. Potem pogrążyli się w modlitwie. Wycofaliśmy się bezgłośnie.

Nasz policjant był oburzony. Wychował się w Santa Lucia Cotzumalguapa i nie wiedział, że jego ziomkowie modlą się nadal do starych bogów o szezęcie i błogosławieństwo. Wynagrodziliśmy naszego nieśmiałego przewodnika, który nie krył radości z nieoczekiwanego bakszyszu. Późnym wieczorem dotarliśmy do stolicy Gwatemali. Byliśtny zmęczeni bogatymi wrażeniami minionego dnia.

Nokturn

W hotelu "El Dorado" czekała na mnie karteczka z prośbą, żebym zadzwonił na uniwersytet do profesora Diego Moliny. Portier powiedział mi, że profesor jest najwybitniejszym gwatemalskim fotografem, wykładającym na miejscowym uniwersytecie fotografię.

Godzinę później Molina przyjechał po nas do hotelu - wysoki, szczupły mężczyzna koło trzydziestki. Z kącika ust zwisało mu Hav-a-Tampa, niewielkie cygare, które - najeżęściej zgasłe - miał zwyczaj trzymać w zębach zawsze i wszędzie. Podczas jazdy do atelier opowiedział nam, że spędził kiedyś półtora roku w Tikal - dzięki temu mógł uwiecznić metropolię Majów na fotografiach wykorzystując różnorodność światła o wszystkich porach dnia i roku. Zdjęcia, które nam pokazał, były wspaniałe. Molina współpracuje z niemieckim czasopismem "Geo" i amerykańskim "National Geographic". Nie ma lepszych zdjęć Tikal.

Molina zapytał, czy będzie mu wolno mi zrobić, jak się wyraził, zdjęcie "dramatyczne". Czemu nie? Posadził mnie na obrotowym krześle. W twarz padało mi oślepiające światło reflektorów. Wykonując grzecznie kolejne polecenie mistrza, przyjąłem właśnie jakąś nader niewygodną pozycję, gdy jeden z normalnych tutaj blekautów pogrążył nas w zupełnym mroku - światło wysiadło w całym mieście. W grobowych ciemnościach widziałem tylko czerwonawy ognik cygara profesora. Po chwili potrzebnej na wypalenie papierosa reflektory rozbłyły znowu.

Diego Molina usiadł na wysokim stołku za wielkun aparatem fotograficznym - i stołek natychmiast się załamał. Wybuchnęliśmy śmiechem. Usiadłszy na drugim stołku Molina zaaranżował wszystko na nowo. Dało się słyszeć pstryknięcie migawki - w tym samym momencie strzelił jeden z reflektorów pod sufitem - kawałki szkła przeleciały mi koło głowy. Z niepokojem popatrzyłem na pozostałe źródła światła. Molina jednak zapewnił od razu, że coś takiego wprawdzie się czasem zdarza, ale

bardzo rzadko, i że dziś nie ma już najmniejszych powodów do obaw.

Jego uspokajające słowa zapadały właśnie kojąco w moją złęknioną duszę, kiedy z transformatora, oplecionego przewodami jak nitkami spaghetti, zaczął wydobywać się dym. Coś zasyczało, potem dał się słyszeć przytłumiony huk i transformator wyzionął ducha. Znow siedzieliśmy w ciemnościach. Diego Molina, mistrz improwizacji, wyczarował po chwili kilka akumulatorów, wymienił bezpieczniki, wszystko podłączył jak trzeba - przez cały czas cienkie cygaro zwisało mu nieruchomo z lewego kącika ust, on zaś ich prawą stroną tłumaczył, co robi. Potem otaksował mnie wzrokiem i - żeby zająć czymś moje ręce - wcisnął mi w palce jakiś starożytny posążek, który zresztą pod koniec pozowania wysliznął mi się i roztrzaskał na podłodze.

Po "terminowaniu u fotografa" stało się dla mnie jasne, że zawód modela jest: a) bardzo męczący, b) niezwykle niebezpieczny oraz c) nie dla mnie. Niejasne było tylko to, czy przed oddaniem tej książki do druku nadejdzie cykl zdjęć zatytułowany "Tikal". Diego Molina przyrzekł mi, że tak się stanie. Mariaña?

[Postscriptum: Molina dotrzymał słowa. Zdjęcia dotarły na czas.]

Okreźną drogą do Copan

Właściwie to nie chcieliśmy być wcale w Tegucigalpie, stolicy Hondurasu. Naszym celem było Copan, leżące bliżej stolicy Gwatemali. Ale powiedziano nam, że lepiej polecieć samolotem nadkładając drogi, bo jechać do Copan przez dżunglę byłoby niebezpiecznie nawet wozem terenowym. Do Tegucigalpy poleciliśmy więc maszyną honduraskiego towarzystwa lotniczego "Sahsa".

Czasem jakieś mało istotne, lecz zabawne zdarzenie może powetować człowiekowi nedorzeczny wybór dłuższej drogi. Coś takiego mieliśmy okazję przeżyć w hotelu "Honduras Maya", gdzie w kasynie gry na parterze kwitnie hazard. Postanowiliśmy dokonać tam z Ralfem inspekcji.

Na stół do ruletki zwróciliśmy uwagę ze względu na graczy. Po prawej ręce krupiera siedział spocony, gruby Murzyn, tak rozgrzany grą, że pot z tyłu głowy lał mu się wprost na marynarkę. Zdawało się, że olbrzym wcale nie ma szyi. Facet promieniał przy tym pogodą człowieka, który zawsze wygrywa - i rzeczywiście, po każdej grze krupier przesuwiał w jego stronę okazały słupek żetonów. Naprzeciw grubasa, po drugiej stronie stołu, stał przeraźliwie chudy biały mężczyzna o twarzy pokrytej kilkudniowym zarostem. Mężczyzna ów po każdej grze wyszczerzał dwa żółte kły - jedyne, jakie mu pozostały. Ta niezbyt dobrana para stanowiąła tandem.

Zaledwie koło ruletki stawało, obaj ze zręcznością kieszonkowców obstawiali wszystkie pola od 1 do 36, a nawet, jak to się robi w ruletce amerykańskiej, zero i dwa zera - w sumie więc 38 liczb. Logiczne więc, że przy każdej turze wygrywali, przegrywając jednocześnie. Na stole pozostawał żeton trzydziesty szósty, wygrywający, a zero i dwa zera przegrywały. W takiej grze wygraną było więc tylko trzydzieści pięć żetonów, czego zdawał się nie dostrzegać ani czarnoskóry grubas, ani biały chudzielec. Kiedy kulka się zatrzymywała, pokazywali sobie palcami znak zwycięstwa, wymyślony przez Winstona Churchilla w trakcie - miejmy nadzieję - ostatniej wojny. "V" - Victory.

Krupierzy - równie dystygowani jak wszysej przedstawiciele tego zawodu na świecie - z trudem zachowywali powagę, co pewien czas jednak rzueali sobie kątem oka ironiczne spojrzenia. Gracz, który nie umie liczyć, jest dla nich w najprawdziwszym sensie tego słowa gotówką - niedbale zgarniali wszystko, co "wygrywający" wrzucali im do skarbonki.

Copan, najbardziej na południe
wysunięte miasto Majów

Oszczędziwszy nam dwa dni jazdy przez dżunglę niewielki samolot pilotowany przez Indianina usiadł po godzinnym locie na wyboistym pasie lotniska w Copan - znaleźliśmy się w takim samym tropikalnym klimacie w jakim leży Tikal, oddalone o 270 km w linii prostej.

Hiszpański kronikarz, Diego Garcia de Palacio, pisał anno 1576

o Copan:

"[...] znajdują się tam ruiny wspaniałych świątyń, świadczących o tym, że stało tu niegdyś wielkie miasto, i nie można nawet przypuszczać, żeby ludzie tak prymitywni, jak mieszkający tu tubylcy, zdołali je zbudować [...]. Wśród ruin [...] znajdują się rzeczy godne najwyższej uwagi. Zanim człowiek tam dotrze, trafi na bardzo grube mury i olbrzymiego, kamiennego orła mającego na piersi kwadrat o boku dłuższym niż ćwierć hiszpańskiego łokcia, w kwadracie tym są znaki nieznanego pisma. Gdy się podejdziesz bliżej, widać postać wielkiego, kamiennego olbrzyma. Indianie powiadają, że był to strażnik świątyni [...]." [1]

[Przypisy oznaczone liczbami w nawiasachb umieszczono na końcu książki.] Dziś z "olbrzymiego, kamiennego orła" nie pozostało nic. Copan, największą atrakcją Hondurasu, fachowcy nazywają "Aleksandrią

Nowego Świata". Sylvanus Griswold Morley (1883-1948), słynny amerykański badacz historii Majów, powiedział, że Copan było miastem, w którym astronomia osiągnęła najwyższy stopień rozwoju, i że uważa je za główny ośrodek nauki Majów. [2]

Zarośnięte dżunglą ruiny odkryto w 1839 roku. Sto lat później rozpoczęto prace wykopaliskowe. Do dziś odsłonięto 38 stel, mających przeciętnie 4 m wysokości i 1,5 m szerokości - wszystkie bogato zdobione reliefami.

Literatura o tych odkryciach jest równie obszerna, co pełna sprzeczności. Ktoś twierdzi, że w "steli B" odkrył wizerunek trąby słonia, ktoś inny widzi w niej natomiast stylizowane ary - papugi żyjące w tych stronach. Dowiedziono wprawdzie, że mężczyźni tego ludu nie mieli bród, tymczasem obserwator zaskakują stela przedstawiające brodaczy - "stela B" prezentuje dwa takie wizerunki.

Centrum Copan, jego pałace i piramidy, świątynie i tarasy - wszystko to leży nad rozciągającym się poniżej miastem - nazwano je zatem akropolis, górne miasto. Prawie w samym jego środku znajduje się plac do obrzędowej gry w piłkę mający wymiary 26 x 7 m.

Szczęśliwy przypadek sprawił, że naszym cicerone był Tony. Ten nieco niezgrabny drągal oprowadzający obcokrajowców okazał się w trakcie rozmowy członkiem AAS. Miał nawet przy sobie legityma-

[Adres sekcji niemieckojęzycznej: CH-4532 Feldbrunnen/SO]

cję członkowską. AAS jest skrótem od Ancient Astronaut Society, towarzystwa założonego w 1973 roku w Chicago, którego członkowie mieszkają w ponad 50 krajach świata. AAS jest towarzystwem wyższej użyteczności publicznej, a jego celem jest popieranie (przez gromadzenie i wymianę danych) teorii, wedle której naszą planetę odwiedzały w prehistorycznych czasach istoty pozaziemskie.

Tony zwrócił mi uwagę na szczegóły, które turyści mijają zazwyczaj w pośpiechu. Zatrzymywaliśmy się przed stelami, wykazującymi zdu, miewające podobieństwo do sztukaterii, jakie można oglądać w Angkor Wat, świątyni kambodżańskich Khmerów. Trafiając na analogie tego rodzaju archeolodzy spuszczaają wzrok. Tak ściśle powiązania między Copan a Kambodżą nie mogły przecież istnieć. Cóż by się stało, gdyby w naszym tak wspaniale poklasyfikowanym świecie zapanował nagle chaos!

Tony pokazał nam koła zębate wykute w kamieniu i przedmioty wyglądające jak koła z piastami - były to ołtarze zdobione hieroglifami kalendarzowymi - osobliwy twór nieodparcie przypominający motocykl.

Zupełną sensacją natomiast są schody hieroglifów o 63 stopniach, które kiedyś prowadziły do świątyni leżącej dziś w gruzach. Stopnie o szerokości 10 m są zdobione reliefami. Wizerunki grup siedzących ludzi przeplatają się z inskrypcjami kalendarzowymi i 2500 hieroglifami - jest to najdłuższa inskrypcja Majów i większej części wciąż czeka na odcyfrowanie. Kiedy znaleźliśmy się u stóp piramidy schodkowej, Tony zwrócił nam uwagę na kamień ofiarny, na którym przedstawiono szesnastu kapłanów-astronomów, mających na głowach turbany i siedzących w kucki na sposób wschodni, a zajętych dwustusześćdziesięciodniowym kalendarzem rytualnym.

W odróżnieniu od Tikal Copan, leżące w trzynastokilometrowej dolinie Motagua, wzniesiono bezpośrednio nad rzeką o tej samej nazwie. Mimo to jednak Majowie zbudowali tu jeszcze kanały i zbiorniki na wodę! System irygacyjny mający parę tysięcy kilometrów udało się odkryć dopiero dzięki zastosowaniu nowoczesnej metody rozpoznania radarowego.

Od dawna było wiadomo, że Majowie budowali kanały, nikt jednak nie zadał sobie trudu dokładnego zbadania któregoś z nich. Dopiero w 1975 roku amerykańscy naukowcy wpadli na pomysł zastosowania do tego radaru. [3] Chcieli się dowiedzieć, czy pod nieprzeniknącą roślinnością dżungli nie kryją się jeszcze inne miasta Majów. Patrick Culbert i Richard E.W. Adams, archeolodzy z Uniwersytetu Stanowego Arizona, poprosili o pomoc NASA. W 1977 r. dostali do dyspozycji specjalny radar "Galilaeo II", skonstruowany do badania powierzchni Wenus.

"Galilaeo II" emitował fale radarowe z samolotu nie tylko pionowo w dół wysyłał także sygnały i odbierał ich odbicia do 75o na prawo od samolotu. W październiku 1977 r. w czasie dwupółgodzinnego lotu sporządzono radarową inwentaryzację kartograficzną ponad 20 tys. km². W latach 1979 i 1980 odbyły się kolejne loty z zastosowaniem jeszcze nowocześniejszej techniki.

Badacze znaleźli to, czego szukali - skupiska kamieni i ruiny

- wszystkie charakterystyczne punkty były ze sobą połączone "delikatnymi" łukowatymi liniami. Można powiedzieć, że odkrycie sieci kanałów było produktem ubocznym właściwego przedsięwzięcia.

Lubię te nieuniknione pytania: Kto zlecił budowę? Kto sporządził plany? Skąd przybyły całe masy ludzi, aby zbudować jednocześnie pałace, świątynie, piramidy, drogi i kanały? Skąd wzięli się rolnicy, żywiący armię robotników i ich rodziny? Kto uznaje to za oczywistość, powinien się przynajmniej zdziwić osiągnięciami tego ludu epoki kamiennej.

W jaskrawożółtym świetle wieczoru poleciliśmy z powrotem. Budo wle i drzewa rzucały wydłużone cienie, nawet ludzie nie mogli się ukryć przed oślepiającym reflektorem nisko stojącego słońca.

Zdumiewające Xochicalco

Na mapie Meksyku, liczącego 2 mln km² (Szwajcaria ma 41 tys. km², RFN - 356 km²), Xochicalco nie wygląda nawet jak ślad po szpilce, jest jednak zdumiewające. Brakowało mi go do kolekcji.

Już sama podróż ze stolicy Meksyku na południe - przez piniowe lasy, przez porośnięte ciernistymi krzewami stepy pełne kaktusów, hibiskusów i bougainville'ów, wszystkie gatunki orchidei rosnące na zboczach przy drodze, biegnącej przez 2800 km cały czas pod górę, jest niczym

sen o wspaniałościach naszego pięknego świata. O wąskiej, subtropikalnej dolinie Cuernevaca, przez którą jechaliśmy, Meksykanie mówią, że zawsze było tu niebo na ziemi - klimat łagodny, ziemia urodzajna, ludzie zaś (właśnie dlatego) mili i spokojni. Cały czas można jechać według drogowskazów, na których umieszczono piktogramy zachęcające do zwiedzenia wszelkich możliwych atrakcji: stalaktytowych jaskiń w Cacahuamilpa, siedmiu jezior na zalesionym zboczu Zempoala - ciągle widać też piktogramy kierujące do piramid schodkowych.

Na wysokości 1500 m drogowskaz pokazuje, jak dojechać do piramid w Xochicalco, leżącego w łańcuchu górskim Ajusco. Budowniczywie obcięli szczyt góry i wyrównali go dla swoich celów. Nie wiadomo, kiedy to się stało. Dokumenty mówią tylko, że w IX w. po Chr. istniała tu najważniejsza twierdza Mezoameryki. Jest to informacja raczej skromna, bo o stulecia wcześniej powstało tu astronomiczne centrum oraz zadziwiające obserwatorium. Jak brzmiała pierwotna nazwa Xochicalco? Kto to wie? W języku nahuatl xochicalco znaczy "miejsce domu [Język z rodziny uto-azteckiej, używany w środkowym i południowym Meksyku.] kwiatów". Określenie to ma rację bytu - w odróżnieniu od innych, dość swobodnych nazw. Wystarczy rozejrzeć się po okolicy.

Dotychczasowe prace wykopaliskowe pozwoliły tylko na odsłonięcie niewielkiej części kompleksu zabytków. Dominują w nim główna piramida La Malinche, pałac oraz położony nieco niżej plac do rytualnej gry w piłkę (69 x 9 m), nienagannie zniwelowany przez budowniczych. Wszystkie odkopane dotąd obiekty znajdują się na terenie o wymiarach 1300 x 700 m² i są zorientowane w kierunku północ-południe. Dwie piramidy, które stoją naprzeciw siebie jak lustrzane odbicia, świadczą o tym, że w trakcie ich budowy korzystano z rad astronomów: w dniu równonocy promienie słońca padają wzdłuż linii łączącej środki piramid.

Na prawie kwadratowej powierzchni (18,6 x 21 m) stoi La Malinche - piramida zorientowana według stron świata. Od zachodniej strony czternastostopniowe schody o szerokości 9,6 m prowadzą na szczyt tego monumentu o wysokości 16,6 m. Na ścianach znajdują się reliefy przedstawiające jakoby wizerunki ośmiu uskrzydłych węży. Jeśli jednak przyjrzeć się dokładniej, okaże się, że przypominają one raczej latające smoki, których ciała przylegają do ścian budowli. (Głowy tych potworów można by równie dobrze wkomponować w dekoracje świątyni Nieba w Pekinie!) Pośród węży-smoków widać siedzące w stosownej odległości ludzkie postacie ze skrzyżowanymi nogami i o spiętrzonych fryzurach. Postacie te są ubrane zbytkownie i obwieszane kosztownościami. Oczywiście znajdują się tu całe cykle nie odczytanych dotąd hieroglifów. Reliefy wyryto w płytach andezytu, przyciętych i ułożonych tak dokładnie, że do budowy nie było trzeba zaprawy murarskiej. Kiedyś piramida Iśniła wszystkimi barwami tęczy, o czym świadczą znalezione na niej resztki farb.

Największa jednak atrakcja Xochicalco znajduje się pod ziemią. W skałach wykuto chodniki - w ich sklepieniach są otwory skierowane na gwiazdy. Tunele tworzą podziemne obserwatorium astronomiczne, które ma tylko jedno miejsce do prowadzenia właściwych obserwacji. Dziwne obserwatorium.

Jeden z chodników wykuto w skale na głębokości 8,5 m, pod nim zaś Wydrążono pomieszczenie z bocznym wyjściem. W środku pomieszczenia wykonano niewielki szyb. Szyb ten, w przekroju o kształcie sześciokąta, biegnie odchylając się nieco od pionu ku powierzchni ziemi. Kiedy w południe 21 czerwca słońce stanie nad szybem, w podziemnym pomieszczeniu rozpoczyna się czarodziejskie widowisko. Ponieważ nie udało mi się przybyć tego dnia do Xochicalco, przytoczę opis zjawiska pióra meksykańskiego inżyniera Gerardo Leveta:

"Pomijając słaby poblask padający kolistą plamą na podłogę, w skalnym pomieszczeniu jest

ciemno choć oko wykol. Ze zbliżaniem się południa do pomieszczenia wkraczają Indianie trzymający zapalone świece. Amulety i pojemniki z wodą, które przynieśli, stawiają w środku w oczekiwaniu na boskie światło, które ma je przeniknąć.

Słońce wznosi się powoli, jego promienie z wolna wnikają przez szyb. Wszystko zaczyna się dokładnie o 12:30. Jakby po omacku, jakby szukając właściwej drogi, promienie prześlizgują się wzdłuż ścian szybu, struga światła rozszerza się, a w końcu wypełnia szyb i rozświetla oślepiającym blaskiem całe pomieszczenie. Kaskady światła wystrzelają z podłogi na wszystkie strony niczym promienie lasera. Nie wiem, nikt nie potrafi wytłumaczyć, na czym polega ten efekt. Fascynujące widowisko trwa około 20 minut. Pomieszczenie lśni przez ten czas niczym kryształ. Indianie patrzą w milczeniu ku świetlnemu szybowi. Gdy blask słabnie, biorą amulety i pojemniki z wodą i wynoszą je bez słowa na zewnątrz. Potem zaczynają się śmiać

i tańczyć swawolnie, dziękując w ten sposób swojemu bogu."

Co to za cud? Kto wymyślił to niesamowite widowisko świetlne? Kto wyliczył takie nachylenie szybu, aby promienie słońca wpadały weń dokładnie 21 czerwca o 12:30? Kto sprawił, że zastosowano wszelkie środki dla zrealizowania widowiska, które Majom - w zmodyfikowanej formie - i tak było znane? Żyli oni przecież w ciemnych pomieszczeniach z oknami przypominającymi otwory strzelnicze - tak czy i owak mogli więc obserwować grę promieni słonecznych. Zamiast udzielić odpowiedzi, można tylko spekulować. Czy kiedyś w podziemnym pomieszczeniu ukrywano figurę boską, dysponującą cudownym lustrem? Czy astronomowie skonstruowali sześciokątny szyb jako wskazówkę, że tęcza zawiera sześć barw widmowych? Czy na dole obrabiano materiał widzialny tylko w świetle spolaryzowanym? Może podczas prac archeologicznych usunięto nierozważnie jakiś kamień o fluorescencyjnych własnościach, kamień, któremu starożytni przypisywali cudowną moc?

John Stephens i Frederick Catherwood w drugim tomie swojego słynnego dzieła opisują dziwne zdarzenie - sięgają przy tym do relacji hiszpańskiego kronikarza Franciska Antonia de Fuentes, powstałej

140 lat wcześniej, czyli około 1700 roku. Fuentes opisuje swoją wizytę w starożytnym mieście Majów, nazywanym Patinamit, ośrodku Indian

Cakchiquelów:

"Na zachodzie wznosi się nad miastem pagórek, na pagórku zaś niewielka, okrągła budowla o wysokości około 11,8 m. W środku budowli stoi cokolwiek ze lśniącej substancji, wyglądającej jak szkło, nie

wiadomo jednak, czym jest naprawdę. Wokół budowli zasiadają sędziowie i wydają wyroki, przy czym wyroki te są wykonywane natychmiast. Zanim jednak wyrok zostanie wykonany, musi być potwierdzony przez wyrocznię. W tym celu trzej sędziowie opuszczają swoje miejsca i udają się w załom doliny. Tam znajduje się miejsce wezwań z czarnym, przezroczystym kamieniem, na którego powierzchni pojawia się bóstwo i potwierdza wyrok. Jeśli zjawa się nie ukáže, skazany jest natychmiast uwalniany. Ten sam kamień jest też proszony o radę, gdy chodzi o rozpoczęcie wojny i zawarcie pokoju.

Później biskup Francisco Marroquin usłyszał o kamieniu i nakazał rozbić go na kawałki. Z największego zrobiono płytę ołtarza kościoła w Tepcan Guatimala. Kamień jest wspaniałością jedyną w swoim rodzaju, długość jego boku wynosi 1,35 metra." [4]

Kiedy Stephens i Catherwood zapragnęli w trakcie podróży badawczych po dawnych terytoriach Majów obejrzeć kamień wyroczni, nie było go już w kościele w Tepcan Guatimala. Miejscowy ksiądz twierdził, że posiada tylko fragment świętego kamienia - w końcu wydobył z czeluści

jakiegoś worka kawałek zwykłego łupka!

Czy w trakcie opisywania kamienia wyroczni de Fuentes poniosła fantazja, czy może ksiądz wyciągnął z worka przypadkowy kamyk, bo bał się pokazać prawdziwy... albo go już nie miał?

Pamiętając o zdolnościach inscenizacyjnych kapłanów, można sobie wyobrazić, że włączyli oni świetlny "cud" z 21 czerwca do swoich rytuałów. Byłoby to przynajmniej częściowe wyjaśnienie problemu, nie wyjaśnia ono jednak do końca fenomenu podziemnego obserwatorium. Jedno nie ulega wątpliwości: jest to dowód na ogrom wiedzy astronomicznej budowniczych.

Czterej latający Indianie z El Tajin

Od dawna interesowali mnie voladores, latający Indianie, ale nigdy nie udało mi się ich zobaczyć w El Tajin. Miałem wprawdzie podobną okazję w Acapulco, lecz tam ludowy zwyczaj przeobraził się w widowisko dla turystów. Teraz moje pragnienie miało się spełnić.

O czwartej po południu samolot towarzystwa "Mexicana", na którego pokładzie znajdowali się: Ralf, zachodnioniemiecki dziennikarz Helmut i ja, wylądował w Veracruz, pierwszej osadzie zbudowanej w Meksyku przez Hiszpanów w 1519 roku, a dziś najważniejszym miastem portowym tego kraju. Teraz już od trzech godzin jechaliśmy samochodem przez plantacje bananów i owoców cytrusowych, ciągnące się wzdłuż wybrzeży Zatoki Meksykańskiej - trzeba było wreszcie poszukać jakiegoś miejsca na nocleg.

Trafiliśmy do miasteczka Tecolutla. Obchodzono tu właśnie fiesta mexicana. Ulicami przeciągały orkiestry. Muzyka była rytmiczna, tańczono swawolnie, jak to w tych rejonach świata. Tłum tworzył mury nie do przebycia. Wszystkie lepsze hotele były zajęte, miejsce znaleźliśmy w "Mar y Sol", czyli "Morze i Słońce", hotelu drugiej kategorii, który czasy świetności miał już za sobą. Pokoje były duże, nawet czyste, ale na tym koniec. Nie funkcjonowało nic. Odrętwiający upał był nie do zniesienia. W końcu uciekliśmy do ogródka hotelowej restauracji.

Po chwili do naszego stolika przysiadł się miły starszy pan. Zastanawiałem się, jak on to może wytrzymać, bo był nawet pod krawatem. Prawdziwy dżentelmen. Zaczęliśmy rozmawiać, zapytaliśmy, dlaczego hotel jest w tak opłakanym stanie, choć pewnie pamięta lepsze czasy. Starszy pan się uśmiechnął:

- Mam sześćdziesiąt cztery lata, jestem Meksykaninem z krwi i kości. Mogę więc powiedzieć panom z czystym sumieniem: w tym kraju nic się nie zmienia, nieważne, kto nami rządzi. Wiąże się to zarówno z naszą mentalnością, jak i z klimatem. Meksyk to cudowny kraj. Mamy ropę naftową, złoto, srebro, kamienie szlachetne, do tego wiekie ilości uranu. Jesteśmy bogaci. Mamy pustynie, dżungle i wysokie góry.

Można u nas przeżyć straszliwe upały i ujrzeć wieczne lody. To kraj, którego nie da się porównać z żadnym innym. Ale ma jedną wadę:

mieszka tu za dużo Meksykanów!

Starszy pan mrugnął do nas i z rozwagą zaczął doprawiać swoją tequillę, wódkę z agawy - do szklanki wsypał szczyptę soli i dorzucił parę kawałków cytryny. My piliśmy bardzo dobre, wytrawne, tanie miejscowe wino.

- Ale dlaczego tu nic nie działa? Lodówka w naszym pokoju nie zepsuła się wczoraj, zagnieździły się w niej nawet pająki. To nie my przepaliliśmy żarówkę w łazience, aja byłem chyba w sześciu drogeriach i w żadnej nie dostałem pasty do zębów...

Nasz rozmówca poprawił krawat i uśmiechnął się:

- Opowiem pewną historię, być może wówczas zrozumieją panowie lepiej naszą mentalność:

Pociąg kursujący na trasie Villahermosa-Campeche spóźnia się zawsze, co dzień - nikomu to już nie przeszkadza. Meksykanie, biali i Indianie siedzą cierpliwie na peronie, gadają, palą, piją tequillę, po raz któryś żegnają się z rodzinami. Ale pewnego dnia zdarzył się cud: pociąg przyjechał do Campeche o dwie godziny za wcześnie. Wszyscy biegali zdenerwowani: gdzie moja żona, gdzie moje dzieci, gdzie moje walizki? Potem okazało się, że to pociąg wczorajszy!

Helmut, dziennikarz i fotograf, uparł się, żeby zdjęcia El Tajin zrobić o wschodzie słońca, wyruszyliśmy więc w drogę jeszcze w nocy, o piątej rano. Brzask rozświetlił niebo, gdy dotarliśmy do obszaru archeologicznego El Tajin. Dumni, że udało nam się przybyć tak wcześnie, mieliśmy już przemaszerować przez żelazną bramę, ale zatrzymał nas strażnik, który z uporem maniaka twierdził, że zwiedzać można dopiero od dziewiątej. Zawiodły wszelkie próby przemówienia mu do rozumu, nie udało się nawet skuteczna zwykle próba przekupstwa. Cóż było robić? Wciągnęliśmy strażnika w rozmowę, a Helmut prześliznął się za jego plecami. El Tajin zostało sfotografowane tuż po wschodzie słońca. My weszliśmy tam dopiero z wybiciem dziewiątej.

Nie znoszę stereotypów, nic jednak nie mogę poradzić, że znów nie wiadomo, kto zbudował El Tajin. Na brak spekulacji nie można narzekać, pewne jest jednak tylko to, że mieszkańcy El Tajin musieli mieć kontakty z kulturą Majów i z kulturą Teotihuacan. Nazwa miejscowości pochodzi od nazwy wielkiej piramidy niszowej, zwanej Tajin. Tak nazwali ją Totonakowie, indiański lud mieszkający nad Zatoką Meksykańską i mówiący własnym językiem. Tajin znaczy tyle, co "błyskawica", niekiedy przekłada się również jako "grzmot"

i "dym",

W El Tajin są dwa place do obrzędowej gry w piłkę, jeden luksusowy - na otaczających go murach pełno wspaniałych reliefów. Ale największą atrakcją El Tajin jest niezwykła, siedmiostopniowa piramida o wysokości 25 m i podstawie 35x35 m, mająca 365 nisz oraz strome schody prowadzące na szczyt. Podobno każda nisza odpowiada jednemu dniu roku, a każdy dzień jest poświęcony innemu bóstwu. Piramidę wzniesiono na pozostałościach znacznie starszej, nieznannej budowli. Świątynię na szczycie ozdobiono wizerunkami pierzastego węża. Zależnie od położenia Słońca na niebie nisze wypełniają krótkie bądź długie cienie, w południe lśnią musztardowo, wieczorem odbijają czerwień zachodu.

Znamy dopiero jedną dziesiątą (!) hogactw El Tajin, ale już wiadomo, że dżungla kryje jeszcze ponad sto budynków. Totonakowie, lud mieszkający w tym rejonie do dziś, twierdzą, że El Tajin zbudowali ich przodkowie. To błąd. El Tajin istniało, nim pojawili się Totonakowie.

Staliśmy na stopniach piramidy, gdy ten sam strażnik, który tak surowo postąpił z nami dzisiejszego ranka, a któremu zdradziliśmy później cel naszego przybycia, zawołał:

- Los voladores, señores! - Po czym zaprowadził nas do latających Indian.

W środku kręgu stał stalowy maszt o wysokości około 50 m. Po chwili podeszło do niego pięciu Indian - mieli na sobie białe koszule fantastyczne nakrycia głowy i czerwone spodnie wyszywane u dołu w kolorowe wzory. Czterech przyłożyło do warg niewielkie flety i zaintonowało monotonną melodię, której towarzyszyło rytmiczne bicie w bębenek. To wznosząc, to spuszczać głowy wprowadzali się tańcem w ekstazę - przytupywali do taktu, po chwili ich ruchy jakby zeszywniały... instrumenty zamilkły, Indianie stanęli w kręgu i skłonili się nisko.

Odprężeni podchodzili do masztu i wspinali się na samą górę, gdzie była umocowana niewielka ażurowa platforma. Gdy dotarli do celu, każdy przywiązał sobie do kostki prawej nogi linę. Potem na szczyt wszedł piąty Indianin i znów zaczął wygrywać melodię na niewielkim flecie, kołysząc się przy

tym w tańcu - obracał się, przytupywał prawie niepostrzeżenie do taktu melodii granej już na wstępie. Potem wziął ton, który był chyba sygnałem do rozpoczęcia widowiska: czterej Indianie rzucili się w dół. Było to jednak spadanie powolne, bo liny, które mieli przywiązane do kostek, owinięto przedtem wokół masztu tak, że odwijają się w trakcie opadania voladores. Z rękoma rozpostartymi jakby do lotu wielkim łukiem okrążyli maszt 13 razy, co miało swoją symbolikę. Każdy z czterech Indian okrążył maszt 13 razy, co w sumie dawało 52 obroty - cykl kalendarza Majów zamyka się liczbą 52! Co 52 lata Indianie z lękiem oczekiwali powrotu bogów, co 52 lata obserwowali z uwagą cztery strony nieba. Czterej odważni Indianie zaś uosabiali, symbolizowali niejako owo mityczne zdarzenie.

Majowie to dziwny lud. Kim byli naprawdę? Kim byli ich przodkowie? Kim ich bogowie? Cokolwiek powiedziano dotychczas na ich temat, to i tak: "Nie ma prawd bezspornych, a gdyby nawet były, byłyby nudne"- napisał Theodor Fontane (1819-1898).

II. Początek końca

Prawda jest niczym niebo, a domniemanie jak chmury.

Joseph Joubert (1754-1824)

Zachodnia premiera tlachtli odbyła się w pewien słoneczny, upalny jesienny dzień 1528 r. na hiszpańskim dworze w Granadzie.

Pomysłowy i triumfujący szczęściarz Hernan Cortes poza kosztownościami przywiózł z Meksyku cesarzowi Karolowi V (1519-1556) dla rozrywki drużynę azteckich graczy w piłkę. Miała ona teraz zaprezentować dworskiemu towarzystwu swoje nadzwyczajne umiejętności. Gra toczyła się na otoczonym murem prostokątnym podwórku o wymiarach 40 x 15 m. Na górze zasiadły cesarskie wysokości wraz z orszakiem. Wszyscy byli już nieco znudzeni codziennymi atrakcjami dość pośledniej miary. Wkrótce jednak mężczyźni umilkli, damy zaś złożyły na kolanach wachlarze z kości słoniowej. To, co działo się na placu gry, zaparło wszystkim dech w piersi. Czegoś takiego nie widziano jeszcze w Starym Świecie.

Doskonale wyćwiczeni Indianie grali pięcioletnią elastyczną kulą zrobioną z dziwnego materiału, który nazywali gumą. Gra toczyła się według surowych reguł: wielkiej piłki nie wolno było dotknąć ani głową, ani stopami, nie mogła ona też upaść na ziemię - tym bardziej leżeć na niej choćby przez chwilę. Piłkę utrzymywano w powietrzu szybkimi i zręcznymi uderzeniami bioder, łokci i kolan. Indianie rzucali się ku niej szczupakiem, podbijając ją dalej to biodrami, to barkami, to ramionami. Przegrywała drużyna, której nie udało się przeprowadzić piłki na połowę przeciwnika. Punktem kulminacyjnym, a zarazem celem gry było przerwienie gumowej kuli przez kamienny pierścień umieszczony na pewnej wysokości w murze znajdującym się w środku boiska. Była to mordercza gra! Rozbijano sobie nosy, a kości pękały z tak nieprzyjemnym trzaskiem, że kilka wytwornych dam poblądłszy osunęło się w ramiona służby. "Niektórych graczy znoszono z boiska martwych"

- napisał jeden z Hiszpanów, który był naocznym świadkiem widowiska - "bądź też odnieśli oni w trakcie gry ciężkie rany kolan i ud". [1] Tlachtli, którą zaprezentowano w Europie jako nowość,

liczyła już sobie tysiące lat - Aztekowie przejęli ją od Majów. Dla tych ostatnich kula symbolizowała planety, wierzyli bowiem, że Wszechświat jest świętym placem gry bogów, a planety piłkami. Również biskup Diego de Landa, skrupulatny kronikarz owych czasów, pisał, że początkowo graczami w tlachtli byli bogowie - dopiero gdy zniknęli, ich rolę przejęli kapłani Majów. [2]

W świecie wyobrażeń Majów bogowie grali planetami! Wiedząc, że taki właśnie był wzór, nie powinniśmy się dziwić, że w ziemskiej wersji niebiańskiej gry walka toczyła się na śmierć i życie - kapitana przegranej drużyny przeznaczano na ofiarę dla boga gry, Xolotla, i żywcem wrywano mu serce z piersi. Pozostali gracze, jeśli mieli odrobinę szczęścia, zostawali niewolnikami, w zwyczaju było jednak, że ich też składano w ofierze. Zwycięzców natomiast fetowano i czczono w sposób nadzwyczaj uroczysty, obdarowując kosztownościami i drogocennymi ubraniami. Z dawnych relacji wiadomo, że widzowie obrzucali zwycięzców ziarnem kakaowym - można więc przypuszczać, że owoce te były znane z tropikalnych rejonów Ameryki oraz że były towarem poszukiwanym. W każdym razie reguły tlachtli były równie brutalne jak gry bogów planetami we Wszechświecie.

Cóż to jednak był za lud ci Majowie - budowali wspaniałe miasta, piramidy i obserwatoria astronomiczne, lecz mimo tak wysokiego poziomu kultury składali w trakcie gry ofiary z ludzi. Kim byli ich bogowie, których planetarnego pingponga miała naśladować brutalna tlachtli?

Nieszczęśliwe odkrycie

O mały włos genueński kapitan Cristóbal Colón, który przeszedł do historii jako Krzysztof Kolumb (1451-1506), zostałby pierwszym Europejczykiem, jaki nawiązał kontakt z Majami. W trakcie czwartej ekspedycji, gdy latem 1502 roku żeglował wzdłuż północnych wybrzeży dzisiejszego Hondurasu, jego ludzie zauważyli nieoczekiwanie w oddali wielką łódź z indiańskimi kupcami. Wprawdzie Hiszpanów zdumiało wyposażenie statku i jaskrawe stroje ciemnoskórej załogi, lecz Kolumb nie pozwolił zmienić kursu dla dokładniejszego obejrzenia łodzi i popłynął dalej na wschód, na znane już sobie wody Karaibów. Majom udało się uniknąć odkrycia.

Ale dziewięć lat później, w 1511 roku, nadszedł już na to czas. Kapitan Pedro de Valdivia pożeglował z rozkazu Najjaśniejszego Pana od Wybrzeży Panamy w kierunku Santo Domingo, żeby tamtejszemu gubernatorowi przekazać tajny raport o intrygach Panamy oraz dar dla króla - dwadzieścia tysięcy dukatów w złocie.

De Valdivia dowodził karawelą, typem statku, który sprawdził się w ekspedycjach tego rodzaju. Karawela miała szeroki dziób, dość niską wolną burtę i wysoki nawis rufowy. Na wysokości Jamajki karawela Valdivii rostrzaskała się na rafe koralowej. Wśród 20 ludzi, którym udało się dostać do łodzi ratunkowej, maleńkiej jak skorupka orzecha, znajdował się też kapitan. Bez jedzenia i wody, z podartym żaglem i połamanym sterem rozbitkowie zdryfowali do wschodnich wybrzeży Jukatenu. W trakcie niezamierzonej podróży zmarło ośmiu ludzi, których ciała rzucono rekinom na pożarcie. Na brzeg wyszło dwanaście ludzkich szkieletów. O tym, co było potem, pisze biskup Diego de Landa:

"Ci nieszczęśliwcy wpadli w ręce złego kacyka (wodza), który złożył swoim bożkom w ofierze Valdivię oraz jego czterech ludzi, z ich ciał zaś zgotował ucztę dla swego ludu. Przy życiu zachował Aguilara oraz Guerrera (księdza i marynarza) oraz pięciu czy sześciu innych. Zamierzał ich utuczyć. Rozhili oni jednak więzienie i udało im się uciec do wodza innego plemienia, który był wrogiem pierwszego wodza, do tego był bardziej miłosierny. Wprawdzie uczynił z nich niewolników, lecz traktował bardzo przyjaźnie. Niestety wkrótce zabrała ich choroba, tak że przy życiu pozostali

jedynie Gerónimo de Aguilar i Gonzalo Guerrero. Aguilar był dobrym chrześcijaninem i miał przy sobie brewiarz, nie zapominał więc o dniach świąt [...]." [2]

Gerónimo de Aguilar, ksiądz, i Gonzalo Guerrero, marynarz, żyli na wschodnich wybrzeżach Jukatanu wśród Majów w pobliżu Tulúm, w którym znajdowało się wiele pałaców i fortyfikacji. Hiszpanie nauczyli się wkrótce języka Majów, zdobyli ich zaufanie, wyniesiono ich nawet do godności doradców miejscowego władcy.

Minęło osiem lat. Do portu na wyspie Cozumel zawinęło wiosną 1519

roku 10 statków pod dowództwem zdobywcy Meksyku, Hernana

Cortesa (1485-1547). Zaledwie Cortes znalazł się na wyspie, przyjaźnie nastawieni Indianie poinformowali go, że na stałym lądzie więzieni są dwaj brodaci hiszpańscy mężczyźni. Energiczny Cortes natychmiast zaplanował ekspedycję zbrojną dla uwolnienia obu ziomków, później jednak przychylił się do rady kapitanów swoich statków, którzy uważali, że nieznane wody pełne raf i podwodnych skał są zbyt niebezpieczne, żeby przeprowadzać na nich bez przygotowania takie operacje.

Cortes napisał więc po hiszpańsku listy, w których prosił władców o uwolnienie rodaków, miał bowiem zamiar włączyć ich do swojego oddziału. Nie skłaniał go do tego altruizm: doskonale zdawał sobie sprawę, jak przydatni dla jego podbojów byłiby Hiszpanie, znający nie tylko język, lecz również zwyczaje mieszkańców tych ziem, obce hiszpańskiej kulturze.

Listy miał doręczyć pewien indiański szlachcic, którego szalupą zawieziono na stały ląd i dano bezwartościowe szklane paciorki na wykupienie Hiszpanów.

Ksiądz Gerónimo de Aguilar przybył na wezwanie i z oddaniem służył Cortesowi jako tłumacz oraz informator.

Ale marynarz Gonzalo Guerrero już dawno przestał być niewolnikiem i przeniósł się do leżącego w pobliżu Tulúm miasta Chetumal. Przyjął go tam gościnnie miejscowy książę, który oddał mu swoją córkę za żonę.

Gonzalo zdecydowanie odrzucił ofertę Cortesa, bo już od dawna myślał i czuł jak Majowie. Po za tym wiedział aż za dobrze, czego naprawdę mogą się spodziewać jego nowi przyjaciele, kiedy Hiszpanie rozpoczną już podbój pod znakiem krzyża. Odpisał więc bez zwłoki

Cortesowi:

"Jestem żonaty, mam troje dzieci, uczyniono mnie dowódcą wojsk. Moją twarz pokrywa tatuaż, wargi mam poprzębijane na wylot, w uszach noszę kolczyki. Cóż powiedzą Hiszpanie, gdy znajdę się pośród nich..." [3]

Gonzalo Guerrero stał się najzacieklejszym wrogiem Hiszpanów. Wezwał Majów do stawienia oporu, z rozpaczą próbował wyjaśnić dobrodusznym Indianom prawdziwe zamiary białych intruzów. Przez 17 lat Gonzalo stawiał opór swoim rodakom, był pierwszym bojownikiem ruchu oporu, pierwszym guerrillo w Ameryce Środkowej. Dopiero w 1536 roku na terenie dzisiejszego zachodniego Hondurasu Hiszpanie zabili białego, brodatego mężczyznę, który jak szalony walczył po stronie Majów. Ów biały człowiek był nagi, nosił kolczyki oraz inne indiańskie ozdoby, jego ciało pokrywał tatuaż - był to Gonzalo Guerrero.

Krzyż pretekstem, złoto celem

Dwa lata przed Cortesem, w lutym 1517 roku, admirał Francisco

Hernandez de Cordoba wyruszył z Santiago de Cuba dla zdobycia niewolników - na pokładzie trzech statków było 110 marynarzy. Po trzytygodniowej żegludze Hiszpanie spostrzegli miasto Ecab. Byli

wprawdzie pod wrażeniem wspaniałych świątyń i piramid, ale piękno budowli Majów nie powstrzymało ich przed splądrowaniem i zrujnowaniem miasta na oczach osłupiałych mieszkańców pociskami swojej potężnej broni - był to element hiszpańskiej strategii stosowanej w trakcie "odkrywania" Ameryki Środkowej.

Po brutalnym zwycięstwie nad Ecab admirał Cordoba rozkazał położyć statki na kurs do zachodnich wybrzeży zatoki Campeche. Zebrały się tam tłumy Majów, którzy obcych przybyszy powitali serdecznie jak dzieci i ugościli czym chata bogata.

Pobyt Hiszpanów był o tyle istotny, że szpiegzy admirała donieśli prawie od razu, iż nieco dalej na południe leży na wybrzeżu wielkie i bogate miasto Champotón. Champotón było ważnym centrum

Majów-Itza, książęcego rodu pozostającego pod wpływem kultury tolteckiej, plemię to - podobnie jak Aztekowie - przywędrowało do prekolumbijskiego Meksyku z północy.

Rezydent Champotón jednak był albo bardziej przebiegły od swojego kolegi, burmistrza Ecab, albo podejrzliwy z natury... albo ostrzeżono go przed Hiszpanami. Stutysięcznej armii Majów rozkazał przybyć do portu i otoczyć przybyszy. O rzezi, jaka potem nastąpiła opowiada biskup Diego de Landa:

"Aby nie wyjść na tchórza, Francisco Hernandez de Cordoba ustawił swoich ludzi w szyku bojowym i kazał wypalić z dział okrętowych. Ale mimo że Indianie nie znali huk, dymu i ognia wystrzałów, nie przestali z wielkim wrzaskiem atakować Hiszpanów. Ci zaś w obronie zadawali Indianom straszliwe rany i wielu zabili. Mimo to wódz nadal zagrzewał Indian do walki tak, że wkrótce odparli oni atak Hiszpanów, zabijając dwudziestu, raniąc pięćdziesięciu i biorąc dwóch do niewoli. Francisco Hernandez de Cordoba odniósł trzydzieści trzy rany i pobity zawrócił na Kubę [...]" [2]

W parę dni później admirał Cordoba zmarł z odniesionych ran w swojej posiadłości na tropikalnej wyspie. Na łożu śmierci pokazał przyjacielowi, gubernatorowi Kuby Diego Velazquezowi, posążek ze złota oraz kilka przedmiotów kultowych przywiezionych z wyprawy okupionej tak dotkliwymi stratami. Velazquez miał nosa typowego dla hiszpańskich zdobywców - od razu podjął złoty trop.

Już wiosną 1518 roku wyposażył swojego bratanka, Juana de Grijalwę, w ciężkozbrojny korpus ekspedycyjny. De Grijalva miał w imieniu korony hiszpańskiej objąć w posiadanie obszary odkryte przez zmarłego niedawno Cordobę.

Sterując nieco bardziej na południe de Grijalva dotarł 5 maja 1518

- w rok po wizycie Cordoby - do wyspy Cozumel. Ojcowie duchowni, którzy zawsze towarzyszyli wyprawom, marzyli o tym, żeby szczęśliwych dotąd i przyjaźnie usposobionych Indian ochrzcić w imieniu

Jezusa Chrystusa. Ci jednak natychmiast umknęli przed okazywaną im łaską na kontynent. Hiszpanie zaczęli podejrzewać, że tubylcy wycofali się do któregoś z legendarnych złotych miast. Wytropienie uciekinierów oznaczałoby odnalezienie złota. Żeglując wzdłuż wybrzeży Jukatanu de Grijalva i jego ludzie ujrzeli ze zdumieniem miasto o białych świątyniach i wieżach, równie potężnych jak budowle w ich rodzinnej Sewilli. Było to

Tulum, wznoszący się na wysokiej nadmorskiej skale jeden z ośrodków Majów, w którego sąsiedztwie mieszkali przez osiem lat de Aguilar i Guerrero. Hiszpanie nie odważyli się zaatakować miasta. Potężne fortyfikacje zdawały się nie do zdobycia.

Tulum było jednym z niewielu siedlisk Majów otoczonych z trzech stron murami. Pozostałe miasta były otwarte - nie miały ani fortyfikacji, ani obwałowań. Tulum było ośrodkiem szczególnym,

zbudowanym według planu: główne ulice przebiegały równolegle do siebie z północy na południe. Świątynie i inne budowle kultowe wznosiły się, a często miały po kilka pięter, niczym białozłote latarnie morskie nad błękitnymi wodami Morza Karaibskiego. Największą świętością była świątynia uskrzydłonego boga zstępującego z nieba, boga, którego nowoczesna archeologia zdegradowała do roli boga pszczoł, zwanego

Ah Muzen Cab. Artystyczne wizerunki domniemanego boga pszczoł, znajdujące się na wielu budynkach, wcale nie ukazują pracowitego zbieracza miodu - przedstawiają istotę o ludzkiej twarzy sfruwającą z nieba. Istota ta, jak się zdaje, szybuje w dół. Ręce ma zgięte w łokciach prawie pod kątem prostym - jakby trzymała wolant lub drążek sterowy. Obute nogi opierają się na czymś podobnym do opierzonych szcudeł opatrzonych pedałami. To, że ów tajemniczy boski zbieracz miodu ma na sobie jakby dres a na głowie kask, dopełnia zagadki.

Tulum, na którego widok de Grijalva skapitulował bez walki znaczy podobno "twierdza", a za czasów Majów nazywało się jakoby Tzama

- Miasto Jutrzenki. Z Tulum wielokilometrowe drogi prowadzą do tak znamienitych ośrodków kultury Majów jak Coba, Yaxuna i Chichen-Itza.

Admirał Juan de Grijalva zląkł się miasta o tysiącletniej historii. To pewne, bo na stelach oraz w świątyni Fresków odczytano hieroglify kalendarzowe, świadczące o wieku Tulum. De Grijalva powinien był obejrzeć wspaniałe miasto - zwiedzić je, nie zdobywać.

Tymczasem pożegłował dalej na południe, przekonany, że Jukatan jest wielką wyspą i że za jakiś czas wróci do punktu wyjścia. Skierował flotę do zatoki, a że był właśnie dzień Wniebowstąpienia, nazwał ją Ascensión - Zatoką Wniebowstąpienia! Nazywa się ona tak po dziś dzień.

Nazwa Jukatan natomiast jest typowym przykładem nieporozumienia językowego. Kiedy hiszpańscy łowcy niewolników za pomocą gestów, min i hiszpańskich słów próbowali dowiedzieć się od indiańskich rybaków, jak nazywa się ląd, na którym stanęli, Majowie odpowiadali uprzejmie: "Ci-uthan!", co znaczyło: "Nie rozumiemy.

Co mówicie?" Hiszpanie zaś uznali pytanie za nazwę kraju. W ten sposób Jukatan trafił do atlasów. Na szczęście ta nazwa jest nieco mniej skomplikowana od rdzennego określenia półwyspu: Ulumil cuz yetel ceh

- Kraj Jeleni i Indyków. Zostańmy lepiej przy Jukatanie...

W końcu de Grijalva wydał flocie rozkaz okrążenia północnego cypla Jukataniu i wylądował - jak rok przed nim Cordoba - w okolicach Champotón. Poprzednio księciu rządzącemu miastem, który podjął ofensywną walkę z Hiszpanami, udało się odeprzeć oddziały pod dowództwem Cordoby. Teraz nie wiedział, że ludzie de Grijalvy dysponują znacznie większą ilością jeszcze potężniejszej broni. Mimo ciężkich strat Hiszpanie zajęli miasto. De Grijalva bawił tu krótko. Przemienne pragnienie wcielenia do Królestwa Hiszpanii jakiejś wyspy gnało go dalej na północ - bo wedle ówczesnej wiedzy wybrzeże miało w końcu zakręcać na południe. Tak jednak nie było.

Na wysokości dzisiejszego Veracruz, w pobliżu płaskich wybrzeży Zatoki Meksykańskiej de Grijalva rozkazał zawrócić. W okolicach Pontochan marynarzom pozwolono odpocząć na lądzie. Tu Hiszpanie spotkali tak przyjaźnie nastawionych i pogodnych Majów z plemienia

Chontal że nawet rębajły tak skore do bitki jak Grijalva nie potrafiły znaleźć pretekstu do rozpoczęcia walki.

A jednak! Właśnie w okolicach Pontochan, w tej sielskiej okolicy, rozpoczęła się przerażająca eksterminacja ludności imperiów Majów i Azteków.

Apokalipsa

Nawet w odległym królestwie Azteków Montezuma II (ok. 1466-1520), najwyższy kapłan i wszechmocny władca dowiedział się, że obce statki z białymi ludźmi przybyły "stamtąd, gdzie wschodzi słońce. Montezuma i kapłani przypuszczali, że obcy są wysłannikami boga Quetzalcoatl. Bardzo stare podanie Azteków i Majów mówiło, że bóg wiatru, bóg księżyca i Gwiazdy Zarannej, bóg nauk, w pradawnych" niepamiętnych czasach zniknął "na Wschodzie" "w Gwieździe Zarannej" - powróci jednak stamtąd pewnego odległego dnia. Nastanie wówczas szczęśliwa epoka. Czując bliską radość z obiecanego powrotu boga, Montezuma posłał hiszpańskiemu admirałowi de Grijalvie kosztowne dary: perły, kamienie szlachetne, wspaniałe tkaniny - oraz złoto! De Grijalva był również uszczęśliwiony, co zdumiony. Nic dotychczas nie słyszał o bogatym władcy Montezumie II. Hiszpanie nie domyślali się nawet istnienia ogromnego królestwa Azteków. Majowie-Chontal opowiadali z zachwytem o wielkim kraju na północy, gdzie znajdują się góry złota. Przedstawiając tak barwnie królestwo Azteków, zauważyli od razu, że Hiszpanie nastawiają ucha słysząc o bogactwach. Majowie zwietrzyli w tym dla siebie szansę - mieli nadzieję wyjść z opresji cało. Poza tym zazdrościli sąsiadom bogactwa.

Ich spekulacje wydały w końcu plony. De Grijalva kazał postawić żagle, aby jak najszybciej przekazać do kwatery głównej gubernatora Kuby, Diego de Velazqueza, pomyslną nowinę - złoto! W tym czasie ; na Kubie przebywał Hernan Cortes.

Cortes pochodził ze szlachty, był synem oficera piechoty, wychował się w Medelli w hiszpańskiej prowincji Estremadura. Na uniwersytecie w Salamance studiował prawo - znajomość tej nauki nie przeszkadzała mu jednak w czynieniu niesprawiedliwości. Już wówczas najważniejsze było dlań zdanie zjezuickiej teologii moralnej XVII wieku: "Cel uświęca środki". Ponieważ dekrety królewskie błogosławiły cel, Cortes nie wahał się ani przez chwilę przed stosowaniem najbardziej barbarzyńskich środków.

W trakcie awanturniczych wypraw do Nowego Świata, kiedy u boku Diego Velazqueza brał udział w zdobywaniu Kuby, Cortes skończył dwadzieścia sześć lat. Za męstwo okazane w walce - cokolwiek byśmy przez to rozumieli - otrzymał wysokie odznaczenie.

Ambicja oraz prywatnie doprowadziły jednak do zerwania z Velazquezem. Cortes znalazł się w więzieniu, ale w końcu udało mu się poślubić nawet córkę gubernatora. W cieniu teścia czekał na swój wielki dzień. Jako wysoki urzędnik, hodowca bydła (sprowadził na Kubę europejskie rasy), właściciel wielkich posiadłości i kopalń złota zbijał gorliwie majątek, marzył jednak o czymś znacznie większym - o swojej wielkiej szansie.

Szansa trafiła mu się, gdy de Grijalva zawinął na Kubę po odbyciu podróży wokół Jukatanu i opowiedział o złotym bogactwie władcy Azteków. Siostrzeniec (de Grijalva) i zięć (Cortes) zaczęli rywalizować o łaski Velazqueza. Obu marzyło się złoto i sława. Obaj mieli nadzieję na zdobycie legendarnego skarbu. Dla obu pretekstem było niesienie krzyża chrześcijaństwa do "dzikich".

Zwyciężył Cortes. Dla sfinansowania tego niezwykle obiecującego przedsięwzięcia był gotów sprzedać wszystkie swoje posiadłości, zaryzykować całym majątkiem. Po parę groszy dorzucili również przyjaciele

- cisi współnicy bądź akcjonariusze. Wobec takiego kapitału startowego de Grijalva spasował.

Velazquez mianował Cortesa dowódcą nowej floty.

Tak więc 10 lutego 1511 roku od brzegów Kuby odbiło 11 żaglowców. Na statkach znalazło się 110 marynarzy, 508 żołnierzy, 32 kuszników, 13 kanonierów oraz 10 ciężkich i 4 lekkie działa. W kłatkach rżało 16 koni. Dumna armada!

Tego lutowego dnia Cortes nie przypuszczał, że ludy Majów i Azteków liczą miliony ludzi. Nie wiedział również, że on sam przejdzie do historii jako wandal i niszczyciel najwspanialszych kultur - nie mających sobie równych na całej kuli ziemskiej. Gdyby nawet wiedział, jak historia oceni jego uczynki, to i tak by się tym nie przejął.

Proch

Wyspę Cozumel, którą Cordoba i de Grijalva zostawili w spokoju, Cortes zajął od jednego natarcia, ochrzcił Indian i uznał ich za poddanych korony hiszpańskiej.

Potem pożegłował śladem swoich poprzedników wzdłuż wybrzeży Jukatanu na zachód, kierując się nadal błędnym poglądem, że okrąża wyspę. W końcu dla zdobycia prowiantu wylądował w okolicach

Pontochan. O ile de Grijalwę przyjęto tu przyjaźnie, o tyle Cortes stanął oko w oko z armią Majów liczącą 40 tysięcy wojowników.

Dzięki armatom i konnym kusznikom zwyciężył, zamieniając bitwę w rzeź. Odważnym, lecz naiwnym Indianom dwugłowe monstra składające się z koni przystrojonych bogato w kolorowe barwy i jeźdźców w błyszczących zbrojach wydały się demonicznymi potworami - koń i jeździec bowiem stanowili w ich oczach jedną całość.

Majowie nie znali prochu. Armaty plujące ogniem i tworzące w szeregach indiańskich wojowników wielkie wyrwy, odebrały Majom wszelką chęć do walki. Stali patrząc na żelazne kule, które ciągnęły za sobą ogniste smugi. Czyż nie była to tlachtli, boska gra, którą oni opanowali tylko dlatego, aby zgodnie z pragnieniem i wolą bogów składać życie w ofierze?

Hernan Cortes zrozumiał, jakiemu szczęśliwemu zbiegowi okoliczności jego armia zawdzięcza zwycięstwo. 10 lipca 1519 roku napisał do cesarza Karola V i jego małżonki Juan :

"Niechże więc Ich Królewskie Wysokości będą pewne, że w walce tej zwycięstwo zawdzięczamy bardziej woli boskiej niżli naszej sile, bo jakąż ochroną wobec czterdziestu tysięcy wojowników jest czterystu, a tyluż liczył nasz oddział." [4]

Choć Cortesowi zaczynało powoli świtać, że na czele tych mężnych i dobrze zorganizowanych oddziałów, na które się wszędzie natykał, musi stać naczelnym wódz, nie zrezygnował z szaleńczego przedsięwzięcia - szedł nadal w 500 żołnierzy przeciwko milionom! Na jego czarnym sztandarze haftowanym złotem widniał krzyż w kardynalskiej purpurze, pod nim zaś hasło: "In hoc signo vinces" - "Pod tym znakiem zwyciężysz! Było to motto rzymskiego cesarza Konstantyna Wielkiego (286 - 337) który chrześcijaństwo wyniósł do godności religii państwowej. [5] Sloganem "Pod tym znakiem zwyciężymy!" demagogiczny

Cortes kończył wszystkie przemowy do swoich ludzi, których zagrzewał do walki obietnicami - a nie był drobiazgowy - dotyczącymi zarówno życia doczesnego, jak i wiecznego: złoto na ziemi, wieczna zapłata w niebie.

Zawadiaka i misjonarz w jednej osobie oparł się Cortes wszelkim przeciwnościom klimatu, uprzykrzonym moskitom i chorobom szalejącym w dżungli.

Stał się założycielem pierwszego hiszpańskiego miasta w Meksyku, które w trakcie całego okresu kolonizacji stanowiło punkt wyjścia dla srebrnych flotylli. Było to Veracruz (co znaczy "Prawdziwy Krzyż"). Jego zdziesiątkowani żołnierze musieli w końcu zrozumieć, że nie ma dla nich odwrotu, że już nic im nie pozostało. Na ich oczach kazał spalić okręty. [6] Nic więc dziwnego, że Hiszpanie poczuli niewyobrażalny przypływ sił, że nie wahali się przed żadnym okrucieństwem. Gdy Cortes maszerował ze swoim oddziałem gnany nieludzką wolą zwycięstwa, w szeregach Majów i

Azteków rosła jego sława jako niezwyciężonego dowódcy. Poza tym Cortes w sposób niezwykle wyrachowany wygrywał antagonizmy dzielące indiańskie plemiona i zdobywał nowych sprzymierzeńców, którym wmawiał, że jego sprawa jest również ich sprawą.

Jak bóg Quetzalcoatl przyczynił się do zniszczenia metropolii Azteków

Obeznany z wszelakimi kruczkami dowódca Hiszpanów zauważył, że Tlaxcalanie - Indianie z Wyżyny Meksykańskiej - starają się zachować niezawisłość wobec Azteków, a dla ich podbicia są nawet skłonni sprzymierzyć się z Hiszpanami. Kiedy więc Cortes ruszał do ataku na metropolię Azteków, Tenochtitlan, u jego boku gotowało się do wymarszu również sześć tysięcy Tlaxcalan. Mimo to Montezuma za wszelką cenę starał się usposobić przychylnie wojowniczego Hiszpana. Jego poselstwa wciąż przekazywały Cortesowi kosztowne prezenty i prosiły o niewkraczanie do miasta. Podarunki i uprzejmości miały niestety odwrotny skutek: 15 listopada 1519 roku oddział pod dowództwem Cortesa stanął pod Tenochtitlan.

W środku srebrnej laguny, w promieniach porannego słońca widać było w całej okazałości miasto ze starymi, tajemniczymi świątyniami, pałacami świadczącymi o ogromnym bogactwie, wielkimi placami otoczonymi murami i kolumnami, siedemdziesięcioma tysiącami domów mieszkalnych - nad wszystkim zaś wznosiły się lśniące szczyty piramid.

Ubrany w przepyszny mundur admirałski Cortes stał niewzruszenie na czele swojego oddziału. Armię Tlaxcalan zostawił jednak w obozie. Konni kusznicy - na lancach powiewały im barwne chorągwie i proporczyki - ochraniali z obu stron zwycięski oddział wkraczający triumfalnie szeroką awenidą do Tenochtitlan.

Na powitanie obcych Montezumę wyniesiono w lekyce obwieszanej klejnotami i ociekającej złotem, a dźwiganej przez niewolników, którzy na miejscu spotkania rozpostarli na ziemi bawełniany dywan. Cortes zeskoczył lekko z konia i od tej chwili ani na moment nie spuszczał wzroku ze zbliżającego się doń władcy Azteków. O tym spotkaniu C.W. Ceram tak napisał w swojej słynnej na całym świecie książce *Bogowie, groby i uczeni*:

"Po raz pierwszy w wielkiej historii odkryć, o której opowiada nasza książka, zdarzyło się, że człowiek chrześcijańskiego Zachodu nie musiał rekonstruować obcej, bogatej kultury, lecz zastawał ją żywą Cortes stojący przed Montezumą to tak, jak gdyby Brugsch-bej spotkał nagle w dolinie Der-el-bahri Ramzesa Wielkiego lub jak gdyby Koldewey ujrzał przed sobą w wiszących ogrodach Babilonu spacerującego Nabuchodonozora i jak gdyby obaj mogli z nimi swobodnie rozmawiać tak jak Cortes z Montezumą." [7]

Montezuma dowodził armią liczącą 200 tysięcy ludzi. Mimo broni palnej, jaką dysponowali Hiszpanie, Aztekowie mogliby unicestwić niewielki oddział intruzów w mgnieniu oka. Dlaczego Montezuma nie podjął walki? Dlaczego był nastawiony tak ugodowo?

Nie jest to aż tak niezrozumiałe, jak zdawałoby się na pierwszy rzut oka. Jego postępowanie wyjaśnia zarówno religia, jak i azteckie legendy. Tak jak żydzi wciąż oczekują nadejścia swojego mesjasza, mahometanie mahdiego, jak Inkowie czekają z utęsknieniem na boga Wirakoczę a mieszkańcy wysp południowych wierzą w ponowne przyjście boga Lono - tak samo Aztekowie czekali na powrót legendarnego boga Quetzalcoatla. Nie, w żadnym razie nie uważali Cortesa za boga, przypuszczali jednak, że Hiszpan jest wysłannikiem tej mitycznej postaci.

Kim był Quetzalcoatl? I dlaczego Aztekowie z taką nadzieją wierzyli w jego powrót?

Wedle księgi legend, znanej jako Kodeks Chimalpopoca, Quetzalcoatl przebywał wśród Indian przez 52 lata. W trakcie pobytu był uważany za księcia-kapłana i stwórcę człowieka, otaczała go

również aura mistrza nosiciela kultury oraz wcielenie posłańca bogów. [8]

Quetzalcoatl znaczy "wąż o zielonym upierzeniu". Przyozdabiała go zielone pióra - właśnie dlatego przedstawiano go w postaci latającego węża. Jego symbolem była planeta Wenus. Aztecka legenda opowiada, że Quetzalcoatl był istotą wielkiej i silnej postury, że w jego twarzy dominowało duże czoło, spod którego patrzyły szeroko rozstawione, niezwykle przenikliwe oczy. Quetzalcoatl miał brodę, jego nakrycie głowy przypominało nieco fez, nosił także naszyjnik z muszli morskich, łańcuszki na kostkach nóg oraz gumowe sandały. Godne uwagi jest również to, że jego głos był słyszalny w promieniu piętnastu kilometrów. [9]

Mamy do dyspozycji dwie wersje tłumaczące nagłe zniknięcie tej potężnej istoty, która albo uległa samospaleniu i zamieniła się w Gwiazdę Zaranną, czyli w Wenus, albo o poranku - "tam, gdzie wschodzi słońce" - została wzniesiona ku piebu, przyrzekłszy wprzód, że powróci w dalekiej przyszłości.

Karczemny żart historii stanowił pointę spotkania Cortesa z Montezumą :

Aztekowie i Majowie żyli wedle ścisłych cykli kalendarzowych. W rytmie kalendarza wznoszono kolejne budowle, kalendarzowi były podporządkowane także uroczystości. A właśnie rozpoczynał się okres oczekiwania powrotu Quetzalcoatla. Kapłani od dawna przepowiadali to w świątyniach. Proroctwo miało się spełnić! Trzymający się zasad wiary książę kapłanów Montezuma mógł, powinien i musiał rozpoznać w brodatym, białym Cortesie wysłannika boga Quetzalcoatla!

Przyjął więc Hiszpanów po królewsku i zaproponował, żeby zamieszkali w jego pałacu. Przez całe trzy dni Cortes cieszył się wystawną gością, potem jednak zażądał, żeby obok pałacu zbudowano kaplicę. Montezuma zwołał azteckich rzemieślników, którzy mieli zbudować przybytek chrześcijaństwa. Wzburzonemu i rozzłoszczonemu kapłanom i dostojnikom tak wyjaśnił swoje postępowanie:

"Tako wam, jako i mnie wiadomo, iż przodkowie nasi nie pochodzą z kraju, gdzie mieszkamy, lecz przywędrowali tu z bardzo daleka pod wodzą wielkiego księcia." [10]

Z tego wstępu wynika niedwuznacznie, że Montezuma rozpoznał w Cortesie wysłannika "wielkiego księcia z bardzo daleka". Pośród azteckich świątyni rosła więc chrześcijańska kaplica. Jej budowa stała się początkiem lawiny zdarzeń.

Smutna noc dumnych Hiszpanów

Hiszpanie zachowywali się jak okupanci - którymi zresztą byli - i z podejrzliwością śledzili prace przy budowie kaplicy. Na jednej ze ścian pałacu zauważyli świeży tynk - przypuszczali, że znajdują się tam sekretne drzwi. W tajemnicy rozbili mur - i stanęli w sali wypełnionej złotymi posążkami, sztabami złota i srebra, drogocennymi klejnotami i cudownymi tkaninami przetykanymi piórami. Cortes kazał ocenić swoim rzeczoznawcom wartość znaleziska - oszacowano je na 162 tys. złotych peset, według dzisiejszej waluty około 6,3 mln dolarów.

Cortes zabronił najsurowiej dotykania skarbu i rozkazał zamurować ścianę. Czas był niekorzystny dla wywożenia bogactw, bo w mieście wrzało. Nobilowie i kapłani buntowali się przeciw obecności Hiszpanów w Tenochtitlan. Cortes jednak potrafił znaleźć wyjście z sytuacji.

w mieście oprócz narastającego napięcia zagrażała mu jeszcze ekspedycja karna z Kuby. Jego teść, gubernator Velazquez, dowiedział się, że Cortes kazał spalić całą flotę. Do Veracruz

przyplęnęło więc 18 statków z 900 ludźmi na pokładzie, wśród nich znajdowało się 80 konnych - była to siła znacznie przewyższająca niewielki oddział Cortesa. Ten ostatni jednak miał sprzymierzeńców: Indian walczących na śmierć i życie.

Przejął bezpośrednio dowództwo nad jedną trzecią swojego oddziału, resztę pozostawił w Tenochtitlan pod rozkazami pewnego kapitana, któremu polecił też sprawować nadzór nad Montezumą. Z grupką liczącą zaledwie 70 Hiszpanów i około 200 Indian pomaszerował w kierunku Veracruz, przeciwko 900 wspaniale uzbrojonym rodakom.

W trakcie niespodziewanego nocnego ataku Cortes rozbił oddział ekspedycji karnej i poradził sobie z dowódcami - pokonani musieli złożyć mu przysięgę na wierność. Korzystając ze zdobyczy wyposażył swój nowy oddział w konie, broń i amunicję. Można odnieść wrażenie że Cortes miał abonament na szczęście.

Był już najwyższy czas na powrót do Tenochtitlan. W trakcie obchodów święta ku czci boga Teocalli Hiszpanie wymordowali na umówiony znak około 700 nie uzbrojonych azteckich nobilów i kapłanów. Masakra stała się dla Indian sygnałem do powstania. Cierpliwi dotąd Aztekowie obalili Montezumę, uczynili władcą jego brata i zaatakowali pałac, w którym bronili się Hiszpanie.

Cortes przybył ze swoim oddziałem w ostatniej chwili. Zdołał wprawdzie zapobiec wyrżnięciu w pień swoich ludzi, ale w całym mieście wybuchły już krwawe rozruchy. Cortes rozkazał palić po kolei świątynie i domy mieszkalne. W czasie gdy Hiszpanie masowo wyrzynali Indian, zdetronizowany Montezuma zaproponował - o święta naiwności! - że będzie mediatorem walczących stron. Była to jednak już jego ostatnia akcja - wzburzony lud ukamienował go 30 czerwca 1520 roku.

Dopiero teraz Cortes wydał rozkaz wywiezienia skarbu. Hiszpanie obładowani złotem, srebrem i innymi kosztownościami wymykali się ukradkiem przez ciemne i opustoszałe ulice Tenochtitlan - Aztekowie unikali nocnych walk i tylko w kilku ważniejszych punktach miasta postawili strażę. Jedną z nich zauważyła rabusiów. Ciszę nocy przerwał ostrzegawczy krzyk. Zabrzmiały przeraźliwe gwizdy na alarm. Zapłonęły pochodnie. Miasto ożyło gniewem.

Była to noche triste, smutna noc Hiszpanów. Uciekali w panice.

Ciężyło im złoto i srebro. Potykali się, tonęli w bagnach. Zabijali ich azteccy wojownicy. Konie galopowały wśród świstu strzał, jeźdźców trafiały kamienie. Lance o ostrzach z obsydianu wbijały się w ciała znienawidzonych okupantów. Tej nocy Hiszpanie stracili ponad połowę ludzi. Cortes był ciężko ranny, a znaczna część skarbu utonęła w wodach jeziora. Noche triste.

W tydzień później z resztek swoich żołnierzy Cortes uformował swój oddział na nowo. Nie miał broni palnej i amunicji. Pozostało mu niewielu jeźdźców. Gdy z grupką straceńców uciekał przez Otumbatal, zdawało się, że chodzi mu już tylko o własną skórę.

Aztekowie przeprowadzili mobilizację. Hiszpanie stanęli naprzeciw milczącej armii liczącej 200 tys. Indian.

Cortes, który ryzykował już tylko życiem, po płaszczu z piór przetykanym złotem rozpoznał powyżej muru niemych wojowników wodza wielkiej armii. Miejsce, gdzie stał wódz, oznaczały kolorowe proporczyki powiewające na wietrze.

Hiszpan wskoczył na konia, krzyknął "W imię Boże!" i na czele garstki jeźdźców wbił się w szeregi wojowników, które -jakby Indianie byli zaczarowani - najpierw się przed nim rozstały, a potem zamknęły. Cortes pędził w kierunku wodza. Dojechawszy przebił go mieczem.

Dwustutysięczna armia stała bez ruchu.

Potem szeregi Indian drgnęły.

Wojownicy wracali do domu.

Jak szare chmury całe ich grupy zniknęły w dolinach; w górskich lasach, w nieprzebytej dżungli.

Był to początek końca królestwa Azteków.

Minęło kilka miesięcy.

Cortes powrócił z nową, jeszcze silniejszą armią. W Tenochtitlan panował kolejny władca - Cuauhtemoc. Wspaniale bronił miasta, musiał jednak skapitulować wobec armat.

Teraz oddział Cortesa mógł bez przeszkód rozpocząć poszukiwania utraconego skarbu. Mimo że Hiszpanie poddali Cuauhtemoca torturom, władca nie zdradził, gdzie ukryto kosztowności - wodza Indian powieszono. Skarb przepadł bez wieści. Nie odnaleziono go do dziś.

Hiszpanie zdobyli ostatecznie dumne Tenochtitlan w 1521 roku.

W perzynę obrócono świątynie i piramidy, domy mieszkalne i wizerunki bogów, stele i biblioteki. Na ruinach zbudowano miasto Meksyk. Mijały lata. Ameryka Środkowa jęczała ciemiona przez Hiszpanów, którzy podbijali w krwawych walkach kolejne plemiona Majów. Krnąbrnych Indian torturowano albo od razu tracono.

Biskup Diego de Landa, choć nie święty, był przerażony okrucieństwami, jakich dopuszczali się jego rodacy. Napisał, że sam widział, jak matki oraz dzieci wieszano za nogi, jak odrąbywano Majom nosy, ręce, ramiona i nogi, a kobietom obcinano piersi. Chciano z Indian uczynić niewolników, chciano nawrócić ich na wiarę chrześcijańską, a przede wszystkim wydrzeć informacje o sekretnych miejscach, w których ukryto skarby.

Pod rządami przemocy i strachu krajowcy - których położenie pogarszały jeszcze wyniszczające epidemie - coraz bardziej obojętnieli. Hiszpanie nie musieli już sobie nawet zadawać trudu zdobywania kolejnych obszarów i równania z ziemią kolejnych miast. Z nadejściem nowej religii odeszli w niepamięć dawni bogowie stanowiący sens życia mieszkańców tych krain. Aztekowie i Majowie rozproszyli się na wszystkie strony świata. Pałace popadły w ruinę. Zachłanna tropikalna dżungla, wilgotna i gorąca, zarastała piramidy i osady, pochłaniała posągi bogów. W ruinach zagnieździły się węże, zamieszkały jaguary, pojawiło się tropikalne robactwo. Księgi i bezcenne dokumenty - o ile nie strawił ich ogień w wielkim auto da fe zorganizowanym przez Hiszpanów - zbutwiały i stały się strawą mrówek i chrabąszczy. Nad świadectwami niepowtarzalnej epoki zapadła na kilka stuleci noc a dżungla ukryła tajemnice tej wspaniałej kultury.

Epilog

Cortes nie cieszył się długo owocami swoich podbojów. Po ujarzmieniu królestwa Azteków Karol V mianował go namiestnikiem Nowej Hiszpanii. Lecz przeciwnicy Cortesa, których nie brakowało na hiszpańskim dworze skarżyli się, że namiestnik bogaci się łamiąc hiszpańskie prawo.

W 1528 roku Cortes wyruszył do Granady, żeby oczyścić się z zarzutów. Karol V obsypał nieustraszonego sługę odznaczeniami odebrał mu jednak funkcję namiestnika Meksyku.

Dwa lata później Cortes znów pojawił się w Nowym Świecie. Tym razem interesy zaprowadziły go na Półwysep Kalifornijski. W 1540 roku powrócił do Hiszpanii, rok później u boku Karola V wziął udział w kampanii przeciwko Algierii. Mimo cesarskiej łaski nie zdołał przeforsować wobec dworu swoich roszczeń do korzyści z terrorystycznych podbojów.

Pozostaje nam zadać jeszcze jedno ważne pytanie.

Trzy lata po zdobyciu Tenochtitlan, 5 marca 1524 roku, kapitan Pedro de Alvarado natknął się w trakcie walk na Wyżynie Gwatemalskiej na fruującego dowódcę Majów-Quiche:

"Wówczas wódz Tecum wzniósł się w przestworze i nadleciał, w orła się przemieniwszy, piórami pokryty, które zeń wyrastały i nie były sztuczne. Miał skrzydła, które także wyrastały mu z ciała, i trzy korony, jedną ze złota, jedną z pereł, a jedną z diamentów i szmaragdów." [11]

Kapitan Alvarado nie padł zapewne ofiarą iluzji, bo latający wódz obsydianową lancą odciął głowę koniowi, na którym siedział Hiszpan.

Ale walecznemu wodzowi musiało się zdawać, że ciosem tym zgładził również jeźdźca. Moment ten wykorzystał Alvarado zabijając zaskoczonego lotnika.

Nasuwa się więc pytanie, czy obdarzony postacią latającego węża, zielono upierzony bóg Quetzacoatl nie nauczył sztuki latania kilku wybranych kapłanów. W każdym razie miejsce, w którym kapitan Alvarado zabił latającego wodza Indian, otrzymało nazwę Quetzal tenango. Tak nazywa się dziś jedno z gwatemalskich miast, a w stolicy tego kraju postawiono pomnik latającemu wodzowi Indian.

I w ten sposób uwiecznia się zagadki.

III. Dzicy, biali, cudowne księgi

Sama wiedza nie wystarczy,
trzeba jeszcze umieć ją stosować.

Johann Wolfgang Goethe (1749-1832)

W czasach, gdy prokurator Judei Poncjusz Piłat skazywał Jezusa na śmierć przez ukrzyżowanie, w tropikalnej dżungli Ameryki Środkowej wznoszono wspaniałe miasta. Powstawały w nich wielkie place, wielokilometrowe ulice do urządzania procesji, wzdłuż nich zaś stały pałace i świątynie. W ośrodkach tych znajdowały się również miejsca do uprawiania sportu, podziemne krypty (grobowce), zbiorniki na wodę połączone siecią kanałów, strzelające w niebo ogromne piramidy schodkowe z obserwatoriami na szczytach. Wśród tropikalnej dżungli wyrosły wówczas takie miastajak Tikal czy Piedras Negras w dzisiejszej Gwatemali, Copan w dzisiejszym Hondurasie i Palenque w dzisiejszym Meksyku. Pracownicy jak mrówki i cierpliwi jak niewolnicy, Indianie harowali pod batami kapłanów i wodzów plemion, nadzór zaś nad całą armią pracowników sprawowali najwybitniejsi architekci. Artyści ozdabiali elewacje i wnętrza budynków skomplikowanymi stiukowymi reliefami. Żywe farby uzyskiwano mieszając ze sobą różne składniki: mączkę kamienną, brązowy pył ziemny, roztarte białe kości, krew, różnokolorowe gatunki drewna dziewiczej puszczy, które ubijano na pył, oraz liście i kwiaty. Farbami malowano freski na budowach kultowych. Tam, gdzie odkopali je archeolodzy, widać, że nawet po około dwóch tysiącach lat zachowały zaskakująco świeże barwy.

Lecz kiedy zakończono prace nad budowlami, zdarzyła się rzecz niepojęta: Majowie porzucali jeden ośrodek po drugim i wędrowali dalej -

kilkaset kilometrów

- aby zacząć tam na nowo wznosić z niezmaconym spokojem kolejne miasta. Powtarzało się to mniej więcej co tysiąc lat, aż Hernan Cortes zdobył Tenochtitlan.

Setki mądrych ludzi połamało sobie zęby, próbując wyjaśnić ten niezrozumiały proces. Co to wszystko znaczy? Czy Indianie buntowali się przeciw władcom i kapłanom? Czy dochodziło do rewolucji? Nie ma najmniejszej wzmianki na ten temat. "Stare" budowle pozostały po exodusie w stanie nienaruszonym. Historia uczy, że zwycięzcy zajmują zwykle ocalałe miasta i osady, zasiedlając je na nowo.

Czy mieszkańców wyгнаła klęska głodu? Czysta spekulacja! Wspaniałe systemy irygacyjne

zapewniały Majom obfite plony kukurydzy, kukurydza zaś była podstawą ich wyżywienia. Dysponowali poza tym ogromnymi obszarami ziemi leżącej odłogiem, mogli je więc pozyskać dla uprawy, wypalając bądź karczując dżunglę. A zresztą po najstraszliwszej nawet klęsce głodu pozostaje zawsze garstka żywych, którzy mogą "zaludnić" na nowo zdziesiątkowane plemię, ona.

A może migrację Indian spowodowała katastrofalna zmiana klimatu? Przypuszczenie tak nieprawdopodobne, że należy je od razu wykluczyć, bo przecież Majowie osiedlili się zaledwie o trzysta kilometrów na północ i na południe od poprzedniego miejsca. Nagła zmiana klimatu o wielkim zasięgu, uniemożliwiająca życie na dotychczasowych terenach, uczyniłaby niemożliwą egzystencję ludzi również w nowym miejscu, stosunkowo mało odległym. To samo dotyczy epidemii różnych chorób oraz - jak podniesiono ostatnio w jednej z dyskusji - szalejącej malaru, gorączki błotnej, przenoszonej przez komary widliszki. Te obrzydliwe stworzenia, z którymi niestety zawarłem bliższą znajomość, bezustannie towarzyszyły wielkim pochodom prawie nagich Indian.

Ponieważ koniecznie trzeba w rozsądny sposób wyjaśnić to zjawisko - najwięcej zwolenników wśród fachowców znajduje teza, wedle której Majowie zostali wygnani ze swoich siedzib przez najeźdźców. Przemysławczy jednak wszystko logicznie odniosłem wrażenie, że i ta interpretacja opiera się na niezbyt solidnych podstawach: niby to dlaczego Majowie mieli się dać ni stąd, ni zowąd wypędzić ze swojej ojczyzny i swoich posiadłości? Powinni się bronić. Dysponowali przecież - inaczej niż tysiąc lat później, gdy pojawili się Hiszpanie - podobną bronią jak napastnicy. W kraju kwitła cywilizacja, dlaczego więc nie bronili swoich osiągnięć? Do tego zwycięzcy zajmując zdobyte tereny ujarzmiają mieszkańców, dręczą ich trybutami - o ile oczywiście w trakcie walk miasta i wsie nie uległy zupełnemu zniszczeniu.

Prawie wszystko jest niejasne lub sporne. Pewne jest tylko to, że kilka ośrodków obrzędowych opuszczono niemal w ciągu nocy. Na przykład w Tikal jedną z platform świątynnych pozostawiono w stanie nieukończonym. W Uaxactún stoi mur zbudowany tylko do połowy. W Dos Pilar rzemieślnikowi szpachla wypadła z ręki tuż przed skończeniem kolejnej linijki hieroglifów.

Mój słynny rodak, Rafael Girard, który wśród współczesnych Majów spędził dziesiątki lat, tak pisze o tych zdarzeniach:

"To nagłe przerwanie wszystkich prac w pełni rozkwitu cywilizacji Majów świadczy o tym, że upadek ich kultury był gwałtowny." [1] Możliwe, lecz w takim razie Majowie musieliby opuścić swoje miasta i osady przed wtargnięciem napastników, bo w ruinach nie odkryto zniszczeń i śladów walki. Czyżby Majowie pozostawili nietknięte miasta-widma! Gdyby nawet ich domniemani pogromcy byli opętani nieludzką żądzą polowania na Majów i niszczenia ich dzieł, to bez wątpienia nadal prześladowaliby ten lud, nie dopuściliby do powstania nowego państwa. Najistotniejsze jednak w mgłę hipotezy o zdobywcach pozostaje pytanie: dlaczego najeźdźcy nie osiedlili się w miejscach, gdzie dane im było tak niespodziewane zwycięstwo, dlaczego nie skorzystali z istniejącego tam komfortu?

W dawniejszej literaturze na ten temat mówi się o "starym" i "nowym" imperium Majów. Jest to rozróżnienie nieco przestarzałe, ponieważ badania dowiodły, że "stare" imperium w żadnym razie nie mogło być niespodziewanie poddane bez walki, nawet na rozkaz wymagowanego władcy. Opuszczano je stopniowo - w latach 600-900 po Chr.

- porzucając jedno miasto po drugim. Likwidacja "starego" imperium trwała ponad 300 lat, jednocześnie zakładano siedliska nowe. Cortes i jego bandy nic o tym nie wiedzieli. Zdobywali

tak wspaniałe ośrodki jak Chichen-Itza, Mayapan czy Champoton, ale były to bez wyjątku miasta nowe. W owym czasie stare siedliska Majów już dawno porzucono, a dżungla zarosła je prawie zupełnie. Wszystko, co Majowie wynieśli z tradycji przodków w sferze kultury, cywilizacji i ogromnej wiedzy, padło ofiarą chrystianizacji przeprowadzanej przez Hiszpanów.

Jak walczono z przesądami i mamidłami szatańskimi

Zabrzmiało to jak makabryczny żart, ale klucz do zrozumienia zaginionego świata Majów przekazał nam pośmiertnie jeden z fanatycznych niszczycieli świadectw ich kultury.

Człowiek ów nazywał się Diego de Landa. Urodził się w 1524 r. w rodzinie szlacheckiej w Cifuentes w prowincji Toledo. Były to wspaniałe czasy kościoła ekspansyjnego - dobrym więc zwyczajem starych hiszpańskich rodów było poświęcenie syna lub córki służbie Bogu. Mając 16 lat Diego wstąpił do zakonu franciszkanów w San Juan de los Reyes. Bez reszty oddany Chrystusowi przygotowywał się w ascezie do pracy misyjnej, dzięki której zakon ten próbował urzeczywistnić prawdę Ewangelii.

Kiedy Diego de Landa miał 25 lat, wraz z grupą mnichów wysłano go do Ameryki z zadaniem "nawrócenia" na wiarę chrześcijańską około 300 tys. Indian z Jukatanu.

Inteligentny i przepełniony gorącym pragnieniem jak najlepszego służenia Chrystusowi de Landa w parę miesięcy nauczył się języka Majów na tyle, że już po przybyciu mógł wygłaszać przed Indianami swoje kazania i posłannictwa.

Nic dziwnego, że młodzieniec ten zrobił błyskawiczną karierę.

Wkrótce został gwardianem nowego klasztoru w Izamal, dla którego tworzył potem kolejne filie. Brodaty Hiszpan w brązowym habicie ze zgrzebnej wełny był wszędzie. Nadzorował też kształcenie młodych Indian, którzy wkrótce zaczęli żarliwie naśladować swoich fanatycznych nauczycieli w tępieniu starych zwyczajów.

Oczywiście Diego de Landa był obecny przy zakładaniu przez Hiszpanów w 1542 roku Meridy na ruinach miasta T'ho - oddalonego zaledwie o dzień podróży od Izamal. Merida stała się bazą wypadową do zdobywania Jukatanu.

Franciszkanin podziwiał potężne budowle T'ho, ale były one dla niego co najwyżej źródłem kamieni do budowy chrześcijańskiej Meridy - ze świątyń Majów powstawały katedry, z piramid budynki hiszpańskiej administracji. Chociaż zabytki sztuki Majów dostarczały miriady kamieni, de Landa powątpiewał: "czy zapas materiału budowlanego kiedykolwiek się wyczerpie" [2].

Ów fanatyk religii został wkrótce prowincjałem, sprawującym pieczę nad pracami misyjnymi zakonu, oraz biskupem Meridy. W trakcie jednej z podróży inspekcyjnych de Landę ogarnął gniew na krnąbrnych Majów, którzy wciąż odprawiali dawne obrzędy religijne i nie chcieli odstąpić od wiary w swoich bogów. De Landa rozkazał więc skonfiskować wszystkie księgi oraz "bożki" Majów.

Pamiętnego 12 lipca 1562 roku przed kościołem św. Michała w Mani ostatniej metropolii Majów, ułożono stos, na którym znalazło się: 5000 "bożków", 13 ołtarzy, 197 naczyń kultowych oraz 27 dzieł religijnych i naukowych - ilustrowanych rękopisów Majów. Na rozkaz biskupa stos podpalamo. Płomienie pochłonięły z sykiem niepowtarzalne świadectwa wspaniałej kultury. W tłumaczeniu nazwa miasta Mani brzmi "przeminięło".

Niewzruszony Diego de Landa pisał:

Znaleźliśmy wielką ilość ksiąg i rysunków, lecz ponieważ nie było w nich nic prócz przesądów i mamideł szatańskich, spaliliśmy wszystkie, co wprawilo Majów w głębokie przygnębienie i przysporzyło im wiele zmartwień." [3]

Przygnębienie to jeszcze trwa - a ogarnęło przede wszystkim badaczy zajmujących się historią Majów. Auto da fe w Mani było sygnałem. Ślepa gorliwość kazała teraz misjonarzom palić wszelkie rękopisy Majów, jakie tylko udało się znaleźć. Na hasło "mamidło szatańskie", rzucone przez de Landę, wymazywano wszelkie ślady, które mogłyby przypominać Majom ich dawnych bożków. Mimo to jednak klucz do świata Majów nauka zawdzięcza bezlitosnemu biskupowi.

Z powodu drastyczności swoich akcji Diego de Landa - "jastrząb" wśród misjonarzy - dostał się na hiszpańskim dworze pod ostrzał "gołębi". Donieśli mu o tym jego szpiedzy. Biskup, biegły w dworskich intrygach, przygotowywał się na najgorsze - szukał nowych przyjaciół, którzy wprowadziliby go w tajemnice świata Majów. Informacje zdobywał przede wszystkim wśród przedstawicieli indiańskich rodów szlacheckich - Cocom, Tutul Xiu oraz Itza. Żeby móc udokumentować niebezpieczeństwo" zagrażające ze strony Majów, zapisywał po hiszpańsku wszystko, co jego indiańscy przyjaciele mówili o swoich bożkach i mitach, o swoim fantastycznym systemie liczbowym, o alfabecie i niezwykle dokładnym kalendarzu. W 1566 roku zakończył pracę nad pismem obrończym zatytułowanym Relación de las cosas de Yucatan

- Relacja o sprawach Jukatenu [4]. Dokument ten jest najważniejszym źródłem dla badaczy zajmujących się historią Majów. Odkryto go przez przypadek.

Tylko trzech lat brakowało do upływu pełnych trzech stuleci od czasu jego napisania, kiedy w 1863 roku abbe Charles-Etienne Brasseur

(1814 - 1874) odkrył w Bibliotece Królewskiej w Madrycie dzieło de Landy. Niepozorna książeczka stała wciśnięta między folianty oprawne w skórę i zdobione złotymi tłoczeniami. Brasseur, który przez wiele lat pracował jako misjonarz w Gwatemali i jako kapłan ambasady francuskiej w stolicy Meksyku, był zafascynowany odkryciem - od hiszpańskich liter napisanych czarnym atramentem odcinały się hieroglify i szkice Majów przedstawiające przedmioty ich sztuki. Brasseur trafił na nić Ariadny, która powinna doprowadzić do wyjścia z labiryntu Majów.

Spuścizna Majów

W Relación biskup de Landa pisał:

"Najważniejszą rzeczą, jaką wodzowie starali się potajemnie wywieźć na tereny zajmowane przez swoje plemiona, były naukowe księgi." [4] Rodak de Landy, Jose de Acosta, zanotował:

"Na Jukatanie były księgi oprawne i składane, w których uczeni Indianie przechowywali wiedzę o planetach, sprawach natury i swoich dawnych legendach." [5]

Żądze niszczenia przetrwały trzy rękopisy Majów, zwane kodeksami.

Abbe Brasseur odnalazł Kodeks Madrycki w stolicy Hiszpanii, u pewnego profesora szkoły dla dyplomatów.

Kodeks Paryski odkryto w 1860 roku w skrzyni pełnej starych papierów w paryskiej Bibliotece Narodowej. Kodeks ten jest bodaj najcenniejszym obiektem w zbiorach tej placówki.

Kodeks Drezdeński - przechowywany dziś w Państwowej Bibliotece w Dreźnie - przywiózł w 1793 roku z podróży po Włoszech Johann

Christian Götze, bibliotekarz ówczesnej drezdeńskiej Biblioteki Królewskiej. Götze pisał:

"Nasza Biblioteka Królewska tym się spośród innych bibliotek wyróżnia, iż jest w posiadaniu tak rzadkiego skarbu. Znalaziono go przed kilku laty u pewnej osoby w Wiedniu i otrzymano prawie za darmo, albowiem nie było wiadomo, coż to jest. Bez wątpienia pochodzi ze spuścizny

jakiegoś Hiszpana, który albo sam był w Ameryce, albo przebywali tam jego przodkowie." [6]

Jak tanio można niekiedy zdobyć skarby, kiedy nieznaną jest ich prawdziwa wartość! Kodeks Drezdeński osiągnąłby dziś zapewne w trakcie licytacji w londyńskim domu aukcyjnym Sotheby & Co. sumę wyrażającą się siedmioma cyframi - w dolarach.

Te trzy kodeksy składały się jak leporella w harmonijkę. Kodeks Paryski - a właściwie jego fragment, ponieważ brak wielu stron, a wiele jest nieczytelnych - ma po rozłożeniu długość 1,45 m. Kodeks

Madrycki, złożony z dwóch części -jednej liczącej 42 i drugiej 70 stron - mierzy 6,82 m. Najbardziej zaś zagadkowy i interesujący zabytek piśmiennictwa Majów, Kodeks Drezdeński, ma po rozłożeniu długość 3,56 m. [7]

Cieniutkie strony kodeksów są sporządzone z włókna kory dzikiego figowca. Malowano na nich za pomocą delikatnego piórka, niewielkiego pędzelka bądź pręcika. Badania mikroskopowe pozwoliły ustalić metodę wytwarzania tego materiału: korę figowca po utłuczeniu na miazgę uelastyczniano sokiem drzewa gumowego, nierówności między włóknami wypełniano krochmalem uzyskiwanym z roślin bulwiastych

- na koniec powierzchnię pokrywano rodzajem pokostu z mleka wapiennego. Wyschnięte wapno miało podobne właściwości jak cieniusienka warstwa stiuku, na której wspaniale prezentowały się farby artystów. Proces wytwarzania "ksiąg" kończył się sklejeniem poszczególnych stron za pomocą delikatnych okładzin - materiału, z którego je wykonano, nie udało się zidentyfikować. Teraz leporello można było składać i rozkładać.

Wiek kodeksów niejest znany. Przypuszcza się, że Kodeks Drezderiski pochodzi z Palenque, bo kilka zawartych w nim rysunków jest identycznych z hieroglifami znajdującymi się na ścianach świątyń tego miasta. Według ostrożnych ocen fachowców Palenque liczy sobie około 2000 lat. Podobnie jak w przypadku wszystkich świętych przekazów, także i tu można wyjść z założenia, że kodeks ten był jedną z niezliczonych kopii, jego treść więc ma również co najmniej 2000 lat.

W sumie kodeksy zawierają 6730 znaków podstawowych i 7500 afiksów - dołączonych sylab. [8] Zdawałoby się, że 6730 znaków podstawowych to dość obfity materiał do studiów porównawczych, które pozwoliłyby odczytać teksty. Wielki błąd! Wprawdzie Kodeks Paryski pozwala domniemywać, że jego treścią są przede wszystkim przepowiednie, ale do dziś nie jest to pewne. Kodeks Madrycki zawiera podobno horoskopy i wskazówki ich stosowania, przeznaczone dla kapłanów - o ile rzeczywiście chodzi tu o horoskopy: bardzo jednak prawdopodobne, że wróżenie z gwiazd było dla kapłanów dziedziną wiedzy, którą brali bardzo poważnie.

W Kodeksie Drezdeńskim natomiast możemy znaleźć niesamowite tabele astronomiczne, zawierające informacje o zaćmieniach ciał niebieskich, jakie zdarzyły się w przeszłości i zdarzą w przyszłości, dane na temat orbit Księżyca i planet. W tym przypadku fachowcy są zgodni. Dlaczego? Ponieważ de Landa przekazał w Relación kluczyk do matematyki i astronomii Majów.

Święte, zagadkowe znaki pisma obrazkowego

Można powiedzieć, że do dziś udało się odczytać dopiero około ośmiuset hieroglifów Majów - świętych piktogramów, których obrazkowy charakter nietrudno zauważyć - jest to, jak twierdzi skromnie specjalista w tej dziedzinie dr George E. Stuart, od pięciu do trzydziestu procent. [9] Pięć

procent stanowią na pewno znaki wyrażające liczby. Pozostała część jest nadal niejasna, chociaż utrudzeni badacze zaprzęgli do pracy nawet komputery - bez większego skutku. Nagłówki "Odkryto tajemnicę pisma Majów" [10] czy "Rozwiązanie zagadki hieroglifów Majów" [11] są zbyt piękne, żeby były prawdziwe. Brzmia sensacyjnie, ale nie odpowiadają prawdziwemu stanowi nauki.

Jeden z najwybitniejszych badaczy pisma Majów, profesor Thomas Barthel, w związku z trudnościami precyzyjnego wyjaśnienia problemu mówi, że pismo Majów ma "charakter mieszany" [12] - nawet te same znaki hieroglificzne mogą oznaczać różne rzeczy. Zdarzają się też całe bloki hieroglifów stojących w środku tekstu liczbowego albo gry słów, "dające możliwość wielorakich interpretacji, a ich sens bywa zupełnie różny" [13]. Pojawiają się także elementy pisma najróżniejszej wielkości, "które zestawione ze sobą stapiają się w nowe jednostki o innej wielkości".

Najtrudniejsza jednak jest dla badaczy forma tych dzieł - święte księgi były w zamierzeniu ich twórców rodzajem tajemnego kodu, przeznaczonego wyłącznie dla kapłanów i wtajemniczonych. Sekretne znaki nie pozwalały zwykłym ludziom wejść w mistyczny labirynt pisma. Poza tym w każdym mieście bądź na obszarze zajmowanym przez dane plemię obowiązywały inne formy językowe i piktograficzne - jakby inne dialekty.

Treść ksiąg, które mamy przed sobą, jest przerywana licznymi rysunkami będącymi - jak można przyjąć - jakby uzupełnieniem czy wyjaśnieniem tekstu. To samo, z czym mamy do czynienia w przypadku kodeksów, odnosi się do ponad tysiąca tekstów hieroglificznych, które znaleziono w stu dziesięciu różnych miejscach. [14] Wszystkie świątynie są obsypane znakami pisma i piktogramami. Próby połączenia ich w jedną całość zawiodły, bo rysunki Majów nie stanowią jednoznacznych ideogramów - zawiodły też próby powiązania poszczególnych piktogramów ze słowami: obrazu słońca ze słońcem, człowieka z człowiekiem, płomienia z ogniem. W owych zamierzonych czasach uczeni Majowie nie chcieli, żeby ich rozumiano - ich myśl biegła skomplikowanymi meandrami, oni zaś ujmowali ją nadto w niezwykle trudny szyfr, przedstawiając na przykład dla wyrażenia "suszy" wizerunek martwego jelenia albo płomień dla wyrażenia "idei". Bądź tu mądry człowieku!

Zadziwiające jest bogactwo pomysłów, jakie stosowano w trakcie rysowania tych kolczastych robaczków tylko po to, żeby utrudnić zrozumienie pisma. Zazwyczaj zestaw hieroglifów jest inicjowany tak zwanym hieroglifem wprowadzającym, który można porównać z inicjałem, początkową literą dawnych tekstów pisanych alfabetem łacińskim - znacznie większą od pozostałych, pełną zakrętasów i często zdobioną. Wydawałoby się zatem, że tekst czyta się od lewej do prawej. Majowie jednak pisali w sposób bardziej zawiły. Znaki stawiano nie tylko od lewej do prawej, lecz również od góry do dołu, częstokroć zaś kolumny hieroglifów należało czytać parami znajdującymi się obok siebie. Podobnie jak inicjały także hieroglify sygnalizują, że w danym miejscu należy rozpocząć lekturę. Są jednak bardziej mylące - ich funkcja to nie tylko zdobienie. Niekiedy przybierają formy czysto geometryczne, aby po chwili zmienić się w wieloznaczną abstrakcję: wyobrażają ptaka bądź inne zwierzę, niekiedy ludzką głowę, potem nieznanne mitologiczne monstrum.

Bez maszyny czasu, która pozwoli nam odbyć podróż w epokę, w której uczeni Majów wynaleźli pismo, nigdy nie uda nam się zrozumieć, co mieli na myśli układając swoje obrazkowe łamigłówki. "W ograniczeniu dopiero znać mistrza" - mawiał Goethe. Musimy się więc ograniczyć do sprawdzonej wiedzy, a jest tego i tak bardzo wiele.

Majowie znali procesy zachodzące na niebie,
których nie było im dane ujrzeć

Jedenaście stron Kodeksu Drezdeńskiego zawiera astronomiczne dane dotyczące Wenus.

Z szeregu liczb i dat wynika, że Majom udało się obliczyć długość roku wenusjańskiego, który wedle ich rachuby miał 583,92 dni. Liczbę tę zaokrąglili wprawdzie do 584 dni, lecz wielkość po przecinku korygowała li co kilka dziesięcioleci. Dawni indiańscy astronomowie posługiwali się zadziwiająco wielkimi jednostkami po 18980 dni, które były zgodne z okresami ich historii, liczącymi 52 lata po 365 dni. Sumę tę dzielili przez 73 i z tysięcy wenusjańskich lat tworzyli kompozycję liczbową, która dawała w formie graficznej pentagram, czyli pięcioramienną gwiazdę. [15]

Dwie strony Kodeksu Drezderiskiego poświęcono orbicie Marsa, cztery orbicie Jowisza - nie zapomniano przy tym o jego księżycach. Osiem stron zawiera opisy Księżyca, Merkurego, Jowisza, Saturna i Wenus - w tej skrupulatnej rozprawie, uwzględniającej nawet komety, nie brak ani Gwiazdy Polarnej, ani gwiazdozbiorów Oriona, Bliźniąt i Plejad. [16]

Tablice astronomiczne opisują jednak nie tylko orbity poszczególnych planet! Skomplikowane obliczenia przedstawiają nie tylko punkty odniesienia poszczególnych ciał niebieskich względem siebie, lecz również każdorazową pozycję danej planety względem Ziemi. [17] Zawarto tam także okresy Merkurego, Wenus, Ziemi i Marsa obejmujące 135200 dni. Tak astronomiczne liczby jak 400 mln lat wcale nie odstraszały tych doskonałych astronomów.

Astronomia Majów zawarta w Kodeksie Drezderiskim jest kuriozum zaiste zagadkowym. Na wielu kartach przedstawiono opisy walk toczonych między planetami [18], a z siedmiu stron ukazujących tak zwane tabele zaćmień można odczytać każde zaćmienie, jakie miało miejsce w przeszłości i będzie miało miejsce w przyszłości. Słynny niemiecki profesor Herbert Noll-Husum napisał w 1937 roku:

"Tabelę zaćmień sporządzono tak genialnie, że na setki lat naprzód można określić i odczytać z dokładnością co do dnia nie tylko każde zaćmienie widoczne na tym obszarze, lecz również zaćmienia, których się tu zaobserwować nie da." [19]

Niektórzy badacze historii Majów przyjmują takie oświadczenia z niesmakiem. Jak bowiem lud, który nawet w trakcie gry w piłkę składał ofiary z ludzi, mógł opanować astronomię tak wykraczającą poza swoje czasy? W jaki sposób "dzicy" zdobyli tak fantastyczne wiadomości? Kto przekazał im wiedzę pozwalającą obliczać orbity planet? Jakiż duch podsunął im myśl, że ciała niebieskie poruszają się we wzajemnych korelacjach, które nadto można obliczyć? Jeżeli Mars znajduje się na przykład w punkcie X, to jaka jest relacja Wenus do Jowisza? Majowie umieli odpowiedzieć na takie pytanie. Tylko jak zdobyli tę wiedzę?

Dzięki obserwacjom trwającym setki lat, dzięki maniakalnej obsesji stworzenia doskonałego kalendarza, dzięki pewnego rodzaju manii matematycznej - mówią archeolodzy.

To zrozumiałe, że już ludzi epoki kamiennej fascynowały punkty migocące w nocy na niebie. Można również zrozumieć, że kapłani bądź astronomowie Majów robili na kamieniach albo na korze drzew notatki dotyczące wschodu i zachodu najjaśniejszych gwiazd. Taka działalność, do tego praktykowana przez stulecia, może pozwolić na stworzenie doskonałych tabel astronomicznych.

"Lecz tym razem, tak już jest, jest inaczej, niż się chce" - pisał Wilhelm Busch.

Majowie żyli w rejonie o znanych uwarunkowaniach meteorologicznych - był to rejon, który w żadnym razie nie zapewniał idealnych warunków do prowadzenia statych obserwacji astronomicznych. Z wilgotnego terenu wznosiła się mgła, która wisiała nad dżunglą. Wielkie,

tropikalne chmury deszczowe uniemożliwiały co najmniej przez sześć miesięcy w roku obserwowanie firmamentu. Dla potwierdzenia tezy, że świat trzyma się jeszcze kupy, dzisiejsi astrologowie chcieliby mieć zarówno rano jak i wieczorem - podobnie jak ich pradawni koledzy wśród Majów - możliwość regularnej obserwacji wschodów i zachodów określonych ciał niebieskich. Dobra widoczność jest warunkiem podstawowym. Ale do tego en gros et en detail potrzebne były astronomom Majów - czego dowodzi Kodeks Drezdeński - nie tylko Słońce i Księżyc, lecz również pozostałe planety.

Prowadząc obserwacje z Ziemi nie można od razu umiejscowić planet w cyklach rocznego kalendarza gwiazdowego. Ziemia porusza się wokół Słońca po orbicie eliptycznej, inne planety też nie pozostają w spoczynku. Każda więc obserwacja wiąże się z pewnym przesunięciem czasowym. Na przykład Wenus tylko co 8 lat ukazuje się w tej samej konstelacji, Jowisz co dwanaście. W Kodeksie Drezdeńskim jednak można znaleźć astronomiczne punkty odniesienia, które powtarzają się co 6000 lat (!). Jakież to więc diabelski trick pozwolił Majom uzyskać tak dokładne obliczenia astronomiczne, obejmujące nadto całe tysiąclecia?

O mozolnej drodze dochodzenia do wiedzy astronomicznej

Nawet w liberalnej antycznej Grecji, która wydała tak wielu wspaniałych matematyków i genialnych filozofów, za świętokradztwo uważano twierdzenie, że Ziemia obraca się wokół Słońca. Anaksagorasa (ok. 500-428 r. prz. Chr.) oskarżono o bezbożność i skazano na wygnanie z rodzinnego miasta, bo głosił, iż Słońce jest rozżarzoną gwiazdą [20].

Ptolemeusz Klaudiusz (ok.100 - ok.168 r. po Chr.), który opierał się na wynikach egipskich i babilońskich obserwacji astronomicznych liczących setki lat, umieścił Ziemię w centrum swojego systemu, obalonego dopiero przez Mikołaja Kopernika (1473-1543). Kopernik twierdził, że Słońce stanowi centrum kołowych orbit planet. Jego najważniejsze dzieło *De revolutionibus orbium coelestium* (O obrotach sfer niebieskich) ukazało się dopiero w 1543 roku, roku śmierci astronoma. Autor zadedykował je papieżowi Pawłowi III, co jednak nie przeszkodziło, że Kościół umieścił je na indeksie. Opierając się na teorii Kopernika Giordano Bruno (1548-1600) zaryzykował proklamację jednolitego modelu świata. Po siedmioletnim więzieniu sędziowie Inkwizycji posłali w 1600 roku tego filozofa i astronoma na stos. Tycho de Brahe (1546-1601), dla którego król Danii Fryderyk III zbudował obserwatorium astronomiczne na wyspie Hveen, był najwybitniejszym astronomem z okresu przed wynalezieniem lunety astronomicznej.

Wraz ze swoimi współpracownikami obserwował gołym okiem przede wszystkim Marsa. Obserwacje te stały się podstawą do odkryć orbit planet, dokonanych przez współpracownika Tycho de Brahe, Johanna Keplera (1571-1630). Systemowi kopernikańskiemu de Brahe przeciwstawił teorię, wedle której Słońce i Księżyc okrążają Ziemię spoczywającą w centralnym punkcie układu. Johannes Kepler zaś udoskonalił koncepcje kopernikańskie, tworząc trzy prawa dotyczące obrotów planet, nazwane później prawami Keplera. Prawa te obaliły twierdzenie o kołowości orbit planet. Galileusz (1564-1642) skonstruował i zbudował w swoim warsztacie lunetę do obserwacji astronomicznych. Dzięki niej udało mu się odkryć górzystą strukturę powierzchni Księżyca, wielość gwiazd Drogi Mlecznej, fazy Wenus, satelity Jowisza i plamy na Słońcu. We Florencji Galileusz z tak wielką żarliwością propagował system kopernikański, że Kościół - wedle którego Ziemia była i miała być po wsze czasy centrum Wszechświata

- wytoczył mu w 1633 roku proces. Galileusz musiał przysiąc, że zaprzestanie głosić swoją naukę

tak w słowie, jak w piśmie.

Trzeba tu zwrócić uwagę na dwa aspekty działalności astronomów: z jednej strony opierali się oni na doświadczeniu i wynikach obliczeń... z drugiej wszakże nie zawsze dochodzili do bezbłędnych wniosków.

U Majów wszystko było inne

Wydaje się, że Majowie posiadli od razu całość swojej doskonałej wiedzy astronomicznej - tak, jakby gotowe tabele danych i obliczeń orbit planet Układu Słonecznego spadły im z nieba!

Czy można więc ze świadomością wszystkich wynikających stąd skutków przejść do porządku dziennego nad faktem, że Majowie znali okres obiegu Ziemi dokoła Słońca z dokładnością do czwartego miejsca po przecinku - 365,2421 dni! Liczba ta jest znacznie dokładniejsza od przyjętej przez kalendarz gregoriański - 365,2424 dni. Dopiero komputery wyliczyły, że wynosi ona 365,2422 dni.

Majowie z niewiarygodną precyzją operowali gigantycznymi cyklami po 374440 lat. Dane dotyczące obiegu Wenus wokół Słońca znali na tyle dokładnie, że w trakcie stulecia różnice dochodziły tylko do pół godziny, w trakcie zaś 6000 lat - tylko jednego dnia.

Angielski astronom, profesor Michael Kowan-Robinson, stwierdza w "New Scientist":
"Taką dokładność astronomia Zachodu osiągnęła dopiero w czasach nowożytnych." [21]

Amerykański zaś archeolog Sylvanus Griswold Morley (1883-1948), który przez wiele lat prowadził badania na Jukatanie, odkrył miasto Majów Uaxatún oraz kierował pracami wykopaliskowymi w Chichen-Itza, pisze:

"Dawni Majowie mogli określić każdą datę ze swojej chronologii z tak wielką precyzją, że powtarzała się ona dopiero po 374440 latach

- z intelektualnego punktu widzenia jest to ogromny sukces każdego systemu chronologicznego, zarówno starożytnego, jak i nowożytnego." [22]

A jednak u prapoczątków historii Majów musiało zdarzyć się coś, czego do dziś nie udało się odkryć. Za pomocą samych obliczeń nie sposób ustalić, że okres obiegu Wenus dokoła Słońca co 6000 lat należy "przesunąć" o jeden dzień. Wyliczeń takich nie da się wyciągnąć z rękawa - muszą się opierać na wcześniejszych obserwacjach. Ileż pokoleń astronomów podających absolutnie bezbłędne dane było więc trzeba dla uzyskania tak doskonałych obliczeń, że co sto lat można było spokojnie korygować okres obiegu Wenus dokoła Słońca o pół godziny?

Astronomowie sądzą, że wystarczy do tego parę lat obserwacji. Łatwo mówić, gwizdząc na warunki pogodowe panujące w dżungli, gdy siedzi się w wieżach z kości słoniowej współczesnych obserwatoriów astronomicznych nafaszerowanych najnowocześniejszą techniką - do tego rozmieszczonych w specjalnie wybranych miejscach kuli ziemskiej, znajdujących się zazwyczaj wysoko nad poziomem morza, gdzie istnieją optymalne warunki obserwacji astronomicznych dzięki przejrzystości powietrza! Majowie nie mieli przecież - zabrzmiało to być może idiotycznie, ale trzeba to podkreślić - ani urządzeń pomiarowych, ani radioteleskopów. Był to lud epoki kamiennej, który nie dysponował nawet metalem.

Z wysokości wież z kości słoniowej usłyszemy od razu, że to błąd.

Astronomowie i kapłani Majów mieli nieskończenie wiele czasu, mogli więc sobie przycupnąć na szczytach piramid schodkowych i gapić się w niebo. Stamtąd można było bardzo łatwo wybadać superdokładne wartości kątowe orbit planet. Tak twierdzą panowie, którzy do obliczenia, ile jest 11

razy 17, muszą mieć kalkulator! A poza tym w miastach Majów był metal - w końcu znaleziono tam złote posążki.

Dosyć, drodzy przeciwnicy! Kalendarz Majów istniał już, gdy budowano piramidy schodkowe - ponieważ były one zorientowane według danych z kalendarza. Złoto natomiast odkryto w późniejszej epoce! Wspaniałe piramidy, świątynie i miasta zostały zbudowane bez wyjątku przez "prymitywny" lud epoki kamiennej.

Ile pokoleń kapłanów i astronomów musiałyby poswiecić na szczytach piramid, zanim uzyskaliby wszystkie dane orbity Wenus?

John Eric Sidney Thomson (ur. w 1898 r.), maista światowej sławy, który poświęcił całe życie na badanie kalendarza i chronologii Majów oraz kierował pracami wykopaliskowymi na obszarze zamieszkiwanym niegdyś przez ten lud, reprezentuje pogląd, iż dane dotyczące orbit planet opierają się na obserwacjach astronomicznych prowadzonych przez wiele stuleci:

"W okresie ośmiu lat zdarza się tylko pięć dolnych koniunkcji* [Koniunkcja - konfiguracja dwóch ciał niebieskich, w której mają one jednakową długość ekliptyczną.]

Wenus, kapłan-astronom mógł więc przez trzydzieści lat życia - Majowie nie byli, długowieczni - zaobserwować w sprzyjających warunkach około dwudziestu heliakalnych wschodów tej planety. [Heliakalny (gr. heliakós-słoneczny) - wschód albo zachód gwiazdy, przypadający tuż przed wschodem lub tuż po zachodzie Słońca.]

W rzeczywistości jednak zła pogoda mogła ograniczyć tę liczbę do około dziesięciu. Poza tym Majowie ustalili heliakalne wschody na cztery dni po dolnej koniunkcji, a wykrycie planety w bezpośredniej bliskości Słońca wymaga przecież dysponowania niezwykle bystrym wzrokiem. Jeżeli obserwator nie zauważył planety czwartego dnia, wówczas wyniki jego obserwacji mogły się różnić nawet o jeden dzień. Musiał również obliczyć i uwzględnić odchyłki planety między wschodami heliakalnymi przeciętnie w ciągu 584 dni.

W tak niesprzyjających warunkach osiągnięcie takiej dokładności - różnicą jednego dnia w okresie ponad 6000 lat! - wymagało pracy wielu generacji obserwatorów." [23]

Profesor Robert Henseling zaszokował w 1949 roku swoich kolegów rozprawą o wieku astronomii Majów. Henseling stwierdził, że:

1. Wiedza Majów w dziedzinie astronomii i chronologii mogła zostać zdobyta stosunkowo szybko tylko wówczas, "gdyby na podstawie pełnego zrozumienia cykli Słońca, Księżyca, planet i gwiazd stałych stosowano przez dłuższy czas precyzyjne metody pomiaru niewielkich wartości kątowych i odcinków czasowych".

2. Należy uznać za niemożliwe, że Majowie znali instrumenty i metody pozwalające na prowadzenie pomiarów wartości kątowych z dostateczną dokładnością.

3. "Nie można natomiast podawać w wątpliwość, że astronomowie Majów dobrze znali konstelacje oddalone o tysiące lat świetlnych."

4. "Byłoby niezrozumiałe, gdyby w owej prehistorii, to znaczy na tysiące lat przed Chrystusem, ktoś nie uzyskał i nie przekazał potomnym wyników odpowiednich obserwacji."

5. "Takie osiągnięcia i chęć ich przekazania potomnym zakładają jednak konieczność istnienia już w owej prehistorii bardzo starej kultury." [24]

Henseling reasumuje, że początki astronomii Majów należałyby wywieść od pewnej "pierwotnej daty zerowej" sięgającej dziewiątego tysiąclecia, a dokładniej początku czerwca 8498 r. prz. Chr.

Od czasu oświadczenia Henselinga minęło już przeszło trzydzieści lat
- w tym czasie badacze historii Majów sprawdzali rachunki. Zgodnie doszli w końcu do przekonania, że tajemniczą datę należy umiejscowić
11 sierpnia 3114 r. prz. Chr.

Cóż zdarzyło się tego dnia?

I dlaczego to, co się wówczas zdarzyło, zdarzyło się właśnie 11 sierpnia 3114 roku prz. Chr.?
Żeby rozświetlić mroki historii liczącej sobie ponad pięć tysięcy lat, musimy zrozumieć podstawy kalendarza Majów.

IV. Czy to stało się 11 sierpnia 3114 roku
prz. Chr.?

Prawda nigdy nie tryumfuje, wymierają tylko jej przeciwnicy.

Max Planck (1858-1947)

Na nić Ariadny prowadzącą nas przez labirynt przerażającej wiedzy

Majów nanizało się już wiele obco brzmiących nazw miejscowości, miast, bogów i starych kronik. Aby dotrzeć do tego, co najdziwniejsze, trzeba się będzie zająć liczbami, przyprawiającymi o zawrót głowy. Chciałbym więc prosić, żeby czytali Państwo te strony powoli - przyrzekam jednak, że nić Ariadny wyprowadzi nas w końcu na światło poznania.

Wszystko zaczyna się bardzo prosto, bo system liczbowy Majów jest całkiem prosty: jedynek oznaczali kropką, dwójkę dwiema kropkami

- i tak dalej. Piątkę oznaczali poziomą kreską, szóstkę poziomą kreską, nad którą stawiali kropkę. Siódmkę - kreską, nad którą były dwie kropki, i tak dalej. Dziesiątkę oznaczały dwie poziome kreski - jedna nad drugą. Potem nad tymi kreskami stawiali znów kropki - aż do piętnastu, liczby oznaczanej trzema kreskami. Podobnie było od szesnastu do dziewiętnastu. Zero symbolizował stylizowany rysunek ślimaka. Wyglądało to trochę jak alfabet Morse'a :

								-----	-----	-----	-----	-----	=====										
1	2	3	4	5	6	7	8	9	10																		
								-----	-----	-----	-----	-----	=====	=====	=====	=====	=====	=====	=====	=====	=====	=====	=====
=====		+																									
11	12	13	14	15	16	17	18	19	0																		

Gdyby wszystko było takie proste, nie musiałbym ostrzegać Państwa przed trudnościami. Żadna bowiem z pozostałości kultury Majów nie jest tak zrozumiała, jak byśmy chcieli -- a dotyczy to zwłaszcza wyższej matematyki. Obok szeregów prostych znaków liczbowych przypominających znaki alfabetu Morse'a stosowali oni setki hieroglifów oznaczających liczby - a wyglądających jak głowy bogów, z których każda jest określeniem danej wartości. Skomplikowaną część arytmetyki Majów rozumieją (być może) wyłącznie specjaliści po wieloletnich studiach, my jednak - Kukulcanowi niech będą dzięki - możemy tu o niej zapomnieć.

Nasz system liczbowy jest systemem dziesiętnym, wywodzącym się od dziesięciu palców u rąk.

Majowie operowali systemem dwudziestkowym. Pierwszy stopień trudności widać na pierwszy rzut oka: jeśli my do jedynki dostawimy zero, będziemy mieli 10, jeśli dodamy jeszcze jedno zero, otrzymamy 100 - liczba będzie się zwiększać o kolejną potęgę liczby dziesięć. W systemie dwudziestkowym Majów zero umieszczone po jedynce wcale nie dawało dziesiątki. Jedynka postawiona przed zerem oznaczała wyłącznie jedynkę postawioną przed zerem, czyli "1" i "0" - jeden i nic.

Nasze liczby są usystematyzowane od prawej do lewej, każde kolejne miejsce w lewo oznacza następną wartość potęgi liczby dziesięć. Na przykład 4327 to: siedem jedynek, dwie dziesiątki, trzy setki i cztery tysiące. Ale oto pojawia się już kolejny problem - Majowie pisali cyfry z dołu do góry, przy czym z każdym wyższym stopniem wartość zwiększała się o kolejną potęgę dwudziestu. Wyglądało to mniej więcej tak:

64000000
 3200000
 160000
 8000
 400
 20
 1

Czyżby były to wartości za wielkie? W żadnym razie, bo Majowie posługiwali się takimi liczbami jak 1280000000.

Dziewiętnaście oznaczano umieszczając nad trzema poziomymi kreskami cztery kropki, alejakiego symbolu używali Majowie na oznaczenie dwudziestki? W niższej kolumnie markowali zero, które zajmowało miejsce "zero jedynki", w wyższej jedynka oznaczała dwudziestkę. Czterdzieści oznaczano umieszczając zero w najniższej kolumnie, w kolejnej zaś dwie kropki oznaczały "dwa razy dwadzieścia". Zobaczmy, jak wyglądało to na poniższych przykładach:

55 $\begin{array}{c} \text{---} \\ \text{---} \\ \text{---} \end{array}$ $\begin{array}{c} \cdot \\ \cdot \\ \cdot \\ \cdot \end{array}$ $\begin{array}{c} \text{---} \\ \text{---} \\ \text{---} \end{array}$
 - - (= 2 dwudziestki)
 - .. -
 - - + $\begin{array}{c} \text{---} \\ \text{---} \\ \text{---} \end{array}$ + -----
 -====- (= 15 jedynek)
 - -
 L $\begin{array}{c} \text{---} \\ \text{---} \\ \text{---} \end{array}$ -
 105 $\begin{array}{c} \text{---} \\ \text{---} \\ \text{---} \end{array}$ $\begin{array}{c} \cdot \\ \cdot \\ \cdot \\ \cdot \end{array}$ $\begin{array}{c} \text{---} \\ \text{---} \\ \text{---} \end{array}$
 - - (= 5 dwudziestek)

 - -
 + $\begin{array}{c} \text{---} \\ \text{---} \\ \text{---} \end{array}$ +
 - -
 ----- (= 5 jedynek)
 - -
 L $\begin{array}{c} \text{---} \\ \text{---} \\ \text{---} \end{array}$ -
 816 $\begin{array}{c} \text{---} \\ \text{---} \\ \text{---} \end{array}$ $\begin{array}{c} \cdot \\ \cdot \\ \cdot \\ \cdot \end{array}$ $\begin{array}{c} \text{---} \\ \text{---} \\ \text{---} \end{array}$
 - - (= 2 czterechsetki)

- .. -
 - - -
 +^{||||}+
 - - -
 - + - (= 0 dwudziestek) -
 +^{||||}+
 - . -

 -===== (= 16 jedynek)
 L^{||||}-
 18980 -^{||||}-
 - - (= 2 razy osiem tysięcy) - .. -
 - - -
 +^{||||}+
 - - (= 7 czterechsetek) - .. -

 +^{||||}+
 - - -
 -....- (= 9 dwudziestek)

 +^{||||}+
 - - -
 - - -
 - + - (= 0 jedynek)
 L^{||||}-

Ten sposób zapisu jest prostszy niż cokolwiek, co wymyślił Stary Świat. Bo ani starożytni Rzymianie, ani Grecy nie znali zera. Rzymianie oznaczali liczby za pomocą liter, zamiast 1848 pisali MDCCCXLVIII.

Tych szeregów nie można było dodawać do siebie umieszczając jeden nad drugim, nie można ich też było ani mnożyć, ani dzielić. Do przeprowadzania takich operacji rachunkowych brakowało genialnego w swojej prostocie zera, niezastąpionego zarówno w systemie dziesiętnym, jak i dwudziestkowym. Europejczycy przejęli zero około 700 roku po Chr. od Arabów, którzy z kolei zawdzięczają je Hindusom - ci zaś twierdzą, że sztuki liczenia nauczyli się od "bogów".

Koła czasu

O ile stosunkowo łatwo pojąć system liczbowy Majów, o tyle zrozumienie ich kalendarza jest dość skomplikowane. Dawni Indianie poświęcili mu całą swoją pasję, byli bowiem "opętani ideą mierzenia czasu" [1].

Kalendarz regulował życie Majów po najdrobniejsze szczegóły. Ustalał daty świąt religijnych, określał współrzędne monstrialnych budowli oraz wyznaczał aspekty przyszłości Majów. Kalendarz nadawał porządek przebiegowi stale powracających zdarzeń i zapewniał łączność z Kosmosem. Najmniejszą stosowaną jednostką kalendarzową był miesiąc, liczący 13 dni.

Spróbujmy zbliżyć się do tajemnicy za pomocą metod wizualnych. Wyobraźmy sobie miesiąc Majów jako małe koło o 13 segmentach, na których wyryto cyfry od 1 do 13:

Rok liczył 20 miesięcy po 13 dni. Każdy miesiąc nazwany był imieniem innego boga.

1 - Imix	11 - Chuen
2 - Ik	12 - Eb
3 - Akbal	13 - Ben
4 - Kan	14 - Ix
5 - Chicchan	15 - Men
6 - Cimi	16 - Cib
7 - Manik	17 - Caban
8 - Lamat	18 - Eznab
9 - Muluc	19 - Cauac
10 - Oc	20 - Ahau

Dwadzieścia miesięcy symbolizuje duże koło o 20 segmentach, opatrzonych nazwami z powyższej listy.

Jeżeli teraz zewnętrzna strona małego koła zazębi się z wewnętrzną stroną koła dużego, to 13 razy 20 da rok liczący 260 dni. "Dowcip" polega na tym, że w ciągu roku ani razu nie powtarza się ta sama kombinacja dzień-miesiąc. Dlaczego?

Małe koło zaczyna się obracać z pozycji "1", wielkie z pozycji "Imix"

- dla Majów znaczyło to, że mają dzień 1 Imix. Nazajutrz był 2 Ik, pojutrze 3 Akbal - i tak dalej.

Kiedy małe koło zetknie się sektorem "13" z sektorem wielkiego koła nazywanym "Ben", to dopiero po dwunastu kolejnych obrotach sektor małego koła oznaczony "1" spotka się powtórnie z "Imix".

Potem wielkie koło wykona znowu dziewiętnaście kolejnych obrotów - po 13/Ben następują: 1/Ix, 2/Men, 3/Cib...

W sumie 13 obrotów daje cykl 260 dni zwany przez Majów tzolkin. Tzolkin był rokiem świętym, boskim, uwzględniającym daty wszystkich rytuałów religijnych. Do dziś nie wyjaśniono, dlaczego Majowie przyjęli cykl roczny liczący 260 dni.

Tzolkin zawierał wyłącznie dane dotyczące religii, nie uwzględniał pór roku - nie mógł mieć zatem zastosowania przy uprawie roli - Majowie używali więc drugiego kalendarza zwanego huab. Huab miał 18 miesięcy po 20 dni każdy, do których dodawano pięć dni uzupełniających: $360 + 5 = 365$ dni. Podobnie jak w roku świętym także i w świeckim miesiące nazwano imionami bogów, które brzmią dziś dość zabawnie: Imix, Ik, Kan, Oc, Eb, Ben...

Nasze dwa koła zębate należy więc uzupełnić trzecim

- kołem roku świeckiego o 365 sektorach. Niczym w mechanicznej przekładni zazębiają się one teraz z kołem tzolkin.

Jeśli wielkie koło czasu zacznie się obracać, to okaże się, że wróci ono do pozycji wyjściowej dopiero po 18980 dniach. Dlaczego?

Na naszej przekładni datę odczytujemy w następujący sposób: 4 Ahau

(nazwa miesiąca w roku tzolkin) 8 Cumhu (nazwa miesiąca w roku haab). Kolejnym dniem będzie więc 5 Imix 9 Cumhu, następnym 6 Ik 10

Cumhu - i tak dalej. Potrzeba 18980 kolejnych pozycji, żeby trzy koła zamknęły swój cykl. Jeśli 18980 dni podzielimy przez 365, otrzymamy 52 lata - cykl kalendarza Majów! Tzolkin miał 260 dni. Jeżeli 18980 podzielimy przez 260, otrzymamy liczbę 73. Cykl kalendarza Majów składał się więc z 52 lat ziemskich po 365 dni albo z 73 lat boskich po 260 dni. Maistryka stworzyła na określenie tego okresu specjalne pojęcie "calendar-round", "obrót kalendarzowy" - była to cezura nadająca określony rytm życia Majów.

Dzień, W którym przybyli bogowie?

W rzeczywistości jednak kalendarz Majów jest znacznie bardziej skomplikowany niż świadczyłaby ta uproszczona próba jego wyjaśnienia. Majom znany był okres obiegu Ziemi dokoła Słońca, który wyliczyli z niewyobrażalną dokładnością na 365,242129 dni. Majowie wiedzieli, że rok trwa nieco dłużej niż 365 dni i że ich kalendarz nie jest dość dokładny - co kilka lat trzeba go "przestawiać".

W kalendarzu gregoriańskim różnice korygujemy w następujący sposób: co cztery lata po 365 dni mamy rok przestępny, w którym pojawia się 29 lutego - jeśli ktoś przyszedł na świat w ów feralny dzień, obchodzi urodziny tylko to cztery lata.

Korekta kalendarza Majów nie była taka prosta! Zgodnie z zawiłymi obliczeniami dodawano ca 52 lata 13 dni, aby potem co każde 3172 lata odjąć 25 dni. To zrozumiałe, kalendarz Majów był najdokładniejszym kalendarzem świata - rok różnił się tam minimalnie od okresu obiegu Ziemi dokoła Słońca wyliczonego metodami astronomicznymi. Porównajmy:

kalendarz juliański (do 1582 r. po Chr.)	- 365,250000 dni	kalendarz gregoriański {od 1582 r. po Chr.)	- 365,242129 dni
astronomiczne:	- 365,242198 dni.	ściśle wyliczenie	

Ale każdy kalendarz tylko wówczas ma sens, kiedy ma datę początkową. Datą zerową naszego kalendarza, kalendarza Zachodu, jest rok narodzin Chrystusa. Muzułmanie rozpoczynają swój kalendarz od przyjazdu Mahometa z Mekki do Medyny w 622 roku po Chr.

Starożytni Persowie liczyli lata "od początku świata". Jaka data stanowi początek fenomenalnego kalendarza Majów?

Ten wielki znak zapytania odbierał sen całym pokoleniom badaczy.

Wszyscy byli zgodni tylko co do jednego - że rachuba czasu rozpoczynała się złowróżbną datą 4 Ahau 8 Cumhu, ten dzień bowiem, który, jak wiemy, powtarza się co 52 lata, stoi na początku wszystkich obliczeń kalendarzowych. Jak jednak należy datować dzień 4 Ahau

8 Cumhu według naszej rachuby czasu?

Do roku 1972 było co najmniej szesnaście różnych hipotez określających datę zerową. Liezono nawet z pomocą komputerów, starając się ustalić, jakie daty kalendarza Majów odpowiadają datom naszej rachuby czasu. Badacze jednak nadal proponują coraz to inne daty zerowe:

Profesor Robert Henseling lokuje punkt zerowy na początku czerwca

8498 roku prz. Chr. [2], jego kolega Arnost Dittrich dzięki zastosowaniu równań algebraicznych doszedł do kilku możliwych wyników - wszystkie oscylują około 3000 roku prz. Chr. [3] Światowej sławy maista, profesor Herbert J. Spinden, prowadził ze swoim nie mniej słynnym kolegą Johnem E.S. Thompsonem zaciekły spór - Spinden twierdził, że datę zerową należy ustalić na 14 października 3373 roku prz. Chr., tymczasem Thompson uważał, że miało to miejsce 260 lat później, czyli 11 sierpnia 3114 roku prz. Chr. Kiedy maistyka uznała za właściwą datę ustaloną przez Thompsona, amerykański A.L. Vollemaere zgłosił sprzeciw oświadczając, że data zerowa to dokładnie 16 września 3606 roku prz. Chr. [4] Wprawdzie hipotezy dotyczące umiejscowienia w czasie daty zerowej obejmują okres 5000 lat - od 8000 do 3000 roku prz. Chr. - to jednak wszyscy uczestnicy sporu są zgodni co do jednego: wtedy nie było jeszcze Majów. Dlaczego więc Majowie, spadkobiercy jakiejś nieznannej przeszłości, właśnie tam umiejscowili początek swojego kalendarza? Dla ich najdawniejszych przodków o tej godzinie zero musiało się zdarzyć coś niezwykle ważnego.

Dotychczas nie pojawił się jeszcze na świecie kalendarz, na którego początek jego twórcy wyznaczyliby dzień fikcyjny. Właśnie to jednak przypisują Majom wszytkowiedzący uczeni. Między hipotetycznymi datami, jakie wymienia archeologia maistyczna, a początkiem tego kalendarza rozciąga się ogromna przepaść - chyba nie do przebycia. Dlaczego kalendarz Majów wyprzedza o całe tysiąclecia ich epokę? Kto ustalił datę początkową? Na co wskazuje owa data? Czy był to dzień, w którym przybyli bogowie?

Gra milionami i miliardami

Przypomnijmy sobie potrójne tryby, na które składa się koło z dwudziestoma cyframi oraz koło tzolkin i koło haab, tworzące tak zwany "calendar-round", obejmujący 18980 dni albo 52 ziemskie lata.

Dla nabrania rozpędu dodajmy koło czwarte, którego pierwszy ząb zazębia się z datą zerową, 4 Ahau 8 Cumhu. Koło to fachowcy nazywają "long-count", "długie wyliczenie" - jest to nazwa najwłaściwsza, bo z obrotów tych czterech kół zębatych wynikają cykle mające miliony i miliardy lat. Oto zestawienie cykli Majów:

1 kin	=	1 dzień
1 unial	=	20 dni
1 tun	=	360 dni
1 katun	=	7200 dni (20 tunów)
1 baktun	=	144000 dni (20 katunów)
1 pictun	=	2880000 dni (20 baktunów)
1 calabtun	=	57600000 dni (20 pictunów)

Groteskowe jednostki czasu? Zapewne, ale Majowie operowali jeszcze większymi: kinchiltun liczył sobie 3200000 tunów, alautun 64000000 tunów - a było to, proszę sobie tylko wyobrazić, 23040000000 dni albo 64109589 lat - liczby niewyobrażalne, ale Majowie stosowali je naprawdę. Kilka inskrypcji sięga na 400 milionów lat w przeszłość.

Ale jak z tych gigantycznych cykli wyłowić określony dzień? Umożliwiały to "koła czasu", ponieważ w ciągu 374440 lat na każdy dzień było inne określenie - w sumie 136656000 określeń! Mój słynny rodak Rafael Girard, wyróżniony wysokimi odznaczeniami badacz historii Majów, który całe życie poświęcił maistyce i mieszkał wśród Indian, pisze:

"W dziedzinie matematyki, chronologii i astronomii Majowie przewyższali nie tylko wszystkie ludy kontynentu amerykańskiego, lecz również wszystkie cywilizacje Starego Świata." [5]

To, co udowadniają badania, pokrywa się z wypowiedziami Białego Niedźwiedzia, mądrego sędziego plemienia Hopi z Arizony: Czas miał dla Majów wartość wieczności. W głębi mrocznej studni przeszłości Majowie mogli określać punkty czasowe zdarzeń równie dokładnie, jak dokładnie obracały się w przyszłość koła czasu. Takim wydarzeniem - leżącym w dalekiej przyszłości - był dla Majów powrót boga Kukulcana, dla Azteków powrót boga Quetzalcoatla.

Od początku owej zamierzchłej przeszłości - w której nie było jeszcze Majów - po ustaloną naukowo epokę, w której istnieli, upłynęły według tego kalendarza ponad miliony lat. Nie udało się znaleźć odpowiedzi na pytanie, dlaczego Majowie posługiwali się w swoich obliczeniach, rozmyślaniach i planach tak długimi okresami. Na potrzeby życia codziennego, na przykład na potrzeby uprawy roli, ich nie kończący się kalendarz wcale się nie nadawał. Upływ czasu bez początku i końca mógł mieć znaczenie tylko wtedy, jeżeli cykle utrzymywałyby daty zdarzeń powtarzających się co tysiące czy setki tysięcy lat i dlatego należało je zachowywać w pamięci przy

pomocy kalendarzy. Moim zdaniem owe tak często podziwiane i tak często traktowane ze zdumieniem cykle kalendarzowe miałyby sens tylko z takiego punktu widzenia.

Intermezzo

Wśród mojej poczty znalazł się list opatrzony datą 15 marca 1981 roku. Najeżony cyframi pasował jak ulał do sytuacji, w jakiej się znalazłem - studiowałem właśnie liczby Majów [7]. Nadawcą był dr S. Kiessling z Akwizgranu. "Chyba coś ciekawego!" - zaznaczył na marginesie mój sekretarz. Nie znany mi pan dr Kiessling pisał, że spędził kilka lat wśród Indian w Peru i zajmował się "dokładnie z punktu widzenia nauki tak zwanym kalendarzem Majów". Potem następowały dane z kalendarzy tzolkin i haab, o których pisałem przed chwilą.

Aż do tego chłodnego marcowego dnia 1981 roku nie dysponowałem gruntowną wiedzą na temat kalendarza Majów. Ostatnie zdanie listu rozbudziło jednak moją ciekawość. Badań, które nie próbują określić, jaki naprawdę sens matematyczny leży u podstaw kombinacji dwóch kalendarzy, nie można, wyrażając się delikatnie, określić mianem naukowych. "

Dr Kiessling nie podejrzewał, jaką burzę rozpętał w moim umyśle.

W ciągu dwóch dziesięcioleci udoskonaliłem swoje zmysły i okazało się, że mam szczególnego nosa do rozsądnych wyjaśnień, nawet jeśli naukowcy uniwersyteccy będą je uważali (jeszcze) za nienaukowe. Sięgnąłem więc do sterty literatury maistycznej piętrzącej się w moim pokoju, aby sprawdzić dane zawarte w liście. Wszystko wyglądało dość rozsądnie. Do Akwizgranu wysłałem list z dwoma pytaniami: Kim pan jest? Dlaczego nie opublikuje Pan sam tego wystrzałowego materiału. Odpowiedź wkrótce nadeszła:

"Serdecznie dziękuję Panu za list z 24 marca 1981. Jestem naukowcem trzeźwo myślącym, nie zależy mi więc na pisaniu prac popularnonaukowych, bo od moich czytelników wymagam obszernej wiedzy. Poza tym jestem zmęczony i nie chcę już po raz któryś rozprawiać się z arogancją i ignorancją szkolarkstwa... Właśnie dlatego wysyłam Panu w załączeniu kilka fotokopii opisu jednej z moich koncepcji, zawierającej wyniki badań dawnych kultur. Może Pan tym dysponować wedle własnego uznania. Pański sposób pisania jest znacznie bardziej zrozumiały od mojego. Poszczególne punkty koncepcji są oparte na podstawach naukowych i w każdej chwili można je sprawdzić... Załączone materiały są bezpłatne." [8]

Dowiedziałem się, że dr Kiessling studiował kiedyś chemię i metalurgię. Już w trakcie studiów w Dreźnie natknął się na Kodeks Drezdeński: "Uznałem, że świat Majów jest znacznie bardziej interesujący niż moje studia!" Przed drugą wojną światową wyjechał do Gwatemali, gdzie amerykański archeolog J. Budge "wprowadził go na miejscu w kulturę Majów". Mimo podjęcia pracy w zawodzie Eały czas ciągnęło go do Ameryki Środkowej.

Miałem więc teraz przed sobą plon jego pasjonujących badań. Postawiłem sobie za cel przedstawić to, co skomplikowane, w sposób możliwie najprostszy - a jest to naprawdę trudne.

Genialny pomysł dr. Kiesslinga

Tzolkin i haab składają się na "calendar-round", liczący 18980 dni albo 52 lata. Koło tzolkin obejmujące 260 dni jest mniejsze od koła haab, mającego 365 sektorów na 365 dni. W ciągu 52 lat koło haab obraca się tylko 52 razy, gdy tymczasem koło tzolkin musi wykonać 73 obroty, żeby nie wypaść z gry. Ale w ciągu 52 lat każdemu z kół udaje się jakoś wypełnić plan:

$$52 \times 365 = 18980 \text{ dni} \quad 73 \times 260 = 18980 \text{ dni}$$

Tzolkin był kalendarzem świętym, boskim, bezjakiegokolwiek wartości praktycznej - 73 lata boskie odpowiadały 52 latom ziemskim.

W okresie tych 52 lat, zgodnie z odEzytanymi hieroglifami, na firmamencie dziesięć razy ukazywali się określani bogowie o nader skomplikowanych imionach - co 52 lata obawiano się powrotu tych strasznych istot [9]. Jeżeli w trakcie owych 52 lat (18980 dni) bogów było widać na firmamencie dziesięć razy, to logiczne jest, że w ciągu 5,2 roku (1898 dni) tylko raz. Dr Kiessling zadał sobie pytanie: Co pojawiał się więc co 5,2 roku (albo co 1898 dni) na niebie? Kometa? Statek kosmiczny? Boska planeta Wenus? Zaciekawiony badacz skrupulatnie sprawdził wszystkie dane orbit planet Układu Słonecznego i poczynił zadziwiające spostrzeżenie:

OKRES OBIEGU PLANET WOKÓŁ SŁOŃCA

	W dniach ziemskich:	W latach ziemskich:
Merkury	88	0,24
Wenus	225	0,62
Ziemia	365	1,00
Mars	687	1,88
Planeta X	1898	5,20
-----Jowisz		
4329	11,86	

Jeśli spojrzymy na schemat Układu Słonecznego, od razu rzuci nam się w oczy wielka luka między Marsem a Jowiszem. Porusza się tam dokoła Słońca zgodnie z prawami Keplera olbrzymia, widoczna tylko przez teleskop gromada niewielkich ciał niebieskich zwanych planetoidami. Jeżeli założymy, że planetoidy te są szczątkami jakiejś planety, to będzie można obliczyć, że planeta owa, w czasie kiedy stanowiła całość, wykonywała jeden obrót wokół Słońca w ciągu 1898 dni, czyli dokładnie

5,2 roku ziemskiego!

Z tego punktu widzenia kombinacja kalendarza tzolkin i haab byłaby nieprzypadkowa - określałaby dokładny okres obiegu Planety X wokół Słońca. Określałaby zarazem nie tylko to - 1898 dni razy 10, równa się 18980 dni (52 lata), a co 52 lata Planeta X znajdowała się najbliżej naszej planety. Tego właśnie dnia dzieci Ziemi obawiały się przybycia bogów i dlatego przed upływem cyklu kalendarzowego narastało wśród

Majów takie napięcie. Z tego powodu co każde 52 lata ze strachem i ze szczególną uwagą obserwowano niebo - oczekiwano pojawienia się boga Kukulcana albo Quetzalcoatl. Zbieganie się dat boskiego kalendarza tzolkin i ziemskiego haab w 18980 dniu zwiastowało niebezpieczeństwo. Istoty pozaziemskie i Ziemianie przygotowywali się do spotkania na najwyższym szczyble.

Nie daruje mi się na pewno, że napisałem "razy 10" - Majowie nie mogli znać tego pojęcia, bo stosowali system dwudziestkowy. Majowie jednak nie pisali liczby 18980 tak jak my, tylko pracownicy budowali swój "słupek", inną drogą dochodząc do tego samego rezultatu - również ta liczba mówiła o dziesięciokrotnym pojawieniu się bogów na niebie.

Serdeczne dzięki, panie doktorze Kiessling!

Poważne igraszki Majów z liczbami

Od dziesięcioleci wśród archeologów jak widmo krąży pytanie, co też mogła oznaczać magiczna liczba 260 z kalendarza tzolkin. W jaki sposób "dzicy" Indianie wpadli na pomysł stworzenia boskiego kalendarza, który miał 260 dni? "Prawdopodobnie liczba ta miała symbolizować związki nieba z człowiekiem" - twierdzi profesor Wilhelmy w swojej pracy Świat i środowisko Majów [1]. Liczba ta jednak mówi nie tylko o tym - na 260 dni kalendarza tzolkin składało się 20 miesięcy po 13 dni.

"Dwadzieścia" jest dla Majów liczbą podstawową. Na "dwadzieścia"

w języku Majów mówiono uinic - słowo to znaczyło też człowiek. Boscy mistrzowie, którym Indianie zawdzięczają ogromną wiedzę matematyczną, nauczali stosując genialne uproszczenie - system dwudziestkowy (uinic) był podstawą obliczeń stosowanych przez człowieka (uinic), który z kolei mógł się go nauczyć na dziesięciu palcach rąk i dziesięciu nóg.

Mars i Wenus idealnie pasują do kalendarza świętego, liczącego 260

dni - synodyczny obieg Marsa trwa 780 dni albo trzy cykle

[Synodyczny obieg - okres między dwoma takimi samymi położeniami planety względem Słońca, obserwowanymi z Ziemi.]

kalendarzowe po 260 dni ! Na jeden synodyczny obieg wenus potrzebuje

584 dni. Majowie zadawali sobie pytanie, ile razy Wenus musi okrążyć Słońce, żeby pojawić się znów jako Gwiazda Zaranna. Najmniejszą jednostką jest 4. Najbardziej znany maista, sir John Eric Thompson podaje następujące wyliczenie:

"584 podzielone przez 4 równa się 146, z kolei 146 razy 260 równa się

37960. Bogowie Wenus i dwustusześcdziesięciodniowych cykli docierali więc na to samo miejsce odpoczynku po 37960 dniach, co równa

się 65 obiegom Wenus i 146 okresom po 21,0 dni." [6]

Liczba 37960 była dla Majów liczbą świętą w kołach czasu. Po 37960

dniach podróży bogowie dotarli do "wielkiego miejsca odpoczynku". Jeśli 37960 podzielimy przez 1898 (liczba dni obiegu Planety X wokół Słońca), otrzymamy liczbę podstawową - 20. Dlaczego Majowie komplikowali sobie życie, operując równocześnie dwoma kalendarzami? Wystarczyłby im przecież ziemski kalendarz haab mający 365 dni. Jeżeli wiedzieli - ze starych przekazów bądź dzięki trwającym przez wieki obserwacjom nieba - że co każde 52 lata bogowie zbliżają się najbardziej do Ziemi, to przecież nie wymagało to doprawdy stosowania specjalnego świętego kalendarza tzolkin o 260 dniach. A może jednak?

Podejmując próbę wyjaśnienia tego problemu proponuję teorię, która nam uprzytomni, co mogą kryć w sobie liczby.

Przypuśćmy, że załoga ziemskiego statku kosmicznego ląduje na odległej planecie, której okres obiegu dokoła Słońca jest zupełnie inny niż naszej Błękitnej Planety. Rok na tej planecie trwa krócej niż na Ziemi, poza tym hipotetyczna Planeta X obraca się wolniej wokół własnej osi, długość dnia nie będzie więc taka sama jak długość dnia ziemskiego.

Kosmonauci mają na ręku najnowocześniejsze przyrządy do pomiaru czasu. Mogą wprowadzić do pamięci tych czasomierzy okres obiegu planety wokół Słońca. Odtąd ich chronometry są przystosowane do dwóch niezależnych systemów pomiaru czasu - czasu ziemskiego i czasu Planety X. Według nowego czasu kosmonauci będą wiedzieć, ile godzin pozostało do zmroku i jak długo będzie trwała lodowata noc.

W trakcie dłuższego pobytu dowiedzą się o kolejności upływających dni, kiedy nadejdzie wiosna i

kiedy trzeba będzie obsiać pola...

Ale nawet w niezmiernych otchłaniach Kosmosu i na odległej planecie astronauci pozostaną sobą: dziećmi Ziemi. Metabolizm ich organizmów będzie przebiegał nadal według rytmu procesów zachodzących na Ziemi, urodziny będą obchodzić według ziemskiej rachuby czasu - kiedy ktoś z nich, żyjący zgodnie z nowymi prawami pomiaru czasu, zechce się dowiedzieć, ile ma lat, zapyta o lata ziemskie. Jeżeli grupa kosmonautów będzie miała ochotę obchodzić Boże Narodzenie, to będzie je święcić wedle ziemskiej rachuby czasu, czyli 25 grudnia, śpiewając "Bóg się rodzi". Korki od szampana zaś - jeżeli będą go mieli w zapasie - wystrzelą w Sylwestra i wszystkim będzie obojętne, co o tej dacie powie kalendarz Planety X.

Ale naszych kosmonautów dręczy fatalny dylemat - muszą żyć i pracować stosując dwa kalendarze. To prawie schizofrenia. Kalendarz ziemski do niczego właściwie się na tej planecie nie nadaje, jest całkowicie bezużyteczny - kosmonauci muszą teraz żyć posługując się obcym sobie kalendarzem dostosowanym do warunków nowej planety.

Niech hipotetyczna planeta wykonuje jeden obrót wokół Słońca w czasie 1898 dni. Ale czym jest jeden dzień? Rotacją planety wokół osi, rozpoczynającą się i kończącą w południe. Załóżmy, że jeden dzień na Planecie X odpowiada 7,3 dnia ziemskiego. Dlaczego właśnie 7,3 - dlaczego nie 5,6 albo 11,8 dnia ziemskiego? Ponieważ liczba 73 była świętą liczbą Majów! Przypomnijmy sobie, że przecież 73 lata święte dopełniały cykl kalendarzowy, a jedna dziesiąta tej liczby - czyli 7,3 - wiązała się z życiem codziennym bogów. Rotacja Planety X trwająca 7,3 dnia ziemskiego oznaczałaby, że planeta bogów obraca się wokół własnej osi o wiele wolniej od Ziemi. Obłądana utopia? Nie, rzeczywistość: Merkury obraca się wokół własnej osi w czasie 88, Wenus w czasie 243 dni ziemskich, a Mars w czasie 24 godzin i 37 minut. Rotacji Jowisza i innych pozostałych planet nie poznano dotychczas dokładnie.

Jeden dzień na Planecie X trwałby więc 7,3 dnia ziemskiego. W ciągu 1898 dni ziemskich Planeta X wykona pełny obrót dokoła Słońca. Ile dni będzie miał rok na tej planecie?

$$1898 : 7,3 = 260 \text{ dni}$$

Tzolkin zawsze się zgadza. "Być może Bóg stosował przypadek zamiast pseudonimu, kiedy nie chciał się pod czymś podpisać" - mawiał Anatol France (1844-1924).

W kombinacji kalendarzy tzolkin i huab nie ma miejsca na przypadki.

Wprawdzie w sposób matematycznie zakodowany, ale zrozumiały dla ludzi dalekiej przyszłości bogowie zdeponowali u praprzodków Majów informacje o swojej planecie. Równanie było proste: 73 latom boskim odpowiadały 52 lata ziemskie.

Pozaziemscy nauczyciele przekazali również przodkom Majów dokładne dane dotyczące orbit planet Układu Słonecznego oraz - zawar tą w Kodeksie Drezderiskim - listę wszystkich zaćmień Słońca i Księżyca, jakie nastąpią w przyszłości.

Czy przybysze chcieli za pomocą tej ogromnej wiedzy umocnić władzę ustanowionych przez siebie władców-kapłanów? A może nie kapłanów, lecz ich nieznanymi przodków? Czy wśród prostego ludu chcieli wykorzenić strach przed niepojętymi zjawiskami przyrody? Niezliczone pytania "dlaczego?" i "po co?", dotyczące kalendarzy pozostają nadal bez odpowiedzi, zasadniczy cel jednak wydaje się jasny: późniejsze, dużo późniejsze pokolenia będą musiały się zająć tymi tajemniczymi, częstokroć zdumiewająco dokładnymi systemami pomiaru czasu.

Psycholodzy z innej planety nie popełnili błędu. Na całej kuli ziemskiej mądrzy ludzie już od stu lat starają się zgryźć twarde orzechy tajemniczych zagadek. Jak dotąd miłośnicy dentyści musieli im

wstawić na powrót w usta otwarte ze zdumienia wiele utraconych zębów. Cóż bowiem naprawdę znaczą owe obłędne cykle - kalabtun mający 5760000 dni czy kinchiltun liczący dni 1152000000? A czy w ogóle można sobie wyobrazić wielkość cyklu alautun, obejmującego 2304000000 dni?

Gdyby stosować ziemską rachubę czasu, tworzenie takiego kalendarza nie miałyby najmniejszego sensu. Najbardziej dumna dynastia ciekawa czasu swojego trwania nie uzurpowałaby sobie prawa do zasiadania na tronie po upływie jednego alautun, czyli 64109589 lat

- zapewne by jej to już nie interesowało, a jeśli nawet, to zadowoliliby się wyliczeniami szacunkowymi. Od dworskich astronomów nie żąda się przecież rachunków dokładnych co do roku czy co do dnia. Czyżby więc była to tylko igraszka płynąca z czystej radości zajmowania się matematyką?

Na pewno nie, bo mitologia Majów przyporządkowywała - co jeszcze zobaczymy - rytmom cykli kalendarzowych określone czynności bogów. Na przykład po upływie 104 lat ziemskich, czyli 37960 ziemskich dni, bogowie dotarli po długiej podróży do "wielkiego miejsca odpoczynku".

Dlaczego wyruszyli w tak długą podróż? Skąd przybyli? Być może z byłej Planety X, która eksplodowała pozostawiając po sobie grupę planetoid? Dokąd chcieli dotrzeć? Czy zatrzymali się na "wielkim parkingu" jednej z planetoid?

Przepelniona przestrzeń niczyja

W noc sylwestrową 1800 roku Giuseppe Piazzi (1746-1826), mnich zakonu teatynów, a zarazem astronom i dyrektor obserwatoriów astronomicznych w Palermo i w Neapolu, siedział przy teleskopie w trakcie rutynowych obserwacji nieba. Pracował nad stworzeniem nowego katalogu gwiazd. W pewnej chwili w polu widzenia znalazł się niewielki obiekt, z jakim astronom jeszcze nigdy się nie zetknął - tak Piazzi odkrył pierwszą niewielką planetę, planetoidę Ceres. Carl Friedrich Gauss (1771-1855), jeden z największych matematyków i astronomów wszechczasów, obliczył orbitę tej planetoidy, która wkrótce przestała być widoczna. W latach 1802-1807 zarejestrowano kolejne planetoidy - Pallas, Juno i Vesta. W 1845 roku niemiecki astronom-amator W.P. Hencke wysledził piątą planetoidę. Od tego czasu poznano ich tak wiele, że kolejne wciąga się do rejestru nie nadając im nazw, lecz numery. Ogólną liczbę poznanych planetoid ocenia się na ponad 400 tysięcy.

Jeszcze przed nadejściem owej pamiętnej sylwestrowej nocy 1800 roku astronomowie zwrócili uwagę, że między orbitą Marsa a orbitą Jowisza rozciąga się w Układzie Słonecznym wielka luka, licząca 480 mln kilometrów. Podejrzewano, że w owym pustym miejscu coś jest

- poszukiwania nie zostały uwieńczone powodzeniem. Ale gdy tylko w minionym stuleciu udało się "zaaresztować" ponad czterysta kosmicznych maleństw, rojowisko podzielono na grupy. Planetoidy określa się niekiedy mianem asteroid - asteroidy jednak byłyby raczej odłamkami gwiazd, nawet greckie słowo asteroeides znaczy "podobny do gwiazdy". Planetoida natomiast jest maleńką planetą. Nie dajmy się jednak zwariować z powodu problemów językowych! Dzisiaj znane są już orbity ponad 2000 tych maleńkich planet, na tej podstawie obliczono ich średnice. Największa z nich, Ceres, ma 770 km średnicy, Pallas 452 km, Vesta 393, Psyche 323 km.. Są to więc niezłe kawałki skały, choć zdarzają się też karzełki o średnicy 1 km, a nawet maleństwa wielkości piłki futbolowej.

Hipotezy dotyczące powstania planetoid budzą wiele kontrowersji. Najpierw przypuszczano, że planetoidy są odłamkami meteorytów, które nie spłonęły do końca w trakcie przechodzenia przez atmosferę. Potem pojawiła się idea, że są to odpryski materii słonecznej, które na skutek zaburzeń

spowodowanych oddziaływaniami grawitacyjnymi Jowisza nie mogą się uformować w większą planetę. Myśl, że mogłoby chodzić o szczątki planety większej, wkrótce zarzucono. Astronomowie obliczyli mianowicie, że masa wszystkich planetoid nie wystarczyłaby na stworzenie prawdziwej planety. Przyjmuje się, że masa wszystkich planetoid wynosi od trzech do sześciu trylionów ton. W porównaniu [Trylion - milion x milion x milion, czyli 10¹⁸]

z masą Ziemi równą 5,9742 x 10²⁴ kg jest to w istocie za mało.

Ale zarzut ten opiera się na bardzo słabych podstawach. Bo planeta składa się nie tylko z materii stałej.

Skorupa ziemska jest bardzo cienka, pływa na rozżarzonej, płynnej skale, ponieważ w jądrze Ziemi panuje temperatura około 4000°C.

Dwie trzecie powierzchni Ziemi zajmują wody, podstawa kontynentów natomiast składa się z materiału o bardzo różnej gęstości. Gdyby doszło do eksplozji naszej dzielnej Błękitnej Planety, to odłamki szalejące po Układzie Słonecznym nie zdołałyby dzięki sile swej grawitacji przyciągnąć się i na powrót uformować w planetę. Większe odłamy mogłyby spaść na inne ciała niebieskie, a nawet wyjść z Układu Słonecznego. Profesor Harry O. Ruppe nie wyklucza, że planetoidy były kiedyś planetą, która "została zniszczona na skutek jakiejś katastrofy",

i uważa, że ta planeta "mogła być nawet dość duża", o ile po katastrofie "większa część jej materii opuściła Układ Słoneczny". [11]

Istnieje jeszcze jeden powód [12], który mógłby świadczyć o prawdziwości hipotezy mówiącej o eksplozji planety: planetoidy dysponują zbyt dużą energią własną! Gdyby planetoidy powstawały w trakcie miliardów lat z pyłu kosmicznego, albo gdyby były to odłamki meteoroidów, przybyłych do Układu Słonecznego z otchłani Kosmosu, to owe kilkaset tysięcy obiektów miałyby inne orbity niż obecnie. Poruszałyby się one znacznie wolniej i w końcu dostałyby się w strefę grawitacji Jowisza. Fakt, iż planetoidy dysponują energią własną, jest dowodem potwierdzającym hipotezę o eksplozji planety. Możliwe jednak jest również to, że "nastąpiła kolizja wielkiej komety z mniejszą planetą" [13]. Ale prawdopodobieństwo takiej kolizji jest tak niewielkie, że hipotezę tę można odrzucić. Nie podejmuje się już na jej temat poważniejszych dyskusji.

Apocalypse now!

Czy wobec tak oczywistych objawów bezradności nauki wolno nie uwzględnić możliwości, że Planeta X została być może zniszczona przez przedstawicieli inteligencji pozaziemskiej?

Nam, dzieciom końca XX wieku, wbija się codziennie do głowy, że możliwe jest już zniszczenie naszej planety, że nauka doprowadziła do powstania straszliwych rodzajów broni, które wojskowi trzymają in petto. Gdyby broni tych użyć, apokaliptyczny wybuch rozerwałby glob ziemski na kawałki.

Czyż nie odczuwamy obaw przed mającą kiedyś nastąpić nieuniknioną katastrofą, czy obawa ta nie obciąża naszego życia bezustanną troską, nie paraliżuje myśli o przyszłości? A może ów strach, jest nie tylko efektem działania środków masowego przekazu, może tkwi w nas samych jako atawistyczne wspomnienie zdarzenia z dalekiej przeszłości? A może te wspomnienia mają być ostrzeżeniem przed tym, co może nastąpić?

Czy ludzie nauczą się żyć nie zwracając uwagi na różnice poglądów?

Czy ideolodzy zdołają zrozumieć, że jednego światopoglądu, który ma zbawić ludzkość, nie można

przedkładać nad inny. Czy rewolucjoniści rozumieją, że każdy przewrót zawiera w sobie zarodek kolejnej rewolucji, bo dławi wolność ludzi myślących inaczej? Kiedy zrozumiemy, że każda wojna religijna jest jedną wojną za wiele? Czy stanie się wreszcie popularny pogląd, że w następnej wojnie nie będzie już zwycięzców - pozostawi ona po sobie niewielu żywych? "Muszę przyznać, że człowiekowi chodzi nie tyle o to, żeby przeżyć, czy żeby udało się przeżyć ludzkości, ile o zniszczenie przeciwnika" - twierdził u kresu swego życia angielski filozof Bertrand Russell (1872-1970).

Owa bezmyślność może doprowadzić ludzkość do przerażającej, ostatecznej katastrofy - do eksplozji naszego globu. Czy wówczas niewielkiej grupce ludzi mądrych i przewidujących uda się salwować ucieczką - być może na Marsa? Albo na jakieś inne "wielkie miejsce odpoczynku" we Wszechświecie? Czy w tysiące lat po straszliwej katastrofie potomkowie uciekinierów z Błękitnej Planety będą zadawać sobie pytanie, dlaczego tam, gdzie kiedyś była ich rodzinna Ziemia, krążą teraz planetoidy - następna grupa obok pozostałych po zniszczonej wybuchem Planecie X? Czy i wtedy ludzie będą mędrkować, jak powstał ów rój? Czy ktoś poważy się komentować oczywiste fakty albo czy historia powtórzy się - już poza Ziemią - w przestrzeni międzygwiazdnej?

Planetoidy zgrupowane między orbitami Marsa a Jowisza istnieją, ja zaś reprezentuję pogląd, że są to szczątki Planety X, która kiedyś obracała się wokół Słońca w ciągu 1898 dni ziemskich... i była planetą bogów. Ale można sobie też wyobrazić, że planetoidy były tam na długo przed przybyciem istot pozaziemskich do Układu Słonecznego. Może istniała planetoida na tyle duża, że istoty te wybrały ją na "wielkie miejsce odpoczynku" dla macierzystego statku kosmicznego i przedsięwzięły stamtąd wyprawę na Ziemię? Czy potem niebiańskie istoty pokłóciły się - wspomina o tym wiele przekazów - i zniszczyły przed odlotem swoją planetarną bazę wypadową? "Nie ma rzeczy tak cudownych, aby nie były prawdziwe" - mawiał już wielki Michał Faraday (1791-1867).

Profesor Papagiannis wskazuje na właściwy ślad

Od 27 września do 2 października 1982 roku odbywał się w Paryżu XXXIII Kongres Międzynarodowej Federacji Astronautycznej. Ogólnie szanowany prof. Papagiannis z uniwersytetu w Bostonie wygłosił tam sensacyjny wykład o "Konieczności zbadania planetoid" [14]. Uczony, który był przewodniczącym Kongresu, zaprezentował wów czas idee, które - powiem skromnie - mogły wyjść spod mojego pióra. Profesor Papagiannis stwierdził mianowicie, że w zasadzie istnieją dwie możliwości rozważania problemu rozprzestrzeniania się inteligencji we Wszechświecie:

- albo Galaktyka była kolonizowana i w proces ten włączono także

Układ Słoneczny. . .

- albo Układ Słoneczny nie był kolonizowany. Wówczas jednak nie byłaby również kolonizowana pozostała część Drogi Mlecznej, ponieważ nie istniała tam żadna cywilizacja na stopniu rozwoju tak wysokim, aby zapoczątkować ten proces. Znaczyłoby to, że

Ziemia jest jedynymi z niewielu reprezentantów - być może jedynymi reprezentantami inteligentnego życia we Wszechświecie. Oczywiście profesor przedstawił to resume dopiero po zademonstrowaniu na modelach matematycznych, ile czasu potrzebuje cywilizacja na dojście do stopnia rozwoju pozwalającego na rozprzestrzenianie się we Wszechświecie. Papagiannis wyjaśnił, że konsekwencją tej hipotezy jest sugestia, aby rozpocząć poszukiwania śladów istot pozaziemskich przede wszystkim w Układzie Słonecznym.

Ułatwiłoby to ogromnie poszukiwania innych cywilizacji galaktycznych - dotychczas na sygnały

radiowe nieznanymi formami inteligencji czekano nakierowawszy anteny na miliony różnych gwiazd, oddalonych niekiedy o setki lat świetlnych. Znacznie rozsądniej byłoby zrealizować postulat prof. Papagiannisa: śladów istot pozaziemskich należy szukać w granicach Układu Słonecznego. Właśnie o to walczę od dwudziestu pięciu lat.

Poszukiwania te muszą, jak twierdzi Papagiannis, objąć planetoidy, wielce prawdopodobne bowiem jest, że przedstawiciele cywilizacji pozaziemskiej zatrzymali się najpierw właśnie tam.

Dlaczego ?

W trakcie długiej podróży w przestrzeni międzygwiazdowej zużywa się bardzo wiele energii. Do jej uzupełnienia nie można wykorzystywać energii słonecznej, bo w otchłani Wszechświata jest ona nieskuteczna. W grę wchodzi tylko źródła energii, których podstawą są surowce naturalne. Żeby pozyskać uran, istoty pozaziemskie potrzebowały rudy uranowej. Nawet jeżeli macierzysty statek kosmiczny był napędzany silnikiem jądrowym, dla którego materiałami wyjściowymi były wodór i hel, to najpierw trzeba było uzyskać surowce, potem wydobyć z nich wodór i hel, a potem je odpowiednio zmodyfikować. W grupach planetoid znajdują się wszystkie surowce naturalne, można je tam pozyskać bez większego trudu. Żelazo i nikiel występują w formie czystej. Są tam również ogromne ilości lodu, zawierającego przecież wodór. Wiadomo też, że około 100% masy planetoidy Ceres stanowi woda. [15]

Profesor Papagiannis ma rację - cywilizacji podróżującej po Kosmosie opłacałoby się zrobić sobie bazę na jednej z planetoid.

Także kolejna hipoteza uznaje za możliwe, że na miejsce lądowania wybrano planetoidy. Obce istoty, które dotarły do Układu Słonecznego, nie wiedziały, czy gdzieś w pobliżu nie mieszkają istoty obdarzone inteligencją. Nadlatując zbadali, która z planet ma warunki pozwalające na przeżycie. Nie mogła na niej panować temperatura ani za wysoka (Mars), ani za niska (Jowisz). Najkorzystniejsze warunki oferowała im Ziemia. Wkrótce obce istoty odkryły, że nasza planeta jest potencjalnym nosicielem cywilizacji, nie wiedziały jednak, na jakim stopniu rozwoju znajduje się ta cywilizacja - czy przedstawiciele ziemskiej inteligencji mieszkają jeszcze w jaskiniach, czy dysponują już działami laserowymi i bombami wodorowymi - i czy przyjmą ich z całą serdecznością, czy może ogniem artyleryjskim. Aby się tego dowiedzieć, istoty pozaziemskie musiały w miarę niepostrzeżenie zbliżyć się do Ziemi. Gdzie jednak ukryły macierzysty statek kosmiczny i niewielką flotę lądowców? Wśród planetoid! Gdyby statek kosmiczny zakotwiczył po niewidocznej stronie którejś z nich, to nie byłoby go widać z Ziemi - nawet przez teleskopy - a niewielkie lądowce byłyby wśród tysięcy małych ciał niebieskich nie do odkrycia.

Kiedy zorientowano się, że mieszkańcy Ziemi są nieszkodliwi (z takiej perspektywy?) można już było spokojnie przystąpić do wydobywania surowców naturalnych. Pozyskawszy niezbędne zapasy nośników energii, istoty pozaziemskie były teraz gotowe pomóc w rozwoju mieszkańcom Ziemi - właśnie tak, jak zdarzyło się w zamierzchłych czasach. Mity z czcią sławią to zdumiewające wydarzenie. Profesor Papagiannis zakończył swój wykład apelem:

"Przyszłe pokolenia uznają nas za głupich, jeśli cywilizacji pozaziemskich będziemy nadal poszukiwać wśród odległych gwiazd, gdy odpowiedź można znaleźć tu, w Układzie Słonecznym." [14]

Nie milknące pytania

Czy poszukiwanie świadectw wizyt istot pozaziemskich ma jakikolwiek sens? Dlaczego

pozaziemskie cywilizacje na wysokim stopniu rozwoju miałyby w ogóle podróżować po Kosmosie? Oto kilka prawdopodobnych powodów - prawdopodobnych, bo mogą one stać się kiedyś naszymi problemami:

Eksploracja Kosmosu - Kolonizacja Kosmosu - Opanowanie Kosmosu przez istoty inteligentne - Ucieczka przed kosmiczną katastrofą - Walki na ojczystej planecie, które zmusiły pewną grupę jej mieszkańców do ucieczki w Kosmos - Przeludnienie planety

- Poszukiwanie boga i początku stworzenia - Odkrywanie rzadkich surowców naturalnych - Żądza przygód.

Wiadomo, że wiele takich pomysłów spełzło na niczym, bo niemożliwe było podjęcie podróży międzygwiazdnych.

Profesor M. Taube pracuje w Wyższej Szkole Technicznej w Zurychu - w trakcie jego wykładów audytorium zapełnia się do ostatniego miejsca. Profesor poddaje pod dyskusję interesujący model hipotetyczny [16]:

- statek kosmiczny leci z prędkością równą jednej dziesiątej prędkości światła, czyli 30 tys. km/s;

- po dotarciu do pierwszej planety dającej się skolonizować potomkowie astronautów mają 500 lat na uzupełnienie zapasów i przygotowanie nowego statku kosmicznego;

- proces ten odpowiada prędkości ekspansji równej 0,016 % prędkości światła;

- Droga Mleczna ma średnicę około 100 tys. lat świetlnych i obejmuje około 100 mld planet możliwych do zamieszkania (moim zdaniem jest to ocena bardzo optymistyczna!);

- dla skolonizowania całej Galaktyki byłby więc potrzebny czas:

$$\frac{100000 \text{ lat świetlnych}}{0,016 \text{ prędkości światła}} = 5 \times 10^6 \text{ lat};$$

- już po 5 mld lat wszystkie 100 mld planet byłoby zamieszkane. Profesor Taube uważa swoje wyliczenie za czysty model matematyczny pozbawiony wartości praktycznej, ponieważ nie widzi realnych możliwości zbudowania statków kosmicznych mogących poruszać się w przestrzeni międzygwiazdnej z prędkością równą jednej dziesiątej prędkości światła. Jestem innego zdania. Zbyt często w historii ludzkości najśmielsza fantazja zamieniała się w rzeczywistość, nawet jeżeli opierała się na założeniach czysto teoretycznych, jakie stosuje w swoich wyliczeniach profesor Taube. "W sprawach tego świata nie wolno opierać się wyłącznie na teraźniejszości. To, co jest, znaczy bardzo niewiele - to, co będzie, często bardzo wiele" - powtarzam z nadzieją za Talleyrandem.

We wszystkich krajach i we wszystkich językach pytano mnie, jakie korzyści przyniesie nam potwierdzenie słuszności moich teorii. Co nam to da, jeżeli się udowodni, że istoty pozaziemskie odwiedziły Ziemię przed tysiącami lat? Czy wiedza ta zmieni nasze codzienne problemy? Czy staniemy się od tego mądrzejsi? Czy dzięki temu będzie można nakarmić głodujących w krajach biednych? Czy ta wiedza zapewni ludzkości wieczny pokój? Czy w ogóle warto wiedzieć, że między orbitami Marsa a Jowisza krążyła kiedyś wokół Słońca Planeta X, zniszczona potem przez eksplozję? Kogo obchodzi, czy Majowie wymyślili swój kalendarz sami, czy przekazały go im istoty pozaziemskie? Czy naprawdę nie mamy na Ziemi problemów ważniejszych niż sięganie do gwiazd?

"Czym jest człowiek?" - pytał astronom Wilhelm Rabe (1893-1958) i dawał odpowiedź: "W każdym razie nie tym, za co się uważa - koroną stworzenia". Wysiłku badaczy jest przecież warte już samo przeprowadzenie dowodu, że człowiek nie jest jedyną inteligentną formą życia we Wszechświecie - pozbawiłoby to może wreszcie podstaw jego niepokromioną dumę, zrelatywizowałoby jego wartość we własnych oczach. Poza tym ludziom nigdy w przeszłości nie udało się rozwiązać starych problemów, zanim nie zaczęli prowadzić nowych badań na danym polu, bo tylko dzięki efektom nowych badań można się było wreszcie uporać ze starymi problemami.

Dopiero odkrycie i udoskonalenie skutecznych lekarstw uwolniło ludzkość od epidemii i chorób - takich jak ospa, cholera, żółta febra, malaria i gruźlica. Dopiero fizyka i nowoczesna technika obdarzyły nas energią elektryczną, bez której wprawdzie ludność świata zwiększałaby się tak samo gwałtownie jak teraz, ale znacznie więcej ludzi umierałoby z głodu. Na Ziemi kończą się znane złoża surowców, lecz satelity badawcze już wyroiły się na niebie i przekazują informacje o nie odkrytych dotąd pradawnych bogactwach naturalnych w nie zamieszkanym rejonach kuli ziemskiej. "Każde pokolenie ma do pokonania swój dzienny odcinek drogi postępu. Pokolenie, które na zdobytym już terenie zaczyna się cofać, podwaja dystans, jaki będą musieli pokonać jego potomkowie" - powiadał David Lloyd George (1863-1945).

Cóż nam da udowodnienie faktu, że "bogowie" z Wszechświata przebywali kiedyś na Ziemi?

Czy więcej niż odkrycie życia w niezmiernych otchłaniach Galaktyki? Bo dopiero kiedy się dowiemy - nie tylko będziemy w to wierzyć - że nie jesteśmy sami we Wszechświecie, otworzą się przed nami zupełnie nowe światy fascynujących możliwości badawczych. Ewolucja i filozofia, technika i religia zyskają nowe wymiary - wszystkie zaś dziedziny sztuki będą poddane nowym impulsom. Przed piętnastu laty napisałem we Wspomnieniach z przyszłości:

"Skoro tylko stojąca do dyspozycji władza, siła i inteligencja włączone zostaną do badań przestrzeni kosmicznej, bezsens wojen na ziemi stanie się przekonywająco zrozumiały. Gdy ludzie wszystkich ras, narodów i państw połączą się w celu realizacji technicznie już możliwych do przeprowadzenia lotów do odległych planet, wtedy

Ziemia wraz ze wszystkimi swoimi mini-problemami znajdzie się w takiej skali, jak jest prawidłowa w stosunku do zjawisk w Kosmosie. [...] Sprzedawany znakomicie przez tysiące lat nonsens nie będzie

przedstawiał żadnej wartości. A gdy wszechświat otworzy nam swoje bramy, udamy się w drogę lepszej przyszłości." [17]

Nadal reprezentuję ten pogląd, ale chciałbym uzupełnić swoje oświadczenie:

Badania prowadzone przez paleoastronautykę, poszukiwanie dowodów na pobyt "bogów" na Ziemi, co robię jako jeden z wielu, wywierają ustawiczny wpływ na nasz sposób myślenia - jest to wpływ o wiele silniejszy niż naukowe przypuszczenia, że gdzieś we Wszechświecie może istnieć "życie". My stosujemy dowód nie wprost: Jeżeli udowodnimy, że "oni" tu byli, to bezsprzeczne będzie również, że istoty pozaziemskie istnieją. Nasuwają się jednak kolejne pytania: Jakie ślady pozostawili po sobie przybysze z Kosmosu? Czy kiedyś powrócą? Jeśli tak, to kiedy? Czy jesteśmy do tego odpowiednio przygotowani? Jakie wnioski moglibyśmy wyciągnąć z tych faktów?

Z ankiety przeprowadzonej w kwietniu 1983 roku w angielskich szkołach podstawowych wynikało, że "duża liczba" dziewcząt i chłopców jest pod wrażeniem naszych, moich pytań. Nie podzielam przy tym bynajmniej zdania niektórych dzieci, że Jezus był astronautą, wypowiedzi te jednak świadczą o tym, że młodzież nie chce już zgadzać się bezwarunkowo, "ślepo", z dotychczasową formą wyobrażeń religijnych. [18]

Temat mojego życia, paleoastronautyka, nie ma nic wspólnego z religią. Nie jestem ani guru, ani prorokiem, niczego nie obiecuję: ani szczęśliwości w życiu pozagrobowym, ani odpuszczenia grzechów w życiu doczesnym. Reprezentuję i bronię tylko hipotezy, o której słuszności jestem przekonany.

Angielskie czasopismo "New Scientist" zaszczyliło mnie atakiem drukując artykuł "Stulecie (i nie tylko) pseudonauki" [19]. Autor wzywa naukowców, żeby przestali milczeć i wyzwali pana von Danikena na ring. Cieszę się już na samą myśl o takim pojedynku. Na razie jednak odpowiem autorowi sentencją jednego z jego wielkich rodaków, Winstona Churchilla: "Jednym z najmiłszych doświadczeń w życiu jest być celem nie będąc trafionym."

V. Kiedy ogień spadł z nieba

Najniebezpieczniejszy światopogląd mają ludzie, którzy nigdy
nie przyglądali się światu.

Aleksander von Humboldt (1769-1859)

Profesor astrofizyki Heinz Haber, wydawca pisma "Bild der Wissenschaft", powiedział mi kiedyś w rozmowie: "Nie potrzeba nam pańskich bogów!"

Tak zwanej nauce empirycznej rzeczywiście udało się bogów skasować wtlaczając ich razem z wielkimi, świętymi legendami do okultystycznego lamusa, gdzie mogą się nimi bawić psychiatry i psychoanalicy. Z naukowości tego rodzaju zadrwił Erwin Chargaff, profesor biochemii i dyrektor Instytutu Biochemii Uniwersytetu Columbia:

"Poza tym naukowcy dostarczają nam wprawdzie mnóstwa informacji, lecz bardzo mało prawdy. [...] Tymczasem coraz powszechniejsze stało się przekonanie, że jedyną rzeczą, jakiej uczy nas historia, jest to, że na jej podstawie nie można się niczego nauczyć (ale by to powiedzieć, trzeba było tysiący stron)." [1]

Od chwili, gdy na podstawie poszlak podjąłem pierwsze próby ugruntowania mojej teorii, a było to przeszło 25 lat temu, wiem, jak bardzo potrzebni są nam - a nawet nauce - bogowie: żeby odnaleźć nieznanne dotychczas missing link, brakujące ogniwo w rozwoju ludzkości. Stało się to dla mnie zupełnie jasne dopiero ostatnio, kiedy dla potrzeb tej książki przedzierałem się przez papierową górę prac naukowych o rękopisach Majów i Azteków, przez zachowane kodeksy i wspaniałe odkrycia archeologiczne i etnograficzne czcigodnych amerykańistów. Nie muszę chyba mówić, co o tym wszystkim sądzę - zacytuję tylko jeszcze raz profesora Chargaffa: "Piszą wyłącznie dla takich jak oni, a na takich jak oni nikt nie zwraca już uwagi. Tak więc człowiekowi pozostaje tylko własna głowa, choćby nie wiem jak słaba." [1]

Nauka wyspecjalizowała się do tego stopnia, a jej przedstawiciele stali się tak elitarną grupą, że świętokradztwem jest - lub działa to jak dynamit - wspomnienie w dyskusji dawnych bogów. Oczywiście brakuje w tej dziedzinie specjalistów, "bogologów", ci zaś, którzy mogliby i musieliby zająć się tą hipotezą - czyli archeolodzy i etnografowie - wolą trwać zamknięci w swoim kręgu. Tam, w wypróbowanym gronie, mogą wzajemnie potwierdzać swoje "prawdy", powoływać się na siebie nawzajem w przypisach - przemieszczając się ruchem konika szachowego z jednego psychologicznego wyjaśnienia w drugie, a wykręcając co chwila sałto mortale wątpliwej logiki mogą pleść wspaniałe wieńce z wawrzynu i kłaść je sobie na myślących czółkach. Obywatelskim obowiązkiem jest wdrzeć się w tenjałowy krwioobieg, otworzyć okna, przewietrzyć

zatechłą atmosferę!

W trakcie tych wiosennych porządków i wprowadzania nowego sposobu myślenia nie chodzi o dezawuowanie informacji gromadzonych przez fachowców od ponad stu lat bądź o pomniejszanie ogromnych osiągnięć archeologii, czy bagatelizowanie trudu wybitnych uczonych zajmujących się odczytywaniem rękopisów Majów. Nie chodzi też o to, aby napisać na nowo historię ludów Ameryki Środkowej - lecz o to, aby przy niektórych wnioskach, jakie wyciągnięto opierając się na tysiącach informacji, postawić znaki zapytania.

Nieporozumienia w dochodzeniu do prawdy

Podania Azteków i Majów - najpotężniejszych kiedyś ludów Meksyku - mówią niedwuznacznie o bogach ich przodków, o bogach, którzy po przybyciu na Ziemię działali jako nauczyciele. Podania te opisują, że z nieba spadł ogień i że wielki potop o mały włos nie unicestwił rodzaju ludzkiego.

Najistotniejsze z tych przekazów przetrwały żądę niszczenia, jaką pałali chrześcijańscy misjonarze, powstały bowiem albo w trakcie, albo po hiszpańskich podbojach. Są to:

- Popol Vuh, święta księga Majów-Quiche. Spisana około roku 1530 w języku Majów-Quiche grafą łacińską.
- Ksiggi Chilam Balam zawierające mity i kroniki historyczne. Spisane w XVI wieku w języku Majów grafą łacińską.
- Staroamerykańskie rękopisy obrazkowe.
- Dokumenty kronikarzy hiszpańskich, którzy byli naocznymi świadkami podboju Majów i Azteków.

Źródła te liczą sobie w najlepszym razie 450 lat. Trzeba więc zadać pytanie, czy tak "młode" księgi mogą zawierać informacje na temat wizyt istot pozaziemskich na naszym globie, które - jeśli w ogóle! - przybyły tu przed tysiącami lat, nie zaś w XVI wieku?

Znam muzułmanów, którzy potrafią wyrecytować z pamięci, sura po surze, cały Koran. Spotkałem również chrześcijan, którzy mają w głowie cały Nowy Testament, oraz żydów, którzy na zawołanie wywołują z pamięci Pentateuch, czyli pięć pierwszych ksiąg Starego Testamentu.

Nawet jeśli nie na pamięć, nie słowo w słowo, to przecież wielu wiernych zna podstawowe treści wyznawanej przez siebie religii. Gdyby w trakcie jakiejś straszliwej wojny wszystkie egzemplarze Biblu na świecie zamieniły się w popiół, to zapewne przeżyłoby paru kapłanów, misjonarzy i ludzi pobożnych - Pismo Święte zmartwychwstałoby wówczas i zostało spisane wprost z ich pamięci, powstałyby nowe-stare Biblie

- podobnie jak to się działo od dwóch tysięcy lat z kopiami pierwotnych tekstów, z których żaden nie jest już dziś tekstem naprawdę pierwotnym. To samo zdarzyło się w XVI wieku w Ameryce Środkowej. Kapłani i wodzowie plemion gromadzili podania i legendy z czasów, kiedy ich lud odwiedziła bogowie. Nowy był tylko papier, na którym pisano - same informacje jednak mogły liczyć tysiące lat.

Indianie nawracali się na wiarę chrześcijańską tylko z pozoru, bo obawiali się o własne życie. Jeszcze przez wiele pokoleń byli przywiązani do dawnych wierzeń. Opowiadanie legend ułatwiało im egzystencję i uspokajało sumienie. Jeszcze po dziś dzień ich myśli i serce należą do dawnej wiary. Pisze o tym Wolfgang Cordan, specjalista w dziedzinie maistyki i tłumacz Popol Iuh:

"Do dziś nie zostali zhispanizowani. Uparcie zachowywali własne stroje, organizację plemienną, język. Ich katolicyzm nie jest wart złamanego szeląga. W leżącym w górzystych

rejonach Gwatemali mieście Chichicastenango kościoły przeobrazili na powrót w miejsca pogańskich obrządków, a w każdą niedzielę Majowie-Quiche urządzają na pobliskim wzgórzu ofarę całopalną ku czci boga płodności Alx'Ik." [2]

Opisy hiszpańskich naocznych świadków w bardzo niewielkim stopniu pozwalają zrozumieć mitologię i świat wierzeń podbitych ludów, są to bowiem przede wszystkim "dokumenty sporządzone dla publiczności hiszpańskiej" [3] - przykładem takich relacji mogą być cztery długie cartas (listy), jakie napisał Cortes między rokiem 1519 a 1525 do cesarza Karola V. [4] W listach tych przedstawiał wszystko z własnego punktu widzenia, i mało obchodziło go "pogaństwo dzikich". Treść ksiąg indiańskich jest bardziej miarodajna.

Pisma z okresu jutrzeźki ludzkości

Leżą przede mną trzy przekłady Popol Vuh. Najstarszy wyszedł w 1861 r. spod pióra abbe Brasseur de Bourbourg [5], kolejna wersja ukazała się w roku 1944 [6], trzecia zaś w 1962 [7]. Popol liuh zawiera najstarsze legendy Majów-Quiche - można powiedzieć, że jest to jakby Stary Testament tego plemienia. Wersja oryginalna przepadła bez śladu. Profesor Schultze-Jena napisał:

"Można tylko przypuszczać, że jakiś utalentowany Indianin z Cumarcaah-Utatlan, ochrzczony imieniem Diego Reynoso i wyuczony w czytaniu i w pisaniu przez późniejszego biskupa Marroquina, o władnięty głęboko zakorzenioną i z dawien dawna pielęgnowaną skłonnością swojej rasy do zachowywania spuścizny ojców, około 1530 roku jako pierwszy przeniósł w swoim języku ojczystym [...] na papier legendy Majów-Quiche." [6]

Rękopis ten, przechowywany trwoźliwie w ukryciu, odnalazł dominikanin Francisco Ximenez dopiero z początkiem XVIII wieku u Indian z Chichicastenango, którzy - jak twierdzi Wolfgang Cordan - do dziś hołdują starym pogańskim zwyczajom. Legendę Majów-Quiche, przetłumaczoną na hiszpański przez Ximeneza, wyszperał przebiegły abbe Brasseur w Bibliotece Uniwersyteckiej w Madrycie.

Na najstarszą wersję Popol liuh składa się 56 stron formatu 16 x 26 cm. Strony zostały zapisane dwustronnie - po lewej znajduje się tekst oryginalny, po prawej hiszpańskie tłumaczenie. To jest właśnie utwór, o którym Cordan mówi: "Ksigga Rady - Popol liuh należy do najwspanialszych zabytków piśmiennictwa z okresu jutrzeźki ludzkości". [7]

Tłumaczenia Popol Vuh różnią się między sobą, zależnie od akcentów, jakie kładli w tekście kolejni tłumacze - zależało to zarówno od czasów, w jakich żyli, jak i od ich wykształcenia. Jeżeli na przykład w tekście była mowa o krzyżu, zakonnicy rozumieli to oczywiście jako Chrystusowy Krzyż na Golgocie - choć dla Majów krzyż był symbolem Wszechświata. Jeżeli w tekście pojawiają się młodzieńcy zdążający ku Plejadom, to dzisiejsi etnografowie od razu robią z tego fragmentu kawałek mitologii. I wcale im nie przeszkadza, że pojęcie mitu stanowiło dla Majów chińszczyznę! Księgi te były dla nich przecież tak samo prawdziwe i szczerze we wszystkim, co przekazywały, jak Ewangelia dla chrześcijan.

Teraz musimy dźwigać ten krzyż: każdy przekład nosi piętno nadane mu - oczywiście w najlepszej wierze - przez tłumacza interpretującego pojęcia stosowane przez Majów zgodnie z duchem swojej epoki.

Popol Vuh zaczyna się następującym stwierdzeniem:
[Wszystkie cytaty z Popo! Vuh zaczerpnięto z: Popol Vuh. Księga Rady narodu Quiche, przełożyli Halina Czarnocka i Carlos Marrodan Casas, opracowała i wstępem opatrzyła Elżbieta

Siarkiewicz, Warszawa 1980.]

"Oto początek starodawnych dziejów miejsca zwanego Quiche. Tu opiszemy i rozpoczniemy starodawne opowieści, początek i pochodzenie wszystkiego, co dokonane zostało w mieście Quiche przez plemiona narodu Quiche. I tu ukážemy, ogłosimy i opowiemy to, co było ukryte, a co odkryli Tzacol, Bitol, Alom, Quaholom, którzy zwą się Hunahpu-Vuh, Hunalpń-Utiu, Zaqui-Nima-Tziis, Tepeu Gucumatz, U Qux Cho, U Qux Paló, Ah Raxa Lac, Ah Raxa Tzei, tak nazywani. I przytoczymy też słowa, wspólną opowieść o Babce i Dziadku, których imiona brzmią Ixpiyacoc i Ixmucane [...]." Nieco dalej nieznany indiański autor nadmienia, że tekst spisano dopiero za czasów chrześcijaństwa - można więc odnieść wrażenie, iż autor układał historię swojego ludu w ukryciu, obawiając się zdemaskowania i dlatego zabezpieczał swoje teksty - o ile było to w ogóle możliwe wobec tak odmiennego sposobu myślenia Hiszpanów - dostosowując je w miarę możliwości do nauk chrześcijańskich. Mimo tych ustępstw potwierdza jednak, że jego wersja Popol Iuh wywodzi się z pradawnego, tajemnego dzieła:

"Istniała kiedyś pierwsza księga, napisana w dawnych czasach, ale oblicze jej zakryte jest przed badaczem i myślicielem. Wspaniały był to opis i opowieść o tym, jak zakończyło się tworzenie całego nieba i ziemi [...]"

Poetyckim zdaniem, że najpierw "wszystko znajdowało się w zawieszeniu, w spokoju, w ciszy", autor nawiązuje do genezy, do historii powstania swojego ludu. Mówi, że nie było wówczas ani ludzi, ani zwierząt, ani roślin, ani skał - "jedno tylko niebo istniało", a wszystko było pogrążone "w ciemnościach, w nocy", bo nie świeciło wówczas jeszcze słońce.

Abbe Brasseur, który, jak wiemy, nauczył się języka Majów, rozmawiał z Indianami owej epoki i miał dostęp do jeszcze starszej wersji Popol Vuh, niezwykle precyzyjnie opisuje, w jaki sposób bogowie wyłonili się z ciemności:

"Obserwowano ich przybycie, ale nie rozumiano, skąd przychodzą. Można powiedzieć, że w tajemniczy sposób wyłonili się z morza albo, podobni bogom z mitów greckich, zstąpili z nieba." [5]

Tego, co dodaje w formie wyjaśnienia, często w przypisach, dowiedział się Brasseur od samych Majów - są to więc komentarze do pierwotnego źródła Otrzymane z pierwszej ręki. Jeżeli po lekturze przekładu człowiek odniesie wrażenie, że według Majów życie wyszło z morza - to będzie to niejako antycypacja najnowszych hipotez dotyczących powstania życia - Brasseur potrafi to skomentować opierając się na informacjach, które sam zdobył:

"Nie było jeszcze człowieka ni zwierzęcia, ptaków, ryb, krabów, drzew, kamieni, pieczar, wąwozów, ziół ani lasów - jedno tylko niebo istniało. Nie pokazało się jeszcze oblicze ziemi."

Czy pod pojęciem morze rozumiano ów prabulion czy prazupę, w której pod wpływem sił pozaziemskich powstało życie? Byłoby to zgodne ze współczesnymi nam poglądami, lecz w takim razie wszystkich interpretatorów mitów trzeba by odesłać po naukę do teoretyków ewolucji! Coraz więcej wybitnych przyrodznawców - na czele z sir Fredem Hoylem, który zdobył światową sławę dzięki badaniom w dziedzinie astronomii - reprezentuje pogląd, że powstanie życia w prazupie nie było sprawą przypadku, lecz że jego struktura biologiczna została przeobrażona pod wpływem genów pochodzących z Kosmosu. Francis

Crick - laureat Nagrody Nobla z 1962 roku, którą otrzymał za odkrycie DNA, materialnego nośnika informacji genetycznych - zdziwił (przestraszył?) kręgi fachowców przedstawieniem teorii sterowanej panspermy, wedle której nieznana cywilizacja na wysokim stopniu rozwoju wysłała na Ziemię przed miliardami lat w głowicy bezzałogowego statku kosmicznego mikroorganizmy, które

miały się rozmnożyć w pramorzu.

Problemy z identyfikacją

W ciemnościach "nic się nie poruszało ani nie przesuwało, ani nie wydawało dźwięku na niebie", w morzu ciszy i czerni poruszali się tylko stwórcy schowani "pod piórami zielonymi i błękitnymi". "Tylko

Stwórca, Twórca, Tepeu, Gucumatz, Rodzice znajdowali się w wodzie otoczeni jasnością."

Imię dwoistej postaci Tepeu Gucumatz to tylko inna wersja imienia Kukulcan, której używano na Jukatanie, tożsama z wersją imienia azteckiego księcia-kapłana Quetzalcoatl, wypędzonego z Tollan, a czczony jak boga. Pomijając to niektórzy specjaliści wywodzą błękitny kolor jego odzienia od barwnych piór ptaka quetzala. Abbe Brasseur wyjaśnia w swoim przekładzie: "Słowo rax zarówno w języku quiche, jak i cakchiquel stosowano na oznaczenie koloru błękitnego i zielonego."

[Cakchiquelowie - lud z Gwatemali należący do grupy Majów]

Nieważne, czy były błękitne, czy zielone - piór quetzala nie można było pomylić z błękitnym ubraniem, bo w okresie stworzenia ptaków jeszcze nie było. Kronikarz Majów wymienia kolorowe pióra po to, żeby z kojarzącym się natychmiast ptakiem quetzalem dać wyobrażenie o barwach ubrań, jakie mieli na sobie nieznanymi przybysze, kiedy bardzo dawno temu wyłonili się z ciemności.

W błękitnych ubraniach przybyli z niemej czerni Wszechświata. Nic nowego. Niezliczone mity, na przykład z wysp mórz południowych, choćby z Kiribati, twierdzą zgodnie, że owe istoty nie były ani zwierzętami, ani szamanami - czyli osobami kultowymi, które próbują nawiązywać kontakty z duchami bądź duszami zmarłych - nawet jeśli ich zdolności porównywano ze zdolnościami zwierząt.

Nie, w tym przypadku chodzi o "mędrców, wielkich myślicieli" których określano mianem "Serca Nieba". Brasseur twierdzi w swoim przekładzie wyraźnie, że trzech prabogowie, których "nazywano piorunem, błyskawicą i prędkością", zstąpili z nieba razem z bogiem o dwoistej postaci Tepeu Gucumatzem.

W tym miejscu muszę prędko zająć stanowisko wobec inwektyw, jakimi obrzucili mnie etnografowie, a nawet - jakie to koleżeńskie - psychologowie. Miałem bowiem niegdyś czelność zinterpretować

"piorun" i "błyskawicę" nie tak, jak dopuszcza to przynajmniej kanon uniwersyteckich katedr. Twierdzą one mianowicie, że są to zjawiska na wskroś naturalne, a ludzie prymitywni, nie potrafiący zrozumieć przyczyn tajemniczych grzmotów i błysków z nieba, nadawali im znamiona boskości.

Nie trzeba mnie przekonywać, że religie przyrody istnieją. Odważę się jednak zadać następujące pytanie: Czy zjawiska przyrody potrafią mówić? A to zdarza się w starych legendach. Czy nadają prawa, uczą ludzi? Co za zjawisko przyrody dało Mojżeszowi dziesięcioro przykazań? Czy to grzmoty i błyskawice podyktowały prorokowi Henochowi całe fragmenty jego fenomenalnej księgi astronomicznej? Czy pradawni Majowie zwracali się do zjawisk przyrody, kiedy określali je mianem "mędrców, wielkich myślicieli"? Czy to błyskawica, piorun i prędkość postanowiły niegdyś w trakcie tajemnej narady stworzyć pierwszego człowieka?

Można jeszcze zrozumieć, że interpretatorom minionych generacji nie przyszło na myśl inne wyjaśnienie tych faktów - niestety ich opinie przedostały się do czasopism fachowych i utrudniły adeptom nauki spojrzenie z nowej perspektywy. Czuję się, jak gdyby próbowano mi wygładzić zwoje kory mózgowej, kiedy pod koniec naszego stulecia, z pozoru tak nowoczesnego, postępuje się nadal tak, jakby na wyjaśnienie sensu mitów o stworzeniu nie istniały rozsądniejsze metody niż wymyślanie

"religii przyrody". Upieranie się przy takiej interpretacji jest tylko wynikiem obaw, że włączenie do akademickiego modelu świata tezy o wizycie istot pozaziemskich na Ziemi doprowadzi do zawalenia całego gmach nauki. "Przyznać się do pomyłki to przecież nic innego, jak przyznać się, że dziś jest się mądrzejszym niż wczoraj" - stwierdził kiedyś nie bez racji Johann Caspar Lavater (1742-1801). Jaśnie oświeceni panowie naukowcy nie będą musieli się wstydić, jeśli porzucą w końcu swój przestarzały i niespójny obraz świata.

Zadziwiający eksperymenty

Po kilku nieudanych eksperymentach bogom z Popol Iluh udało się stworzyć człowieka, który oczywiście miał jeszcze bardzo niewiele wspólnego z naszym wyobrażeniem o Homo sapiens. Przekaz świadczy o tym, że w eksperymentach, w których chodziło o stworzenie pierwszego człowieka, na pewno nie stosowano ziemskiego aktu zapłodnienia:

"Oto imiona pierwszych ludzi, którzy zostali stworzeni i utworzeni:

pierwszym człowiekiem był Balam-Quitze, drugim Balam-Acab, trzecim Mahucutah i czwartym Iqui-Balam. Takie są imiona naszych pierwszych matek i ojców. Mówi się, że oni zostali tylko stworzeni i utworzeni, nie mieli matki, nie mieli ojca. Nazywano ich tylko mężami. Nie zrodzili się z kobiety, nie zostali spłodzeni przez Stwórcę i Twórcę, przez Rodziców. Jedynie mocą nadprzyrodzoną, za sprawą czarów, zostali stworzeni i utworzeni przez Stwórcę i Twórcę,

Rodziców Tepeu i Gucumatza."

Jak w większości relacji o stworzeniu także w tej legendzie do aktu powstania rodzaju ludzkiego mieszają się bogowie. Ale produkt stworzenia był zbyt udany - mógł się stać w końcu niebezpieczny dla stwórców:

"Zostali obdarzeni rozumem; spojrzeli i natychmiast wzrok ich sięgnął daleko, zdołali ujrzeć, zdołali poznać wszystko, co istnieje na świecie. Kiedy patrzyli, w jednej chwili widzieli wszystko, co ich otaczało, i oglądali wokół siebie sklepienie niebieskie i okrągłe oblicze ziemi. Widzieli wszystkie rzeczy zakryte [odległością], bez potrzeby ruszania się z miejsca; natychmiast widzieli świat i jednakowo dobrze z miejsca, gdzie się znajdowali, widzieli go."

To, że wytwory mogły stać się równe stwórcom, a nawet od nich mądrzejsze, nie podobało się "Rodzicom", prędko więc ograniczyli nadzwyczajne możliwości swoich tworów:

"Wówczas Serce Nieba cisnął im oparem w oczy, które zamglily się jak powierzchnia lustra, gdy na nie chuchnął. Oczy ich zaćmiły się i mogli widzieć jedynie to, co było blisko, tylko to było dla nich jasne.

W taki oto sposób zostały zniszczone mądrość i wszelka wiedza owych czterech ludzi, którzy są źródłem i początkiem [rasy quiche].

Tak zostali stworzeni i utworzeni nasi dziadkowie, nasi ojcowie, za sprawą Serca Nieba, Serca Ziemi."

Mojej hipotezy dotyczącej powstania Homo sapiens nie da się sformułować krócej: "Z Serca Nieba, z Serca Ziemi" - były to bowiem hybrydy o ziemskiej materii ciała i pozaziemskim rozumie.

W Popol Vuh można znaleźć zadziwiający dowód:

"Byli tam wówczas w wielkiej ilości ludzie czarni i ludzie biali, ludzie różnych ras, ludzie różnych języków, które wprawiały w zdziwienie, gdy się ich słuchało."

W innym przekładzie tekst ten brzmi bardzo podobnie:

"I żyli tamże w błogości ludzie o ciemnej i jasnej barwie skóry. Przyjemnie wyglądali owi ludzie, przyjemny był ich język, uważne ich ucho." [6]

Ten fragment jest znamieny przede wszystkim dlatego, że praprzodkowie Majów nie mogli mieć pojęcia o istnieniu ludzi białej i czarnej barwy skóry. Ameryki Środkowej jeszcze nie odkryto, kiedy powstawała księga Popol Vuh!

Godną uwagi jest też informacja, że na początku wszyscy mówili jednym językiem, zanim - jak w Biblii podczas budowy Wieży Babel

- zaczęto mówić "różnymi językami". Jaki język mógł być początkowo wspólnym językiem wszystkich ludzi? Przed pojawieniem się istot pozaziemskich życie hominidów było tępą wegetacją. Dopiero po zastosowaniu świadomej, sztucznej mutacji hominidy uzyskały umiejętność uczenia się, pierwszym zaś językiem, jakim mówiły wszystkie narody, był język "bogów".

Ślady pobytu

Podobnie jak inne mity religijne, również Popol Iiuh informuje o wybrańcach, którzy zniknęli w niebie. To samo, co w Biblii przytrafiło się Henochowi i Eliaszowi, przeżyli również w prastarym świecie Majów niektórzy wybrańcy:

"W ten więc sposób pożegnali się i natychmiast zniknęli tam, na szczycie góry Hacawitz. Nie zostali pogrzebani przez swoje żony ani przez swych synów, gdyż nie widziano, w co się przemienili, gdy zniknęli."

"Zniknęli" - co wcale nie znaczy, że wynieśli się cichaczem, pozostawili bowiem po sobie bardzo dziwne ślady - przypomnienie dla tych, co będą żyli w przyszłych tysiącach, ostrzeżenie przed mianą wielkości, że ludzie są koroną stworzenia, i żeby nie sądziли, iż nie ma od nich nic wspanialszego:

"[...] Potem pozostawił Balam-Quitze znak swego istnienia: - To będzie pamiątka, którą wam zostawiam. To będzie wasza potęga.

Żegnam się pełen smutku - dodał. Wtedy zostawił znak swego istnienia, Pizom-Gagał, tak nazywany, którego zawartość była niewidoczna, była bowiem zawinięta i nie mogła zostać rozwinięta; nie można było dostrzec szwu, gdyż nikt nie widział, kiedy została zawinięta."

Cóż jednak znajdowało się w pakunku zwanym Pizom-Gagał?

Wolfgang Cordan [7] twierdzi, że określenie to w języku quiche znaczyło "Nikt nie wiedział, co to jest". Opierając się na temacie tego wyrazu Cordan wysuwa przypuszczenie, że chodziło zapewne o jakiś szczególny kamień, który Majowie czcili i którego się zarazem obawiali. Nikt przecież nie będzie się bał zwykłych kamieni. Dlaczego bano się właśnie tego?

Mimo woli przychodzi mi na myśl Kaaba, świętość mahometan znajdująca się w Mekce - wyznaczonej przez proroka Mahometa na cel pielgrzymek. W południowo-wschodnim kącie pustego pomieszczenia pozbawionego okien znajduje się ów Czarny Kamień - obiekt czci, dotykany i całowany przez pielgrzymów. Podobno przyniósł go niegdyś na Ziemię archanioł Gabriel. Również Arkę Przymierza uważam za ślad pobytu istot pozaziemskich na naszym globie, co próbowałem udowodnić śledząc dokładnie losy tej relikwii na podstawie wszystkich zachowanych dokumentów.

[9] Przez analogię przychodzi mi na myśl tajemnicze metalowe zwierciadło, które królowa słońca Amaterasu przesłała w roku 660 prz. Chr. legendarnemu założycielowi cesarstwa japońskiego, Jimmu Tenno. Podobnie jak mahometanie do Mekki, tak samo miliony Japończyków pielgrzymują do miasta Ise na wyspie Honsiu, gdzie w Naiku, najświętszym miejscu świątyni, oddają cześć Świętemu

Zwierciadłu, uważanemu za najdroższy klejnot cesarstwa.

Zwierciadło jest owinięte troskliwie wieloma warstwami materii i nikt z żyjących nie powążył się po dziś dzień otworzyć tego cudownego pakunku.

Moi krytycy żądają uparcie, abym przedstawił niezbite dowody, które uzasadniłyby w ich oczach moje hipotezy. O ile to mogę jeszcze zrozumieć, o tyle zupełnie nie potrafię pojąć, dlaczego w naszym tak oświeconym stu?eciui nadal nie można zbadać Czarnego Kamienia z Mekki, Świętego Zwierciadła z Ise oraz pozostałości po Arce

Przymierza (znajdujących się prawie na pewno w podziemiach Bazyliki Najświętszej Maru Panny w Aksum w Etiopii). Wszystkie te przedmioty muszą mieć jakieś zadziwiające pozaziemskie cechy, inaczej nie przyciągałyby ludzi od ponad 2500 lat (Japonia!).

Czy religie strzegą klucza do zrozumienia historii Ziemi? A może go ukrywają? Już czas, aby nie raniąc niczyich uczuć religijnych poddać badaniom wymienione - i jeszcze kilka innych - tajemnicze przedmioty. Na razie pocieszam się słowami Giovanniego Guareschi'ego (1908-1968) autora Don Camilla i Peppony, który napisał: "Krytyk to kura, która gładzi, gdy inne znoszą jaja!"

Kroniki i księgi prorocze

Już mówiłem, że do trzech grup źródeł, które cudem przetrwały żądę niszczenia, jaką pałał biskup Diego de Landa, należą między innymi Ksiggi Chilam Balam, w których zebrano i spisano grafia łącińską w języku dawnych mieszkańców Jukatany, tak zwanym mayathan, przekazy historyczne i proroctwa.

"Chilam" znaczy "prorok", "wieszcz" albo "tłumacz bogów".

"Balam" znaczy "jaguar". Istnieje 17 Ksiąg Chilam Balam. Odróżnia się je od siebie opatrując nazwą miejsca, w którym były przechowywane. Są więc Księgi Chilam Balam z Mani, z Balam, z Chumayel, z Ixil, z Tekax etc.

Dokumenty te datuje się na XVI- XVIII w. po Chr. Bezpośrednią przyczyną ich powstania było to, że lud mieszkający w odległych wsiach domagał się od kapłanów informacji o swojej przeszłości, a od proroków przepowiadania przyszłości. W trakcie zgromadzeń rytualnych odczytywano fragmenty ksiąg niezwykle poważanych przez Majów. Nawet w naszym stuleciu używano kolejnych kopu tych świętych przekazów - był to jakby rodzaj samizdatu.

Księgi Chilam Balam, zebrane przez wielu kapłanów, spisane przez wielu pisarzy, często nie rozumiane, zawierające błędne dane, będące mieszaniną historii i proroctw, upstrzone błędami pisowni, były lekturą bardzo trudną. Stworzenie Ziemi odbywa się w czasie, gdy historia już się toczy - o narodzinach boga stworzenia mówi się w związku z późniejszym pożarem ogarniającym świat. Tak to już jest z samizdatami, powstającymi potajemnie w mrokach historii, a do tego pod okiem obcej władzy.

O stworzeniu Ziemi czytamy w Ksigdze Chilam Balam z Chumayel:

"Oto historia świata, jak spisano ją w pradawnych epokach, bo nie minąłjeszcze czas sporządzania takich ksiąg... niech więc ludzie Maja wiedzą, jak narodzili się w tym kraju... Stało się to w katun I I ahau [data], gdy objawił się Ah Mucencab [bóg, który zstąpił na Ziemię]. Było to wówczas, gdy ogień spadł z nieba, potem opadła lina, a wraz z nią skały i drzewa..."

Następnie Ah Mucencab, bóg zstępujący na Ziemię, zniszczył insygnia władzy trzynastu bogów kosmosu Majów. Niebo runęło i podpaliło ziemię. Nadszedł kres pierwszej epoki. Dla Majów

wszystko miało przebieg cykliczny, wkrótce więc powstała nowa ludzkość, potem kolejna, aż po holocaust, jakiego dopuścili się Hiszpanie. Zdaje się, że proroctwo to sięga do naszych czasów:

"Krań będzie na niebie, Ziemia zapłonie. Kauil będzie wyniesiony, [Kauil - jeden z bogów, najprawdopodobniej chodzi w tym przypadku o boga kukurydzy.]
będzie on wyniesiony z początkiem czasu, który ma nadejść. Pożar
będzie na ziemi w ten katus [data]."

Ralph L. Roys, który w 1933 roku przełożył z mayathan na angielski Księgę Chilam Balam z Chumayel [11], robi następujący przypis na temat powyższego fragmentu:

"Przypominają się nam proroctwa, zwiastujące przybycie hiszpańskich najeźdźców - na niebie pojawiał się ognisty płomień, który
świecił od północy do wschodu słońca... a potem zniknął."

O ile Księgi Chilam Balam są tak ważne wśród rzadkich źródeł, ponieważ nawiązują częściowo do prawdziwych dokumentów Majów, o tyle wypowiedzi zawarte w Kodeksie Chimalpopoca są nieporównanie zrozumialsze. Pracowity abbe Brasseur odkrył owe teksty w trakcie namiętnych poszukiwań staroamerykańskich legend. Brasseur, geniusz językowy, również języka Azteków nauczył się na tyle, że zdołał wyłuskać z rękopisu kronikę azteckiej dynastii Ixtlixóchtli [12]. Swojemu znalezisku nadał imię człowieka, który nauczył go języka Azteków

- Chimalpopoca Galicia.

Według kodeksu - po stworzeniu nieba i ziemi przez bogów - opadł "ognisty świder. Tezcatlipoca rzucił w dół płonący kawałek drewna i zapalił nim niebo". Gdy to uczynił, bogowie poczęli rozważać kwestię, który z nich w przyszłości zamieszka na Ziemi:

"Z troską rozważali to: owa z gwiazdną szatą, ów bogaty gwiazdami, pani w wodzie, ten, który nawiedza ludzi, ta, która udeptuje Ziemię, ten, który rzuca wylęg, Quetzalcoatl."

Wydaje się, że Quetzalcoatl był wszechobecny.

Kodeks Chimalpopoca twierdzi, że zaistniały nie tylko cztery akty stworzenia świata, lecz również cztery słońca, i dopiero w piątej epoce widzialne stało się słońce, które widzimy dzisiaj - jest to równie zadziwiające jak stwierdzenie:

"W piątej epoce, o czym wiedzieli starzy ludzie... wówczas stworzona została Ziemia, niebo... podobnie jak cztery rodzaje mieszkańców Ziemi..."

To stworzenie Ziemi miało podobno miejsce w 1 roku Królika - dla nas oznaczałoby to 726 rok po Chr. - data mało ważna, ale być może kronika aztecka zaczynała się dopiero od 726 roku. To zresztą nieistotne, kiedy się zaczynała - na jakiej jednak podstawie Aztecy opierali swoje twierdzenie o istnieniu "czterech rodzajów mieszkańców Ziemi" ?

Kiedy Słońce było w cieniu

Dramatycznie opisano w kodeksie upiorny pożar świata oraz słońce, które zgasło, a wszystko spowiła czerń niesamowitej nocy:

"Stworzono drugie słońce. Jego dziennym znakiem były cztery jaguary. Zwie się ono Słońcem Jaguara. Wówczas zdarzyło się, że niebo runęło, że słońce nie podążało swoją drogą. Dopiero jest południe, zaraz po nim nastaje noc!"

Zdarzyło się to podobno w epoce drugiego słońca. Pod znakiem trzeciego słońca niepojęty, śmiertelny spektakl przeobraził się w katastrofę:

"Zwie się ono Słońcem Ognistego Deszczu. W tej epoce z nieba spadał ogień paląc mieszkańców. A wraz z nim spadały kamieniste piaski. Starcy powiadają, że wówczas rozsypały się kamieniste piaski, które widzimy teraz, i spiętrzały się w pęcherzowate lawy andezytowe,

[Andezyt - magmowa skała wylewna.]

wówczas pojawiły się różne czerwonawe skały."

Na pewno chodziło w tym przypadku o zjawisko znacznie poważniejsze i mające znacznie większy zasięg niż "zwykłe" zaćmienie Słońca

- bo przecież zaćmienia Słońca były znane zarówno Majom, jak i Aztekom, nawet w Kodeksie Drezdeńskim znajdują się tabele zaćmień zawierające dokładne dane na ten temat.

Zdumiewający jest również fakt, że Kodeks Chimalpopoca mówi o olbrzymach w epoce drugiego słońca. Pozdrawiali się oni podobno zawołaniem "Nie spadnij!", bo kto spadł, gubił się w ciemnościach. Zaćmienie Słońca trwa zazwyczaj kilka minut, lecz nawet wtedy jest dość jasno, żeby zobaczyć, gdzie stawia się nogi. Olbrzymy, o których wspomina kodeks, pojawiają się w wielu mitach - w niektórych rejonach naszego globu badacze odkryli nawet ślady ich potężnych stóp odcisnięte w skałach osadowych.

Całkowitego zaćmienia nie da się również wyjaśnić wielkim wybuchem wulkanu i wiążącymi się z tym zjawiskami: deszczem ognia i piasku -

niezależnie od tego, czy jest to zdarzenie lokalne czy obejmuje większe obszary. Deszcze ognia połączone z całkowitym zaćmieniem

(a może brakiem?) Słońca i powodziami zauważono by bez wątpienia na całym świecie.

Wygodne jest wprawdzie rozsądnie brzmiące tłumaczenie, że fenomeny zostały wywołane przez wstrząsy sejsmiczne, lecz po dokładniejszym przeanalizowaniu okazuje się zbyt proste, a nawet sprawia wrażenia kuglarskiej sztuczki, pozwalającej ominąć zagadkę problemu. Nadal niemożliwe jest całościowe ogarnięcie tego zagadnienia: kataklizm mianowicie przedstawiono nie tylko w azteckim kodeksie! Musiał być zjawiskiem globalnym, bo opisy tego rodzaju - zbliżone w treści, a nawet w szczegółach - można znaleźć w wielu legendach ludów różnych regionów naszego globu.

Jeżeli założymy, że była to eksplozja którejś z planet Układu Słonecznego, wówczas kataklizm miałby istotnie zasięg ogólnoswiatowy. Słońce uległoby całkowitemu zaćmieniu trwającemu nie godziny, lecz miesiące bądź lata - jak piszą o tym stare kroniki. Pył kosmiczny rozprzestrzeniłby się w całym Układzie Słonecznym, rozżarzone szczątki ciała niebieskiego uderzałyby w Ziemię, pozostając na jej powierzchni jako "czerwonawe" skały. Rozgrzane do białości pociski rozdzierałyby cienką, delikatną powłokę naszej planety, wstrząsając jej jądrem - a byłoby to nie tylko wynikiem ostrzaży z Kosmosu, lecz również przesunięć sił ciężkości w obrębie całego Układu Słonecznego. Wybuchająca i rozpadająca się planeta pozbawiłaby dotychczasowej równowagi niezwykle skomplikowaną strukturę orbit pozostałych planet - na Ziemi spowodowałoby to powodzie, Słońce uległoby zaćmieniu (albo by było nieobecne?), spadałyby ogniste deszcze. Byłoby jak w legendach: mieszkańcy Ziemi odnosiliby wrażenie, że niebo płonie, że runie na nich za chwilę. Szalałyby żywioły: morze zalewałoby całe połacie lądu, orkany pędziłyby masy wody, wybuchalyby wulkany, a ich żar

gasłoby we wrzącej, wzburzonej pianie wodnej - byłoby dokładnie tak, jak to relacjonują podania. Ogień spadł z nieba, słońce zgasło, ludzie, którym udało się przeżyć, błąkali się bez celu, unosząc na barkach wizerunki bogów i szukając ochrony przed rozszalałym żywiołem. Coraz więcej Indian

bliskich śmierci głodowej docierało na wierzchołek góry Hacawitz - która nazywa się też "miejszem odpoczynku". Zmarznięci trwali w mrokach nie kończącej się nocy obok wizerunków swoich bogów:

"[...] Nie spali, stali i wielka była tęsknota ich serc i trzewi za jutrzenką i świtem. Tam również odczuwali bojaźń, ogarnął ich wielki smutek,

wielka udręka i zostali przygnieceni bólem. [...] - Ach, przybyliśmy bez radości! Gdybyśmy mogli choć zobaczyć narodziny słońca! Cóż teraz pocniemy? [...] - mówili rozmawiając ze sobą pośród smutku i strapienia, i głosem pełnym skargi. Mówili, ale nie gasła tęsknota ich serc, by ujrzeć nadejście jutrenki [...]."

Panowie naukowcy wolą twierdzić, że plemiona indiańskie zebrały się na górze Hacawitz co najwyżej w oczekiwaniu wschodu Wenus, którą czcili. Panowie ci jednak celowo nie chcą dostrzec, że Popol Vuh odróżnia Wenus od Słońca. Stojąc w trwożliwym wyczekiwaniu ludzie ujrzeli, że gdzieś w otchłaniach Kosmosu, wśród nocy rozblęła Wenus - ucieszyli się, że widzą wreszcie słabiutki blask światła na niebie.

Zaczęli śpiewać i tańczyć, a na cześć bogów zapalili kadzidło z wonnej żywicy:

"[...] Potem zapłakali, gdyż nie widzieli i nie oglądali jeszcze narodzin słońca. I zaraz wzeszło słońce. Uradowały się zwierzęta małe i duże i podniósłszy się w dolinach rzek i w wąwozach usadowiły się na szczycie gór i wszystkie skierowały wzrok tam, gdzie wschodzi słońce."

Podanie przedstawia koniec długiej nocy pełnej lęku: puma i jaguar, które ukryły się na widok śmierci bogów, zaryczały znowu, milczące dotychczas ptaki zaczęły ćwierkać, orły i sępy wzniosły się w powietrze ze swoich wysokich skalnych gniazd. Wracało życie.

Opis ten komentuje się zwykle tak: Jest to wyłącznie opiewanie nadejścia nowego dnia lub - z mitologicznego punktu widzenia

- odtworzenie pierwszego dnia ludzkości: "I stała się światłość."

Jestem innego zdania.

Słońce świeciło już od stuleci, od tysiącleci, od dawna żyły stworzenia wszelkiego rodzaju - niemal całe zoo z arki Noego. Miasta Majów

- jak ich legendarną stolicę Tulę - zbudowano na długo przed kataklizmem. Kiedy nadeszła katastrofa, nie było widać nie tylko Słońca - nie świecił również Księżyc i gwiazdy. Zapanowała całkowita ciemność. Powierzchnię Ziemi zaczęły pokrywać jałowe bagna. Ci, którym udało się przeżyć, cieszyli się więc, kiedy po odejściu nocy, zdawałaby się nieskończonej, nastąpił dzień. Ale to, co powtarza się z

naturalną regularnością 365 razy do roku, nie wywołałoby takich łez radości. W Popol Tiuh [7] zapisano, że trudno było wytrzymać palące promienie nowego słońca: "Jego żar był nie do zniesienia", to zaś, co "dziś" - czyli właśnie w okresie, w którym powstawała kronika

- można było ujrzeć na niebie, było tylko "jak lustrzane odbicie" prasońca.

Opis bardzo prawdopodobny! Podczas nie kończącej się nocy atmosfera ziemską uległa znacznemu ochłodzeniu, burze i katastrofalne opady deszczu oczyściły powietrze. Prawdopodobne jest również to, że wybuch planety rozerwał dwa radiacyjne pasy (pasy Van Allena) znajdujące się w magnetosferze Ziemi -jeden na wysokości ok. 5 tys., drugi 16 tys. km - tworzące ochronny pierścień wokół naszego globu. Bardzo możliwe wydaje się też częściowe zniszczenie ozonosfery na wysokości 10-60 km.

Po zadziałaniu takiej "klimatyzacji" zrozumiały byłby szok wywołany u Indian - nadal okropnie zmarzniętych - powtórnym pojawieniem się Słońca. Wrażenie, że nowe słońce jest kopią

poprzedniego, można wyjaśnić złudzeniem optycznym: jego blask wydawał się znacznie silniejszy, bo przechodził przez atmosferę "umytą" - wrażenie to nie jest obce nikomu, kto patrzył nad morzem na słońce lub księżyc o wschodzie czy zachodzie.

Ten sam koniec świata, wiążący się ze wszystkimi opisywanymi poprzednio zjawiskami, utrwalono też w azteckiej legendzie Historia królestw Colhuacan i Meksyku:

"W tych czasach ginęli ludzie, w tym czasie dogorywali. I wówczas zginęło słobce." [12]

Ludzie byli "porywani przez wiatr. Ich domy, ich drzewa, wszystko było porywane przez wiatr". Cztery rodzaje zniszczenia - które amerykańscy określają również mianem czterech epok - można poprzeć dowodami. Po katastrofie przyszedł ogień z nieba:

"I tak ginęli: zalewał ich deszcz ognisty... Przez cały jeden dzień z nieba padał deszcz ognia."

Po ognistym deszczu nastąpił potop pochłaniający nawet góry:

"I tak ginęli: zalewała ich woda, zamieniali się w ryby. Niebo runęło, zginęli jednego jedynego dnia... A czas trwania wody wynosił pięćdziesiąt dwa lata."

Takie określenie czasu jak pięćdziesiąt dwa lata jest bez sensu. Kronikarze wyrażali czas stosując cykle obowiązujące w ich epoce. Jest to nie tylko moje zdanie - choć najchętniej uznałbym, że kolejne fazy zniszczenia następowały po sobie w krótkich odstępach czasowych, nie tworząc żadnych "epok"! - nieprzydatność tych określeń czasu potwierdzają nawet tak kompetentni tłumacze tekstu oryginalnego, jak profesor Walter Lehmann:

"Jestem zdania, że lat, które miały określać tę epokę, nie przekazano w sposób prawidłowy." [12]

A wody wzbierały nad ziemią

Przenieśmy się teraz z Ameryki Środkowej na Bliski Wschód, gdzie biblijny Noe po szczęśliwym przetrwaniu potopu opuścił arkę, zbudował ołtarz i złożył na nim całopalną ofiarę: "I poczuł Pan miłą woń" (I Mojż. 8, 21). Tak samo - lokalny cud! - zachowali się nasi azteccy przyjaciele rozpalając w dżungli ogień ofiarny:

"I spojrzeli bogowie - ta z gwiezdą szatą, ten bogaty w gwiazdy.

I rzekli: 'O bogowie! Któż to coś tam pali? Któż niebo okadza?'

A potem zstąpił z nieba On, którego poddanymi jesteśmy, Tezcatlipóca."

Po potopie potężny bóg zstępuje z nieba do swoich poddanych! Taki sam motyw możemy znaleźć również w legendach Indian kolumbijskiego plemienia Kagaba:

"Tak zginęli wszyscy źli, a kapłani, starsi bracia, wszyscy zstąpili z nieba..." [13] !

Słynną starobabilońską królewską listę WB 444 - na której znajdują się też imiona bogów uznawanych za nauczycieli - od ryto w 1932

roku, w pobliżu miasta Mosul w dolinie Tygrysu w horsabadzie w Iraku [14]. Na liście są imiona dziesięciu prakrólów z okresu 456 tys.

lat od stworzenia Ziemi aż do potopu, następnie Idrólestwo kontynuowało dynastię:

"Gdy potop przeminął, królestwo na powrót zstąpiło z nieba."

Gilgamesz żył ok. 2600 r. prz. Chr. i był władcą sumeryjskiego miasta

Uruk. Wedle słów eposu, którego Gilgamesz jest bohaterem tytułowym, Utanapisztim, przodek Gilgamesza, przetrwał potop na wyspie leżącej po drugiej stronie morza. Po opadnięciu wód

przygotowuje ofiarę:

"Na szczycie góry ofiarne sypię ziarna, cedrowe drzewo spopielam i palę mirt. Zwąchali zapach bogowie. Zaprawdę mile łechce nozdrza

bogów żertwienna woń. Więc jako muchy się zlecą, jak muchy obsiędą ofiarniczy stos." [15]

Nie dysponuję wprawdzie umiejętnościami dawnych indiańskich proroków, ale już teraz mogę powiedzieć, że zaraz podejmie się próbę znalezienia dziury w tej spójnej konstrukcji myślowej. Powie się, że Historia królestw Colhuacan i Meksyku, z której przytoczyłem cytaty, wykazuje wpływy chrześcijaństwa, że to Hiszpanie podpowiedzieli Aztekom historię o Noem, jego arce i ofierze. Możliwe. Ale w takim razie dopraszam się o przekonujące - nie tylko uczone - wyjaśnienie, dlaczego o wiele, wiele starsza Popol liuh, która istniała na długo przed najazdem Hiszpanów, opowiada o takim samym zdarzeniu! Chciałbym się też dowiedzieć, czy przebiegli misjonarze mogli znać epos o Gilgameszu! Nie mogli, bo legenda ta - utrwalona około 2000 r. prz. Chr. pismem klinowym na dwunastu glinianych tabliczkach - została odnaleziona dopiero w połowie XIX w. podczas prac wykopaliskowych w Niniwie, prastarym mieście na lewym brzegu Tygrysu. A co zrobić z legendami Indian Kagaba, które zarejestrowano dopiero na początku XX wieku?

Moim zdaniem stoimy przed następującą alternatywą:

- Zarówno katastrofa, jak i palna ofiara złożona przez ludzi, którzy przetrwali, zdarzyły się gdzieś na świecie jako zdarzenie lokalne. Ci, którym udało się przeżyć, rozeszli się po wszystkich kontynentach unosząc stosowne dokumenty i kroniki, ich potomkowie zaś z biegiem tysiącleci dorobili do zdarzenia różne warianty.

- Katastrofa miała charakter globalny, w tym samym czasie zostało nią dotkniętych wiele ludów, które ucierpiały jej skutkiem, a następnie zrelacjonowały jej przebieg.

Myślę, że tu chodzi nie o wybór jednej z dwóch możliwości, lecz raczej o to, że można zaakceptować obie, ponieważ bogowie - którym wciąż depczę po piętach - byli wtedy wszechobecni. Ze starych tekstów zaś można co najwyżej wysnuć wniosek, że katastrofa tak czy owak musiała się zdarzyć bardzo dawno. Dlaczego?

Rozważania na temat daty

Archeolodzy przyznają, że zarówno Toltekwie - Indianie, którzy do prekolumbijskiego Meksyku przywędrowali z północy - jak i Aztekowie istnieli w okresie między 900 a 1500 r. po Chr. Lekko licząc imperium Majów trwało w latach I 500 prz. Chr. - 800 po Chr. W tym okresie nie zdarzył się żaden globalny kataklizm. Z dość dobrze udokumentowanego okresu istnienia starożytnego Egiptu i Babilonii nie zachowała się żadna informacja o potopie pustoszącym te kraje. Tak legendy, jak mity opowiadają wyłącznie o straszliwych zdarzeniach, które miały miejsce w bardzo zamierzchłej przeszłości. Od narodzin Chrystusa Słońce ani razu nie zgasło, niebo ani razu nie zapłonęło, ani jeden straszliwy potop nie spustoszył Ziemi, nic też nie wiadomo o tym, żeby z nieba zstępowali "bogowie". Starożytni Rzymianie i Grecy wiedzieliby o czymś takim i na pewno zapisaliby wszystko skrupulatnie w swoich obszernych kronikach.

A może trzeba wyjść z założenia, że Indianie Ameryki Środkowej przekazują nam w swoich kronikach informacje o wydarzeniach mających miejsce na długo przed czasami, w których żyli -

chyba że wszystkie stwierdzone i radośnie objawione prawdy maistyki są błędne, a pojawienie się Majów oraz ich przodków należy przesunąć w nieporównywalnie odleglejszą przeszłość. Czy początki tego narodu przypadają w takim razie na tajemniczy początek kalendarza Majówna 11 sierpnia 3114 roku prz. Chr. ?

Naukowców ogarnia strach na samą myśl o wyciągnięciu takich wniosków. To, czego nie da się datować w miarę dokładnie, klasyfikuje się jako towar pośledniejszej jakości, jako coś niejasnego, choć znaleziska - narzędzia i niewielkie statuetki - z tego tajemniczego okresu są chętnie przywoływane na pomoc, jeżeli tylko można na ich podstawie wysnuć wnioski pasujące do obowiązujących teorii. A w tej dziedzinie zdarzają się naprawdę kuglarskie sztuczki: kiedy znaleziono obsydianowe noże i kamienne siekiery z preklasycznego okresu historii Majów sięgającego do 1500 roku prz. Chr., wówczas na ich podstawie wyciągnięto wniosek, że tereny te musiały być niegdyś zamieszkałe przez prymitywnych myśliwych. Zgoda. Z cylindra prestidigitatora - można się w tym pogubić, jeśli człowiek nie dość uważa - jak błyskawica wylatuje argumentacja: jeżeli stosowano tak prymitywne narzędzia, to nie mogli istnieć "bogowie" działający realnie, bo przecież obdarowaliby oni prymitywnych myśliwych nowoczesnymi urządzeniami. Równanie naciągane: jeśli gdzieś znaleziono prymitywne narzędzia, to znaczy, że nie mogły się tam pojawiać istoty pozaziemskie! Ostatnio popłynąłem sobie na spacer po Jeziorze Lemańskim starym, swojskim parowcem i usłyszałem przez radio informację o starcie amerykańskiego promu kosmicznego. Czy będzie więc słuszne zdanie: jeśli pływamy statkami parowymi, to znaczy, że nie jesteśmy w stanie podejmować podróży kosmicznych? "Nie rezygnujemy z silnika tylko dlatego, że prorok Mahomet jeździł kiedyś na wielbłądzie" - powiedział premier Malezji Datuk Husein Onn. Naukowcom należałoby wpisać tę mądrą sentencję do pamiętnika.

Rezultaty etnograficznych studiów porównawczych pewnie niewiele zmieniają w dotychczasowym obrazie życia codziennego ludów indiańskich, za to nowa interpretacja ich legend przyniesie rzeczy rewolucyjne dla nauki.

Kto bez uprzedzeń wczyta się w zachowane kroniki Majów, ten nawet nie korzystając z mojej fantazji - przyznając, może nieco stroniczej - stwierdzi, że ich autorzy podziwiali nieznanne pojazdy, odczuwali strach przed rodzajami nigdy nie widzianych broni, głosy wzmocnione przez megafony brali za głosy bogów, a pojazdy niebiańskie opisywali jako latające smoki. Ulrich Dopatka z Biblioteki Uniwersyteckiej w Zurychu udowodnił na podstawie wielu przykładów, że ludy "prymitywne" konfrontowane z wytworami nowoczesnej cywilizacji po dziś dzień zachowują się zawsze tak samo.[16] W odniesieniu do indiańskich plemion Ameryki Środkowej Irene Nicholson, która przez siedemnaście lat mieszkała i prowadziła prace badawcze w Meksyku, twierdzi: "Bardzo powierzchowne jest również mniemanie, że mity Azteków i Majów stworzył lud prymitywny, którego pragnienia ograniczały się do chęci uzyskiwania lepszych zbiorów, opadów deszczu o właściwej

porze roku i słonecznej pogody powodującej dojrzewanie kukurydzy." [17]

Niestety to powierzchowne mniemanie stało się bardzo popularne w literaturze fachowej. Jego przedstawiciele sami się w istocie otumaniła ; ją twierdząc, że dla wszystkiego istnieje tylko jedno oczywiste rozwiązanie. Ponieważ nie cierpią zagadek, więc je negują. Nie zwracają uwagi na podobieństwa w legendach ludów, które żyły - lub żyją - w bardzo odległych zakątkach kuli ziemskiej. Specjaliści wiedzą o tych powiązaniach, zwlekają jednak z wyciągnięciem narzucających się wniosków. Wprawdzie bogom Majów tak samo

jak bogom z eposu o Gilgameszu zakręcił w nosie miły zapach ognia ofiarnego, ale nasi eksperci mają chroniczny katar - nie czują pisma nosem. W sytuacjach podbramkowych do udzielenia pierwszej pomocy wzywa się psycho logów. Ci wiedzą, jak wybrnąć z nieprzyjemnej sytuacji: plotą trzy po trzy. Efektem jest obowiązujący stan akademickiej wiedzy. Basta.

Z wizytą u Białego Niedźwiedzia, Indianina z prastarego rodu Majów

Na szczęście żyją jeszcze Indianie, którzy zachowali tradycje swojego ludu. Można ich zapytać, jak należy rozumieć legendy ich przodków. Piętnaście lat temu odwiedziłem Białego Niedźwiedzia, jednego z najważniejszych Indian Hopi, którzy mieszkają w rezerwacie w stanie Arizona. Pojechał tam również mój przyjaciel, Joseph F. Blumrich, wówczas jeszcze kierownik Wydziału Konstrukcji NASA w Huntsville. Nasz pierwszy, tygodniowy pobyt w rezerwacie skłonił Blumricha do podjęcia dziesięcioletnich studiów, których rezultaty przedstawił w książce Kasskara i siedem światów [18] - praca ta powinna stać się obowiązkową lekturą badaczy zajmujących się problematyką mitów.

Biały Niedźwiedź to mądry, osiemdziesięcioletni starzec, należący do szczepu Kojotów i będący członkiem sądu plemiennego Indian Hopi. Zaprowadził nas wtedy do kotliny - chronionej przez Indian przed ciekawością białych - i pokazał rysunki oraz ryty naskalne, które dokumentują historię jego ludu, liczącą wiele tysięcy lat. Biały Niedźwiedź mówi wyważonymi zdaniem, lekka nieufność daje się słyszeć w jego głosie tylko wówczas, gdy zadaje mu się pytania. Wyraźna jest również gorycz wobec białych, którzy sprowadzili tak wiele nieszczęść na jego lud. Przez wiele lat Blumrich zdobywał nieograniczone zaufanie Indianina. Czerwonoskóry i Błada Twarz zasiadali przed mikrofonem, taśma utrzymywała opowieść Białego Niedźwiedzia o historii jego ludu, która należy do prehistorii Majów. Po fragmentach ze starożytnych kronik będziemy mieć teraz do czynienia z "żywym" przekazem o niezwyklej wartości.

Przed rozpoczęciem relacji Biały Niedźwiedź zapewnił, że nadszedł czas opowiedzieć, kim są Indianie Hopi i dlaczego osiedlili się tu, gdzie żyją po dziś dzień:

"Kiedy będę ci opowiadał naszą historię, musisz pomyśleć o tym, że czas nie ma tu zbyt wielkiego znaczenia. Dziś czas jest czymś ważnym, czas wszystko komplikuje, czas staje się przeszkodą. Ale w historii mojego ludu czas nie był istotny, był równie mało ważny jak dla samych stwórców. "

Podobnie jak podania Majów i Azteków, także historia Indian Hopi wymienia cztery epoki. Czasy, w jakich żyjemy obecnie, to epoka czwarta. Przed tysiącami lat przodkowie Indian Hopi mieszkali na kontynencie w rejonie Oceanu Spokojnego, kontynent ów zwał się Kasskara. Potem wybuchła międzykontynentalna wojna. W tej epoce Kasskara zaczęła pogrążyć się w oceanie, nie był to jednak - tak jak w Biblii - czterdziestodniowy potop, lecz zapadanie się kontynentu.

W końcu nad wodę wystawały tylko najwyżej położone części lądu

- dziś jest to kilka wysp mórz południowych. Indianie Hopi zostali zmuszeni do odwrotu. W ucieczce pomagali im Kaczynowie. Biały Niedźwiedź wyjaśnia, że słowo "Kaczynowie" znaczy tyle co "dostojni i poważani wtajemniczeni", elita, z którego lud miał zawsze kontakt.

Kaczynowie, którzy co pewien czas odwiedzali Ziemię, byli istotami cielesnymi, pochodzącymi z planety Toonaotekha oddalonej od Układu Słonecznego.

Kaczynowie znali trzy kategorie wtajemniczonych - byli to twórcy, nauczyciele i strażnicy praw.

Już w przypadku pierwszej grupy widać zgodność z innymi legendami. Hopi twierdzą, że także Kaczynowie-twórcy produkowali w tajemniczy sposób różnych ludzi. Mistyka takich narodzin jest dla Białego Niedźwiedzia jasna: "Choć zabrmi to dziwnie. nigdy nie dochodziło do obcowania, nie było stosunków płciowych, lecz wybrane kobiety zachodziły w ciążę." To samo stwierdzenie znajdujemy w Popol Vuh [7]. Pierwsi ludzie zostali poczęci "bez udziału ojca. [...] Jedynie mocą nadprzyrodzoną, za sprawą czarów zostali stworzeni i utworzeni [...]". W Popol Vuh możemy również znaleźć informację, że pośród stworzonych byli mężowie, których mądrość była wielka. Biały Niedźwiedź nie czytał wprawdzie Popo! Vuh, ale wie z legend Indian Hopi: "Istnieli cudowni, potężni mężowie, gotowi zawsze do niesienia pomocy, nigdy zaś do niszczenia". Aztecka legenda [17] podaje - niemal w formie protokołu z doświadczenia laboratoryjnego - że księżę-kapłan Quetzalcoatl był produktem sztucznego zapłodnienia: Kiedy bogini Coatlicue, "ta z węzową spódnicą", czyściła podłogę, została trafiona małą puchową piłką, którą następnie ukryła pod spódnicą. Potem jej szukała, lecz piłeczka zniknęła - jeszcze później bogini poczuła, że jest w ciąży. Synem, którego zrodziła "ta w węzowej spódnicy", był właśnie Quetzalcoatl, "pierzasty wąż". Inna legenda opowiadająca o tym zdarzeniu twierdzi, że boginiu zaszła w ciążę za sprawą ptasiego piórka, jeszcze inna, że za sprawą kamienia szlachetnego - w akcie tym jednak na pewno nie brał udziału mężczyzna. Szczególny przypadek emancypacji totalnej.

Powietrzna emigracja

Biały Niedźwiedź opowiada, jak Kaczynowie pomagali jego ludowi w exodusie. Zastosowano trzy metody ewakuacji. Na "latających tarczach", czyli niebiańskich pojazdach bogów, wywieziono z niebezpiecznej strefy elity społeczne, które miały przygotować nowy kraj - Amerykę Południową - na przyjęcie kolejnych fal emigrantów. Do transportu masowego używano "wielkich ptaków" oraz statków, łodzi i kanu najróżniejszej wielkości.

Biały Niedźwiedź nie potrafi niestety na podstawie legend opisać, jak z technicznego punktu widzenia wyglądały "latające tarcze", twierdzi tylko, że kształtem przypominały podobno połówkę dyni. Niepojęte pojazdy niebieskie, o których mówi legenda, było widać - świadczą o tym rysunki naskalne w Oraibi, najstarszej osadzie Indian Hopi w Arizonie. Jeden z nich ukazuje kobietę siedzącą w środku tarczy, której brzegi są wygięte ku górze - pod spodem wryto pierzastą strzałę. Biały Niedźwiedź tłumaczy, że strzała symbolizuje "latanie" i "prędkość". Przypomnijmy sobie, że w starożytnym Egipcie też można podziwiać bardzo podobne rysunki "latających tarcz" - tam jednak określa się je mianem "niebiańskich barek". Na tak zwanym astronomicznym stropie komory grobowej architekta Senenmuta w Deir el-Bahari, w świątyni grobowej Ramzesa II w Tabach Zachodnich (dzisiejszy Luksor) i na astronomicznym fryzie świątyni w Edfu [19] turyści mogą zobaczyć całe eskadry niebiańskich statków.

Mity stosują określenia zrozumiałe dla danej epoki i rejonu geograficznego. Biały Niedźwiedź mówi o połowce dyni, przekazy [20]

z archipelagu Wysp Towarzystwa na Oceanie Spokojnym używają natomiast nazwy "muszle" - w muszlach bogowie przylecieli z "czerni Wszechświata". Według legend z Kiribati [21], grupy wysp Mikronezji, prabóg Nareau lata w łupinie orzecha kokasowego, a Makemake, "bóg mieszkańców przestworzy" [4], na Wyspę Wielkanocną, najbardziej wschodnią część Polinezji, przybył w skorupiejaja. Biały Niedźwiedź nie różni się więc od innych, gdy twierdzi, że przedmiot latający w powietrzu miał kształt połowki dyni.

Biały Niedźwiedź opowiada, że kolejną grupę mieszkańców Kasskary ewakuowano "na grzbietach

wielkich ptaków". I ta alegoria ma swoje odpowiedniki - najbardziej plastyczne znajdziemy w mitologii indyjskiej, wedle której po niebie pędzi Garuda. "Garuda" znaczy skrzydło. Garuda jest księciem ptaków, a zarazem wierzchowcem boga Wisznu, co z kolei znaczy "ten, który przenika". Temu dziwnemu ptakowi, którego przedstawiano jako istotę o ciele człowieka a skrzydłach orła, przypisuje się szczególne zdolności - podobno był nadzwyczaj inteligentny, potrafił działać samodzielnie, prowadził wojny, zwyciężał w bitwach. Ciało miał barwy czerwonej, twarz białej, jego skrzydła zaś lśniły złoto na tle nieba. Drżała ziemia, gdy księżę ptaków zamaewał skrzydłami.

Trzecia, najliczniejsza grupa uciekinierów z Kasskary dotarła do Ameryki Południowej na statkach i niewielkich łodziach. I w tej masowej ewakuacji brali udział bogowie. Kaczymowie, prowadzili konwój statków i łodzi od wyspy do wyspy, nie pozwalając mu zboczyć z kursu. W tamtych czasach nie dysponowano przypuszczalnie radarami, a zatem wszelkie wskazówki dotyczące kursu podawano z punktów obserwacyjnych znajdujących się zapewne w przestworzach. Informacji tej nie uda się nam wprawdzie znaleźć w legendach Białego Niedźwiedzia, ale podpowiada mi ją zdrowy rozsądek.

Osiedlanie się Indian Hopi

Po przybyciu osiedleńców na miejsce rozpoczął się dla nich kolejny etap historii. Indianie mnożyli się, rozwijali interesy plemienne, dzielili się na szczepy. Niektóre grupy w trakcie wędrówki trwającej kilka tysięcy lat przeszły z południa na północ. Wśród nich znalazły się również szczepy Niedźwiedzi i Kojotów. Do tych ostatnich należy Biały Niedźwiedź. Czy więc Indianie Hopi mogą się powoływać na to, że są ogniwem łączącym teraźniejszość z przeszłością, liczącą sobie wiele tysięcy lat? Biały Niedźwiedź zakreśla granice takich możliwości:

"Nie wszyscy ludzie, którzy przybyli do czwartego świata i zamieszkali w Taotoóma, byli Indianami Hopi. Powiedzmy raczej, że wśród tych ludzi znajdowali się nasi przodkowie. Spośród wielu, którzy przybyli do Ameryki Południowej, mianem Hopi określano tylko tych, którzy dotarli w końcu do Oraibi, a mianem tym określono ich

dopiero, kiedy zostali tam przyjęci."

W łonie wielkiego ludu Hopi powstawały nowe plemiona, które się potem dzieliły. Plemiona te osiedlały się w wysokich górach i w puszczech, wśród nich znaleźli się przodkowie Majów, Inków i Azteków. Świadczy o tym niezbitcie fakt, że z tymi legendami pokrywają się w treści inne przekazy, na przykład staroindiańskie rysunki naskalne.

Biały Niedźwiedź opowiada o mieście Palatquapi ("Czerwona Ziemia"), które jego przodkowie wzniesli w Ameryce Środkowej - było ono uważane za centrum nauki. Żaden Hopi "nigdy nie zapomni Palatquapi", nieważne, do jakiego należy szczepu, owo miasto bowiem wryło im się bardzo głęboko w pamięć. W Palatquapi stał trzypiętrowy budynek służący wyłącznie nauce. Budowano go stopniowo, każdy kolejny poziom odpowiadał wyższemu poziomowi wiedzy: im wyżej wznosiła się świątynia nauki, tym mniej Indian mogło tam dotrzeć.

Na parterze młodzi Indianie uczyli się historii swojego ludu, na pierwszym piętrze wykładano nauki przyrodnicze - łącznie z budową pierwiastków (chemia!). Rozwijano intelekt, rozbudzano umiejętność obserwacji, ugruntowywano umiejętność rozumienia harmonii wszelkich form życia w przyrodzie. Biały Niedźwiedź:

"Dlatego Indianie Hopi śpiewają podczas swoich uroczystości obrzędowych pieśni wychwalające przyrodę, która nas otacza, wychwalające wszystkie żywyoty. Robią to na cześć

wielkiej potęgi boskiej istoty."

Jeszcze wyżej, na trzecim piętrze, gdzie nauka była znacznie trudniejsza, a liczba studentów mniejsza, wykładano astronomię. Biały Niedźwiedź:

"Nauka zawierała inforznacje o szczegółach budowy Układu Słonecznego. Wiedziano, że Ziemia jest okrągła, że na powierzchni Marsa leży drobnutki piasek, że na Wenus, Marsie i Jowiszu nie istnieje życie."

Cóż to za wspaniały staroindiański system oświatowy, który nie hołdował tendencji do zacierania różnic między uczniami! Kim byli wykładowcy, jak doszli do takiej wiedzy?

Biały Niedźwiedź stwierdza krótko: - Wykłady prowadzili Kaczynowie!

Ostatnio nauka wzbogaciła się o nową dziedzinę. Jest nią archeoastronomia, zajmująca się badaniem wiedzy astronomicznej ludów starożytności. Może ona doprowadzić archeologów - o ile nie będą mieli kłapek na oczach - do nadzwyczajnych odkryć.

Profesor Anthony F. Aveni z Uniwersytetu Colgate w Hamilton (stan Nowy Jork) złości się na mnie we wstępie do swojej cholernie mądrej książki, pisząc między innymi, że ponieważ istnieją ludzie, którzy twierdzą, iż wiedza naszych przodków powstała pod wpływem istot pozaziemskich, to jednym z jego celów jest udowodnienie, że ludy Mezoameryki - żyjące na obszarze, na którym rozwijały się kiedyś wysokie kultury Majów i Meksyku - podlegały prawom całkowicie "logicznego i ewolucyjnego rozwoju". [22]

"Granice między arogancją a ignorancją są bardzo płynne" - zauważył Alfred Polgar (1875-1955), mistrz ostrej ironii.

Archeoastronomia - nowa dziedzina nauki, która zaczyna odkrywać nieznane lądy - byłaby od razu nauką skończoną, gdyby zignorowała fakt, że właśnie przekazy ludów Mezoameryki zawierają niezwykle istotne informacje. Program profesora natomiast polega na negowaniu tych informacji. Aveni może mnie spokojnie brać na muszkę. Wiem, że nie traf, bo to nie ja - słowo honoru! - wpisałem do mitów informacje o wizytach "bogów" z Kosmosu. Aveni jednak wątpi w wiarygodność prehistorii Indian, w najważniejsze źródła, bez których dziedzina nauki, którą reprezentuje, w żadnym razie nie może się obyć.

Przysięgam! Nie znałem osobiście ani proroka Henocha, ani Eliasza, droga Gilgamesza nie skrzyżowała się z moją, nie pracowałem ani nad szkicami do Starego Testamentu, ani nie spisywałem Popol Iiuh, nie przystąpiłem również do szczepu Kojotów z zachwyty nad opowieściami czcigodnego Białego Niedźwiedzia. Mimo wszystko jednak Aveni pozbawia podstaw swoje ważne, a nawet bardzo poważne zadanie badawcze, kiedy wymazuje grubą gumką bogów starożytności ze świętych kronik - choć znajdowali się tam od tysiącleci. Pozostaje tylko mieć nadzieję, że nowoczesnymi badaniami w tej dziedzinie zajmie się osoba obdarzona skromnością uczonych-kapłanów starożytności. Byłoby to bardzo wskazane ze względu na szacunek, jaki żywili oni wobec bogów - w podzięce za wiedzę, którą ich obdarzyli przybysze z Kosmosu.

"Ludzie wpadają w dziwny szal radości - pisze Erwin Chargaff

- kiedy dowiadują się, że pochodzą od małpy. Dotychczas wierzyli, że zostali stworzeni przez Boga." [1]

Pan Aveni na pewno wie, że jego słynni koledzy zajmujący się teorią ewolucji, czyli darwinowską nauką o pochodzeniu gatunków, odczuwają nieobecność brakującego ogniwa - missing link. Teoria ewolucji wyjaśnia (prawie) wszystko - poza tym, jak hominidy stały się inteligentne. Od dawna nie tylko ja jestem reprezentantem hipotezy, że w tej przemianie brały udział siły pozaziemskie.

Na ile prawdziwa jest opowieść

Białego Niedźwiedzia?

Biały Niedźwiedź opowiada, że Indianie żyli w Palatquapi setki lat

- dopóki eksplozja demograficzna nie zmusiła ich do szukania nowych siedlisk. Spowodowało to rozluźnienie więzi z Palatquapi, bo nowe wspólnoty chciały się uniezależnić od centrum. Kaczynowie opuścili miasto, ich czysta nauka ulegała rozwadnianiu tym bardziej, im bardziej Indianie zapominali o tych, którzy pomogli im osiągnąć tak wysoki stopień kultury. Mieszkańcy Palatquapi tworzyli sobie nowych bogów i bożków - doprowadziło to w końcu do straszliwych walk bratobójczych. Wrogie sobie plemiona respektowały wprawdzie świątynie i piramidy dawnych bogów, ale obrzędy religijne traciły coraz bardziej tradycyjne formy, co sprawiło, że porzucano dawne ośrodki kultowe.

W ten właśnie sposób opustoszała stolica szczepu Łuków, miasto

Tikal, gdzie prace wykopaliskowe doprowadziły ostatecznie do odkrycia śladów istnienia osadnictwa preklasycznego. Wyludniły się też ulice i świątynie Palatquapi - dziś nazywanego Palenque.

Indianie pragnący żyć w zgodzie z naturą i prawami Kosmosu zakładali nowe osiedla. Pod znakiem pierzastego węża Jukatan stał się dominującym obszarem zamieszkanym przez szczep Wężów. Szczepy Niedźwiedzi i Kojotów osiedliły się bardziej na północ - mieszkają tam do dziś, o ile nie wymordowały ich lub nie wypędziły blade twarze.

W Hoteville, wsi Indian Hopi w Arizonie, odprawia się co roku w lutym "obrzęd pierzastego węża".

Dzięki Blumrichowi możemy odpowiedzieć na pytanie o prawdziwość relacji Białego Niedźwiedzia. Z ogromną cierpliwością, jakiej wymagają poważne badania naukowe, Blumrich ustalał przez wiele lat związki prawdy historycznej z legendami Indian Hopi.

Kiedy Indianom Hopi z Arizony pokazano rysunki miasta Majów

Tikal, ci zaczęli indiańskim zwyczajem zawodzić z zachwytem - wszędzie rozpoznawali freski, na których widniały symbole ich szczepu, ślady ich historii. Biały Niedźwiedź:

"We wszystkim zawiera się jakieś znaczenie, a wszędzie jest zapisana historia. Jesteśmy ludźmi zorientowanymi duchowo, a archeolodzy i historycy muszą sobie uświadomić, że zanim będą mogli wyjaśnić

wymowę ruin, muszą zrozumieć nas."

Już od dawna archeolodzy zastanawiają się, dlaczego Majowie porzucili swoje stare miasta i zaczęli zakładać nowe. Biały Niedźwiedź, który rozumie swój lud i jego historię, proponuje przekonujące wyjaśnienie: Życie, zatruwane na dotychczasowych obszarach plemiennych przez właśnie religijne, przestawało być warte tego miana. Mądrych Kaczynów, którzy mogliby coś doradzić i załagodzić spory, nie było już w Palatquapi.

Konsekwencją kolejnych odkryć powinno być coraz wcześniejsze datowanie zachowanych budowli Majów. Już od dawna chronologia okresu preklasycznego (czasy przed pojawieniem się Majów) nie zgadza się z wynikami badań. Renomowany amerykański maista

Norman Hammond [23] odkrył na Jukatanie ceramikę powstałą około

2600 r. prz. Chr. - liczącą więc sobie 1500 lat więcej, niż dopuszcza kanon nauki. Któż więc sięjerszce odważy utrzymywać, że "najnowsze" datowania są ostateczne i prawdziwe?

Biały Niedźwiedź powiedział, że mądrzy Kaczynowie, istoty z Kosmosu, uczyli kapłanów. W Ksiggach Chilam Balam, które, dobrze strzeżone, znajdowały się w wielu rezydencjach Majów, możemy znaleźć potwierdzenie tych słów:

"Oto jest opowieść o narodzinach jednego boga, trzynastu bogów i tysiąca bogów, którzy nauczali kapłanów Chilam Balam, Xupan,

Nauat..." [24]

Jeżeli ktoś zechce poszukać bliższego nam opisu tej samej sytuacji, znajdzie w apokryficznej Księdze Henocha nie tylko określenie "strażnicy nieba", lecz również grupę, która tak samo dała się poznać jako bractwo mistrzów-nauczycieli:

"Semjasa nauczał... przycinania korzeni, Armaros rozwiązywania forntuł zaklęć, Barakwuel patrzenia w gwiazdy, Kokabeel astrologu, Ezekweel wiedzy o chmurach, Arakiel znaków Ziemi, Samsaweel

znaków Słońca, Seriel znaków Księżycy..." [25]

Nie chciałbym przeoczyć rzeczy najistotniejszej: przedmioty wykładane przez "strażników nieba" - od przycinania korzeni poczynając, na interpretacji znaków na niebie skończywszy - stawały się w trakcie nauki coraz trudniejsze, była to budowla myślowa, która przypominała wielopiętrowy uniwersytet Kaczynów.

Strach przed powrotem bogów

Od kiedy ludzie stali się zdolni do myślenia, nie zmieniło się chyba tylko jedno - bezustannie poszukują ideałów, wzorów do naśladowania. Dla ludów prastarych ideałem byli "bogowie", "upadłe anioły" oraz "strażnicy nieba" (Henoah) bądź Kaczynowie, mędrcy przybyli z Kosmosu. Gdy wzory znikwały z pola widzenia, do głosu dochodziły ambicje "tych, którzy pozostali" - "szkołę" kontynuowali epigoni domagający się dla siebie respektu. Powstanie wielu sztucznych, słabych "bogów" wywoływało chaos w przekonaniach i osłabiało moc bogów prawdziwych.

Nie zatarły się jednak w pamięci dawnych ludów wspomnienia z przeszłości. Bezustannie dręczyła je obawa: jak ukarzą nas bogowie

- co nam przyrzekli - kiedy powrócą z Kosmosu? Nie wolno nie docenić faktu, że pytanie to pojawia się też w religiach współczesnych - kara, wymierzana przez bogów albo przez Boga, jest odroczone tylko do nadejścia dnia Sądu Ostatecznego, została przesunięta poza granice życia doczesnego. Z perspektywy powrotu bogów wszystko wydaje się logiczne: jeśli nie mogli pociągnąć ludzi do odpowiedzialności za życia

(w trakcie krótkiej egzystencji ludzkiej nie mogli powrócić na Ziemię), to należało im zagrozić karami, jakie na nich spadną w życiu pozagrobowym. Tam wszystko jest nierzeczywiste i niesprawdzone. Tymczasem ludy Ameryki Środkowej - choć nie tylko one - naprawdę obawiały się powrotu swoich bogów. Ze strachem obserwowano firmament notując troskliwie w uczonych księgach wszelkie zachodzące tam zmiany. Właśnie ta obawa stała się impulsem do powstania tak imponującej wiedzy astronomicznej.

Obserwacje nieba można by podzielić na dwie kategorie. Pierwsza to zmiany i ruchy na niebie poprzedzające przybycie bogów. Druga

- zaćmienia Słońca i pożary nieba, zwiastujące koniec świata.

Hipotezę tę potwierdzają skrupulatne studia hiszpańskiego misjonarza i badacza kultury Indian, Bernardina de Sahagún (1500-1590), który działał w Meksyku jako mnich zakonu franciszkanów. Sahagún zajmował się między innymi językiem Indian Nahuatl - grupy plemion, które w drugiej połowie I wieku po Chr. jako Toltekowie zajęli miejsce kultur ludów starszych od siebie. Językiem nahuatl posługuje się do dziś większa część wiejskiej ludności Meksyku.

Prowadząc działalność misyjną w okolicach Santa Cruz, gdzie nauczał w kolegium dla tubylców, Sahagún potrafił skłonić Indian do opowiadania mu wszystkiego, co wiedzieli o przeszłości swoich ludów. W ten sposób jego praca Historia general de las cosas de Nueva España

(Historia ogólna spraw Nowej Hiszpanii) stała, się jakby sprawozdaniem, w którym znalazły się najróżniejsze fakty. Poczesne miejsce zajmuje tam astronomia. Indianie niezwykle obrazowo opisywali swój lęk przed fenomenami nieba:

"Powiadano, że kiedy nadeszła noc, bardzo się bano, oczekiwano, że gdy świder ognisty nie spadnie szczęśliwie, wówczas wszystko zginie, wszystko się skończy, nastanie zupełna noc. Słońce już nigdy nie wzejdzie i będzie całkiem ciemno. Spadną potwory tztitzimi i pożrą ludzi... a nikt nie upadał na ziemię, jak mówiono, lecz wspinało się na płaski dach. A wszyscy byli owładnięci wiarą w czary do tego stopnia, że każdy starał się mieć na baczości przed niebem, przed gwiazdami, których imiona to 'wielu' i 'świder ognisty'." [26]

W Historii... jest mowa o "dymiących gwiazdach" zwiastujących nieszczęście. Chodziło pewnie o meteoryty sunące po niebie i ciągnące za sobą rozżarzone smugi. Ale poza "dymiącymi gwiazdami" Indianie opowiadają także o "gwiazdach strzelających":

"Mówi się, że wypuszczają strzałę nie bez powodu, nie bez powodu też spada... a nocą szczególnie miano się na baczości, zawijano się, przykrywano, naciągano ubrania i przepasywano się, tak właśnie obawiano się wypuszczenia gwiazdnej strzały."

Obserwacje astronomiczne przetwarzano na zrozumiałe wyjaśnienia astrologiczne, bo właśnie astrologia zajmuje się dobrymi i złymi wpływami gwiazd. Nawet jeżeli akceptowano interpretację astrologiczną, to trzeba było jednak przedtem mieć do tego podstawy. Gwiazd migocących na niebie nie można ot tak sobie uznać za "złe" albo za "dobre". Cokolwiek działo się nad głowami Indian, nie wyrządzało nikomu najmniejszej krzywdy! Dlatego uważam, że dana jest nam jakby prapamięć, tradycyjna kronika, wywołująca określone skojarzenia z pewnymi gwiazdami. Przecież Majowie nie bez powodu - podobnie jak starożytni Grecy i Rzymianie - obawiali się Marsa, uważając tę planetę za boga wojny. [24]

W Historii... znalazło się również miejsce na opis wejścia pierwszego słońca, co było jakby uwerturą stworzenia świata: bogowie rozpalili wielki ogień, do którego musieli się rzucić dwaj z nich, doprowadzając dzięki tej ofierze do wejścia słońca, tymczasem pozostali z uwagą prowadzili obserwację nieba, żeby przypadkiem nie przeoczyć momentu, kiedy się pojawi:

"Powiadają, że tymi, którzy patrzyli, byli Quetzalcoatl, którego przydomkiem jest Ecatl, oraz Totec, czyli Pan Pierścienia" oraz czerwony Tezcaltlipoca, oraz ci, co zowią się Wężami Chmur [26] Zebrała się tam grupka dziwnych istot o uciśnych imionach!

A więc znów pojawia się on, bóg Quetzalcoatl, nasz "pierzasty wąż", którego Majowie-Quiche nazywali Gucumatz, a mieszkańcy Jukatana Kukulcan - wedle legend była to postać uniwersalna: Aztekowie mieli władcę o imieniu Quetzalcoatl, ale początkowo nazywano tak kapłanów. Ponieważ zdarzenia związane z Quetzalcoatlem/Kukulcanem miały miejsce na przestrzeni ponad pół tysiąclecia, nie może tu chodzić o jedną i tę samą osobę.

Pradawne latające smoki

Pierwotny, prawdziwy Kukulcan był "niebiańskim wężem", "niebiańskim potworem", który "co pewien czas przybywa na Ziemię" [27]. Ta dziwna postać była od samego początku bardzo mocno związana z Itzamna, najpotężniejszym bogiem Majów, twórcą pisma i kalendarza. Itzamna był panem nieba, "który mieszka w chmurach". Przedstawiano go w postaci starego człowieka o ciele zdobionym symbolami planet i znakami astronomicznymi - boga tego uważano zarazem za rodzaj dwugłowego smoka.

Smoki szybujące w przestworzach były motywem wielu mitów starożytnych ludów - pojawiały się u Egipcjan, Babilończyków, Germanów, Tybetańczyków, Hindusów i Chińczyków, dla tych ostat nich stanowiły za dynastii Sung (420-479 r. po Chr.) symbol

cesarstwa. Smok był znany już w okresie dynastu Szang około 1400 r. prz. Chr.

Pamięć o boskich smokach zachowała się nawet do dziś w rewolucyjnych Chinach - z okazji najważniejszych uroczystości organizuje się pokazy latawców mających kształt smoka. W pyski tych potworów" sporządzone z ognioodpornego materiału, wkłada się pojemniki z łatwo palną żywicą albo pastą do butów: po jej zapaleniu powstają kominy cieplejszego powietrza, które unoszą latawce-smoki na dużą wysokość. Często ich "cielska" są naszpikowane ogniami sztucznymi - po niebie suną "monstra" plujące ogniem. To, co dziś uważa się za zabawę, było dawniej niezwykle skuteczną strategią wojny psychologicznej: płonące i plujące ogniem latawce wypuszczano nad wojska nieprzyjaciela, aby wywoływały wśród nich zamęt i popłoch.

Na temat motywu smoków, obecnego na całym świecie, powstał wiele spekulacji. Czyżby wszędzie istniała wspólna wszystkim ludom; prapamięć o dinozaurach, olbrzymich gadach kopalnych? Mało prawdopodobne! Dinozaury wymarły około 64 mln lat temu - w czasach, kiedy ludzie jeszcze nie istnieli [28]. Czy i jak te monstrualne gady latały, a do tego pluły ogniem? Pani profesor Sanger-Bredt zadała pytanie, czy motywu smoka obawiano się, bo wiązał się on z "widoczną na niebie

Drogą Mleczną. Czy to ów 'niebiański wąż' był powodem powstania mitów o stworzeniu świata, które opowiadały o smoku?" [29]

W żadnym razie! Astronomowie ludów otaczających wciąż smoka znali migoczącą spokojnie Drogę Mleczną pod zupełnie inną nazwą. Prawdziwy Kukulcan nie był jakimś tam pierzastym wężem, zrodzonym z fantazji pobudzonej piórami ptaka quetzala i łuskowatą skórą węża - nie, przekazy odwołują się do "latającego węża", który przybył z nieba, przekazywał ludziom nauki w wielu dziedzinach wiedzy, a odfrunął tam, skąd niegdyś przyleciał. Istnieją na to niezaprzeczone dowody.

Chichen-Itza, kamienna opowieść Majów

Chichen-Itza było jednym z najważniejszych ośrodków kultury

Majów na Jukatanie - wrażenie takie odnosi się nadal patrząc na wspaniałe, wyniosłe ruiny. W centrum budowli kultowych stoi piramida schodkowa o wysokości 30 m i kwadratowej podstawie o boku 55,5 m, poświęcona bogu Kukulcanowi - stanowi ona zarówno genialne odzwierciedlenie kalendarza, jak i zbiór wizerunków latającego węża.. Piramida wznosi się dziewięcioma tarasami, rozdzielonymi w środku każdego boku szerokimi schodami. Schody liczą po 91 stopni. Na najwyższym tarasie znajduje się jeszcze jeden stopień prowadzący do świątyni, której wejście obramowane jest dwiema kolumnami wyobrażającymi pierzastego węża.

Każdy dzień ma swój stopień. W ten sposób $4 \times 91 = 364 + 1$ - ilość dni w roku. Każdy z boków piramidy składa się z 52 artystycznie zdobionych kamiennych płyt, co odpowiada cyklowi kalendarza Majów. Budowla jest zorientowana tak dokładnie, że 21 marca, pierwszego dnia astronomicznej wiosny, i 21 września, pierwszego dnia astronomicznej jesieni, można ujrzeć, jak pierzasty wąż spełza, a potem z powrotem wpełza na piramidę. Ten dziwny spektakl ma następujący przebieg:

Osie piramidy są lekko odchylone od stron świata. 21 marca, mniej więcej na półtorej godziny przed zachodem słońca jego promienie padają na zachodnią ścianę piramidy. Światło i wydłużające się cienie zaczynają dochodzić do północnej elewacji piramidy, tworząc na niej węzowate kształty. Im niżej stoi słońce, tym bardziej fascynujące staje się to zadziwiające widowisko, które rokrocznie zwabia tysiące widzów.

O zachodzie cień schodów tworzy na dziewięciu tarasach najpierw trójkąty równoramienne.

Symbolizują one dziewięć części ciała Kukulcana. Następnie trójkąty przeobrażają się w zygzakowaty kształt, który - równie powoli jak powoli zachodzi słońce - spelza brzegiem schodów, na samym dole zaś, przy ostatnim stopniu, łączy się z potężną, kamienną głową boskiego węża.

21 września o wschodzie słońca na przeciwległej ścianie piramidy można podziwiać taki sam spektakl - ale wszystko przebiega w odwrotnej kolejności. Najpierw pod wpływem promieni słonecznych ożywa głowa pierzastego węża. Potem ciemny, kontrastowy zarys zaczyna pełznąć w górę - ku najwyższemu tarasowi. Po krótkim polycie w świątyni Kukulcana cienisty kształt znika - otoczony jaskrawym światłem słońca pierzasty wąż ginie w Kosmosie. Widowisko jest demonstracją wysokiego poziomu matematyki w służbie bogów: Kukulcan przybył kiedyś z Kosmosu, przez pewien czas przebywał wśród ludzi, a potem wrócił do gwiazdnej ojczyzny.

Genialna piramida Kukulcana dowodzi, że astronomowie, matematycy, architekci i kapłani uwiecznili w niej legendy swojego ludu. Świadczy o tym, że niepojęta wiedza teoretyczna związana z doskonałym technicznym know-how istniała tam od samego początku, że jej elementy nie podlegały ewolucji. Pod ruinami tej piramidy znajduje się piramida kolejna, nieco mniejsza, pochodząca z wcześniejszej epoki

- tak samo zorientowana astronomicznie.

Czy rozwiązanie zagadki tych budowli jest w ogóle możliwe bez zaakceptowania faktu, że przy ich powstawaniu pomagały budowniczym istoty pozaziemskie biegłe w technice?

Nic, absolutnie nic nie mogło być w trakcie budowy pozostawione przypadkowi czy przerabiane później. Bezbłędne musiało być już samo wyznaczenie miejsca na podstawę piramidy. Najmniejsza zmiana kąta spowodowałaby, że opisana przeze mnie gra światła i cieni nie dałaby zamierzonego efektu. Ale jak kapłani-astronomowie kontrolowali w każdej fazie budowy, czy wznoszona piramida nie odbiega od zasadniczego projektu i od szczegółowych wyliczeń? Nie można było tego zrobić korzystając ze zjawisk przyrody, bo wiosenne i jesienne zrównanie dnia z nocą zdarza się tylko raz w roku - a tylko wówczas można ujrzeć kształt spelzającego i wpelzającego Kukulcana. Nie było też gwarancji, że w te dni będzie pogoda - nawet słońce nie mogło być traktowane jako pewny punkt odniesienia. Nie, jeszcze przed rozpoczęciem prac musiały istnieć zatwierdzone plany, które wykluczały jakiegokolwiek odstępstwa od założonego projektu. A może prace przy budowie piramidy prowadzono posługując się modelami w skali?

Panowie, czapki z głów przed ludem z epoki kamiennej, który wykazał, jaką techniką dysponuje. O jej perfekcji świadczą te ruiny.

Biały Niedźwiedź powiedział, że upływ czasu jest dla historii jego ludu równie mało istotny jak dla stwórców - tym samym zwrócił uwagę na pojęcie nieskończoności w filozofii Majów. Budowniczowie Chichen-Itza utrwalali nieskończoność w kamieniu mając przecucie, że ich kulturę pochłona fale czasu, co zwiastowały Ksiggi Chilam Balam. Żeby więc ich posłannictwa nie zaginęły, zawierzyli wiadomości o bogach budowlom: świątyniom, piramidom i stelom... jak nakazali im to zrobić boscy nauczyciele.

Wszystkie meczety na świecie są zwrócone w kierunku Mekki. Jeśli kiedyś, w dalekiej przyszłości, pociągnięto by linie wzdłuż osi meczetów leżących w najróżniejszych częściach świata, to linie te skrzyżowałyby się przy Kaabie w Mekce. Nawet jeżeli kiedyś nie będzie już Mekki i Kaaby, to i tak linie będą świadczyć o tym, że w tym miejscu znajdowało się coś ważnego - centrum religii. Budując piramidy w Chichen-Itza Majowie osiągnęli taki sam cel.

Łamigłówka

Dotąd zajmowaliśmy się trzema źródłami, które przetrwały upływ czasu i orgie niszczenia, słynną księgą Popol Iuh, Księgami Chilam Balam oraz relacjami Bernardina de Sahagún. Zostały nam jeszcze staromeksykańskie rękopisy obrazkowe.

W czasach azteckich istniały w Meksyku szkoły świątynne, w których nowicjusze - podobnie jak średniowieczni mnisi w klasztorach dalekiej Europy - kopiowali stare, pożółkłe pisma przenosząc je na karty sporządzone ze skóry lub papieru z włókien agawy. Kiedyś istniały zapewne tysiące kopu takich rękopisów. Hans Biedermann, wybitny znawca historii Ameryki Środkowej, w pracy zatytułowanej Święte księgi starożytnego Meksyku przytacza słowa hiszpańskiego jezuita Francisco Xaviera Clavigera:

"Wszelkie pisma znalezione w Tezcucó ułożyli w tak wielkich ilościach na rynku, że ich sterta wyglądała jak niewielkie wzgórze. Potem je podpalili i pamięć o wielu naprawdę dziwnych, szczególnych zdarzeniach zamienili w popiół." [30]

Po tym auto dafe, w którym spalono całą górę ksiąg, pozostało na świecie około dwudziestu indiańskich rękopisów, z których co najmniej kilka sporządzono w czasach poprzedzających najazd Hiszpanów. Są to między innymi: Kodeks Iindobonensis (obecnie w Wiedniu), Kodeks Vaticanus (w Rzymie), Kodeks Columbinus (w Meksyku), Kodeks Egerton (w Londynie), Kodeks Tonalamatl (w Paryżu) oraz Kodeks Borgia (w Rzymie). Najszlachetniejszy i najlepiej zachowany jest Kodeks Borgia. Podobnie jak kodeksy Majów jest składany w harmonijkę. Każda z 39 obustronnie malowanych stron ma format 27 x 26,5 cm, po rozłożeniu tworzą one wspaniałą, ale zarazem dość długą - bo ponad dziesięciometrową - podręcznik historii.

Nie wiadomo, ile lat liczy sobie Kodeks Borgia i jak daleko w przeszłość sięgającego początki - tylko jedno wydaje się pewne: że pochodzi z Cholula. Tam, około 100 km na południe od stolicy Meksyku, stoi piramida Tepanapa, której podstawa jest większa od podstawy piramidy Cheopsa. Nie zdołano dotąd ustalić wieku piramidy, przebudowywanej z biegiem lat od piętnastu do dwudziestu razy - ta ogromna budowla jest tylko zewnętrzną powłoką piramid, które stały u jej prapoczątków. Równie zagadkowa jest w okolicach Choluli ornamentyka świątyń, pochodząca z Peru - "wzory szachownicy z meandrowymi obrzeżami schodów i frędzlowatymi obrzeżami" [31]. Peruwiańskie zdobienia na meksykańskich świątyniach sprawiają tym osobliwsze wrażenie, że ten sam styl można spotkać w Kodeksie Borgia. Skrupulatni fachowcy twierdzą, iż udało im się odczytać jedną trzecią

Kodeksu, odcyfrowywanie jednak wszystkich zabytków piśmiennictwa staromeksykańskiego jest niezwykle trudne. Badacz drepce w miejscu, kręci się w koło, często widzi rzeczy, których nie zdoła ujrzeć laik. Oto dwa przykłady:

1. Ilustracja 13 (wkładka) przedstawia drugą stronę Kodeksu Laud, znajdującego się w Bibliotece Bodleiana w Oxfordzie. W środku rysunku fachowiec tej miary co Biedermann rozpoznaje azteckiego boga deszczu Tlaloca:

"Charakterystyczne są dla niego (Tlaloca) obramienia oczu przypominające okulary i zęby sterczące ku dołowi z górnej szczęki. Górną wargę i zęby można wywieść od symbolicznego wyobrażenia chmury deszczowej i strug padającego deszczu!" [30]

Możliwe, że przedstawiono tu boga deszczu Tlaloca - tylko gdzie "zęby wystające ku dołowi"? Czy są to owe wijące się robaki? Nie rozumiem też, co wspólnego mają u licha "górną wargę i rzędy zębów"

z "symbolicznym wyobrażeniem" chmury i strugami deszczu.

W komentarzu czytam, że Tlaloc ma na głowie "hełm jaguara". Rzeczywiście, na rysunku mogę rozpoznać coś przypominającego hełm, ale gdzie jest jaguar? W lewej ręce bóg "trzyma ozdobny topór, którego ostrze wychodzi z pyska węża". Wąż długi, rozum krótki! Wziąłem do ręki lupę i spróbowałem skorzystać z tej interpretacji - z trudem znalazłem niewielki przedmiot przypominający nieco buławę: czyżby to właśnie był ów "ozdobny topór"? Ryciny mogą przedstawiać wszystko - powyższa interpretacja nie jest dla mnie przekonująca. Aha, bóg deszczu trzyma "w drugiej ręce białego węża, zapewne symbol błyskawicy". Za chwilę do tego dojdziemy...

2. Na ilustracjach 16 i 17 widzimy fragmenty Kodeksu liindobonensis. Il. 17 przedstawia według interpretatora szesnaście postaci i są to "oczywiście różne aspekty boga Quetzalcoatl" [30]. Zgodnie z tą nauką il.16 ukazuje "zstąpienie Quetzalcoatla na ziemię". Na samej

górce widać "niebiański fryz z wyobrażeniem dwóch dawnych bogów, między którymi kuca nagi jeszcze Quetzalcoatl". Ten sam niebiański fryz ma w środku otwór - z otworu zwisa coś jakby drabinka sznurowa, do której poprzyklejano "puchowe kuleczki". Nie potrafię zrozumieć, dlaczego te niewielkie, okrągłe kuleczki

- tak wyglądają pod mikroskopem - mają być "puchowymi kuleczkami". Jestem jednak skłonny w to uwierzyć, jeżeli tylko interpretator wykaże, że jest kolejnym wcieleniem azteckiego wychowanka kapłanów, który sam kiedyś tych puszków dotykał! Z obu stron drabinki sznurowej widać u góry dwie spadające "niebiańskie istoty". I wreszcie w lewym dolnym rogu można dostrzec Quetzalcoatla schodzącego - po drabince sznurowej? - w barwach wojennych, z tarczą, pałką i ozdobami. Postać Quetzalcoatla jest ujęta w wizerunki "świętyń i miejsG mistycznych".

Być może specjaliści zaakceptują i uznają tę interpretację za obowiązującą - nie mnie o tym sądzić, nie mogę się jednak wyzbyć podejrzania, że rysunki wyrażają całkiem odmienne treści. A może po prostu nie szukamy dość skutecznie rozwiązań nowych, opartych na współczesnym sposobie myślenia? Cóż bowiem znaczy stwierdzenie, że w każdym z swoich szesnastu "różnych aspektów" Quetzalcoatl nosi na głowie inne ozdoby. Ma to chyba istotne znaczenie. Gdyby było inaczej, to dawny kronikarz nie zadawałby sobie trudu przedstawienia aż tylu wariantów przystrojenia głowy Quetzalcoatla. Nagi, czarny Quetzalcoatl zaś jest otoczony nie tylko przez bogów - o ile w ogóle są to bogowie.

Cóż bowiem znaczą garby za jego plecami? Co ma sygnalizować wielka liczba osobliwych znaków, które go otaczają? Przeczytałem, że są to "znaki dzienne". Że są to znaki, to dla mnie jasne, tylko co mają oznaczać?

Staroamerykańskie rękopisy obrazkowe sprawiają na mnie wrażenie łamigłówek. Łamigłówka zaś - o czym możemy przeczytać w słowniku

- jest zabawką w postaci klocków lub kartoników z fragmentami rysunków, składających się na pewną całość. Cóż by to więc było, gdyby w przypadku tajemniczych azteckich znaków, które trzeba odcyfrować, chodziło - na przykład - o nieznane nam symbole znanych nam aminokwasów albo związków chemicznych?

Spośród proponowanych tu, częstokroć absurdalnych interpretacji ta ostatnia wcale nie wydaje mi się najbardziej szalona. Nie jest to zresztą moja interpretacja - jej autorem jest jeden z moich czytelników,

Helmut Hammer z Forchheim w RFN. Hammer przedstawił mi ją w jednym z listów.

Aneks

Najpierw z koperty wyjąłem fotokopię trzydziestej strony Kodeksu Borgia. Helmut Hammer zadał pytanie: "Nie widzi Pan tu nic szczególnego?" Nie widziałem. Poczułem się jak jeden z pierwszych

ludzi, któremu bogowie przestłoniли oczy, żeby nie mógł patrzeć zbyt przenikliwie. Dopiero później dowiedziałem się, że Helmut Hammer ma wzrok wyćwiczony z racji swojego zawodu - jest grafikiem. Obraz stanowi dlań zbiór elementów - on je rozczłonkowuje, aby następnie znów złożyć w jedną całość. Ma odpowiednie podejście do staromeksykańskich łamigłówek. Dostałem od niego pięć wariantów strony trzydziestej kodeksu. Każdy z nich ukazuje inne szczegóły, wyróżnione inną barwą. Ponieważ ekscerpty te wydały mi się interesujące i warte dyskusji, przedstawię tu odkrycie Hammera.

Rysunek nr 1 (il. 19) przedstawia dwadzieścia naków dziennych. Hammer zadał sobie pytanie, dlaczego dwadzieścia? "Przez przypadek istnieje dwadzieścia aminokwasów białkowych, które mają ogromne znaczenie dla budowy organizmów żywych." Znaki Azteków i Majów

[Istnieje znacznie więcej aminokwasów, ale białkowych, mających znaczenie dla budowy organizmów żywych, jest tylko dwadzieścia.]

są wieloznaczne. Być może te dwadzieścia symboli jest rzeczywiście dwudziestoma znakami dziennymi, nie wyklucza to jednak innej interpretacji. Wiadomo, że dwadzieścia dni stanowi zarówno podstawę kalendarza Majów, jak i Azteków. Wiadomo, że dwadzieścia aminokwasów stanowi podstawę budowy białek i komórek.

Na rysunku nr 2 znakiienne wyróżniono barwą zieloną i obrzeżono czerwonym szlaczkiem. Każdy aminokwas białkowy składa się z czterech pierwiastków - z wodoru, węgla, azotu i tlenu. W zależności od rodzaju aminokwasu dochodzą dwa pierwiastki dodatkowe - ale bez czterech podstawowych istnienie aminokwasu byłoby niemożliwe. "Czyżby właśnie to było powodem - pyta Hammer - że znakiienne zostały podzielone na cztery grupy?" Składniki podstawowe, czyli atomy, są zbudowane - mówiąc najprościej - z protonów, elektronów i neutronów. A jeśli atomy miałyby inną budowę i składały się nie tylko z czterech podstawowych elementów, to czy bez owej trójcy - protonu;

elektronu i neutronu - istniałby atom będący podstawą budowy całego Wszechświata? Jeżeli spojrzysz się na czerwony szlaczek, a następnie porówna rysunek z oryginałem, wówczas rzuci się w oczy, że za każdym razem dwa żółte punkty składają się na kuleczkę, a kuleczki te, atomy, są otoczone wszędzie czerwonym szlaczkiem.

Rysunek nr 3 ukazuje cztery ludziki pomalowane na czerwono. Są to bogowie stwarzający życie. Bogowie mają na plecach symbole związków chemicznych oznaczone kolorem zielonym. Wszyscy czterej trzymają w rękach pałki, na których końcach znajdują się aminokwasy wyróżnione zielonym kółkiem, a odbierane bądź przekazywane kolczastemu czemuś w środku rysunku.

Rysunek nr 4 ukazuje błonę komórkową wyróżnioną kolorem czerwonym i zawierającą przepony, których zewnętrzna strona jest zakończona wypustkami, mogącymi wyobrażać dopływ energii. Co druga wypustka ma kuleczkę złożoną z dwóch pierścieni, podstawowych elementów komórki. W jądrze widać zielono-czerwona wstęga przypominająca podwójną spiralę DNA.

Rysunek nr 5 przedstawia wnętrze komórki i jej składniki, z których najważniejszym jest kwas dezoksyrybonukleinowy (DNA), wielkocząsteczkowy nośnik informacji genetycznej. DNA składa się z zasad

- adeniny, guaniny, cytozyny i tyminy. Każda z tych czterech substancji faworyzuje inną formę kontaktu - adenina jest przyciągana przez tyminę, a guanina łączy się do cytozyny. Obie skłaniające się ku sobie są wyróżniono kolorem zielonym i czerwonym - czerwone zasady właśnie się wzajem oplótły. Poza czterema zasadami życiodajny łańcuch DNA składa się z nukleotydów, związków chemicznych zbudowanych z zasad purynowych lub pirymidynowych. W oryginale oznaczono je kropkami i pierścieniami. Przy dolnej krawędzi rysunku kwartet schodzi ze sceny - przekazuje informację

genetyczną dalej. W oryginale wyraźnie widać podstawowe zasady zamarkowane czterema barwami, zasady te po połączeniu - jak węże splecione wokół siebie - stają się jednością w podwójnej spirali DNA. Lecz wąż ucieka już od swojej partnerki. I to jest zrozumiałe. Łańcuch DNA posiadający komplet informacji genetycznych staje się samodzielny - sam wyrusza w dalszą drogę.

Czytelnik poczuje się nieco zbity z tropu skrótowością tego opisu, aroganci zaś uśmiechną się zapewne czytając spekulacje Hammera.

W tym miejscu chciałbym podać następujący przykład: Nad stworzeniem zamka błyskawicznego pracowali od 1851 roku doskonalili technicy -

Amerykanin E. Howe (1851),

Niemiec F. Klotz i Austriak F.

Poduschka (1883) oraz Amerykanie W.L. Judson (1893) i P.A. Aronsson (1906). Tymczasem zamek błyskawiczny nadający się do produkcji masowej stworzyli dopiero moi rodacy, C. Cuhn-Moos i H. Forster, którzy wcale nie byli technikami.

Dlaczego więc Helmut Hammer nie miałby wpaść na właściwy trop? Wyjaśnieniom natury biologicznej przeciwstawiłbym chętnie równie rzeczowe wyjaśnienie zaczerpnięte z archeologicznej i etnograficznej literatury fachowej, niestety komentarz do Kodeksu Borgia może nam zaoferować wyłącznie takie opisy:

"Czterej bogowie deszczu niosą trzy różne drzewa i jedną roślinę maguey. Kościanymi sztyletami wskazują cztery znaki dzienne, rozpoczynające ćwiartki tonalpohualli. Znajdują się one wokół czerwonej tarczy z gwiazdnymi oczami. Jest noc." [31]

Tak, jest noc. Takie interpretacje sprawiły, że od stu lat drepcemy w miejscu. Z rękopisów Majów i ze staromeksykańskich rękopisów obrazkowych wciąż wyskakują bogowie albo ich symbole, jaguary, magiczne znaki i zadziwiające hokus-pokus innego rodzaju.

Interpretacje archeologiczno-etnograficzne mogą oczywiście egzystować obok interpretacji natury przyrodniczej - "znaki dzienne" mogą przedstawiać i znaki dzienne, i aminokwasy. Nie wiem, czy tak jest, chciałbym tylko uchylić drzwi przed nowymi możliwościami. Jeżeli nawet jeszcze raz oświadczę, że nie potrafię ocenić, czy hipoteza Hammera ma sens, to i tak usłyszysz na pewno, że ludy zamieszkujące kiedyś tereny Ameryki Środkowej nie miały najmniejszego pojęcia ani o komórkach i ich budowie, ani o kodzie genetycznym - były to ludy epoki kamiennej.

Ponieważ nauce nie udaje się zasufladkować wypowiedzi Białego Niedźwiedzia, który znając historię swego ludu twierdzi, że na pierw. szym piętrze "uniwersytetu" w Palenque uczniowie słuchali wykładów zarówno na temat budowy organizmów żywych, jak i pierwiastków chemicznych, to pomija się je milczeniem. Wykładowcami byli Kaczynowie - nauczyciele przybyli z Kosmosu.

Zaakceptowanie powyższej hipotezy pozwoliłoby zrozumieć, że po stokroć przepisywane kodeksy są w istocie przekazywanymi z pokolenia na pokolenie podręcznikami.

"Mieć fantazję nie znaczy coś sobie wymyślać. To znaczy tworzyć coś z tego, co istnieje" - mawiał Tomasz Mann (1875-1955).

VI. Teotihuacan, wielkie miasto

zbudowane według boskich planów

Budowa zamków na lodzie nic nie kosztuje, lecz ich burzenie jest bardzo drogie.

Fransois Mauriac (1885-1970)

Kto przedziera się dziś przez chaos panujący w stolicy Meksyku, nie podejrzewa, że kroczy po ziemi uświęconej historią. Nie jestem pewien, czy mieszkańcy tego miasta zdają sobie z tego sprawę.

Największa metropolia świata, leżąca 2440 m.n.p.m. w dolinie Anahuac, ma około 18 mln mieszkańców - dokładna liczba nie jest znana, bo z każdego spisu wynika co innego. Eksperci ONZ obliczyli, że przy obecnej stopie przyrostu naturalnego w 2000 roku na powierzchni liczącej 1500 km² będzie żyło około 40 mln mieszkańców, o ile oczywiście metropolia ta - podobnie jak poprzednia, na której ruinach ją zbudowano - nie popełni do tego czasu samobójstwa.

Miliony ludzi duszą się w chmurach smogu - zanieczyszczenie powietrza jest przyczyną prawie 100 tys. zejść śmiertelnych rocznie. Meksykanie, potomkowie Azteków, z fatalistyczną obojętnością wciąż gają w płuca trujący gaz, jakby dawni bogowie nadal żądali od nich ofiar w ludziach.

Od szóstej rano aż do późnej nocy jazgoczą klaksony 3 mln samochodów osobowych - w wysokogórskiej kotlinie ich dźwięk wydaje się jeszcze bardziej przeraźliwy i szarpiący nerwy niż gdzie indziej. Ponad 20 tys. autobusów wypuszcza granatowoczarne chmury spalin, na które nie pomaga nawet prowizoryczna maska ze zwilżonej chusteczki do nosa. Około 17 tys. policjantów w błękitnych mundurach próbuje za pomocą przeraźliwych gwizdków i typowych dla południowców ruchów rąk pokierować ogromną lawiną blachy, która mimo wspaniale zaprojektowanych tras przelotowych porusza się bardzo powoli - znacznie wolniej niż konny zaprzęg przed stu laty. O tym, w jak wielkim niebezpieczeństwie znalazł się organizm tego miasta-molocha, świadczy światło, które wieczorami zaczyna migotać, a niekiedy zupełnie gaśnie. O tym samym świadczy przeciążona sieć telefoniczna - dodzwonienie się pod właściwy numer przypomina loterię. Zdradza to także woda, śmierdząca chlorem i chemikaliami niewiadomego pochodzenia. Jak widać, wielkie masy ludzi mogą się unicestwiać nie tylko podczas wojny.

Miasto Meksyk to także luksusowe hotele-pałace, "Camino Real"

i "El Presidente Chapultepec", w których mają filie najwykwintniejsze restauracje Paryża - "Maxim" i "Fouquet". Lecz kafeterie, bistra, wiele małych lokali z występami folklorystycznymi oraz nie zawsze zasługująca na zaufanie elegancja lśniących awenid są tylko parawanem dla nędzy i przeludnienia. Parę ulic dalej w slumsach gnieździ się bieda, o krok od wspaniałych zabytkowych katedr i kościołów ludzie mieszkają w budkach skleconych z byle czego, a na chodnikach eleganckich dzielnic z czasów kolonialnych siedzą żebracy.

W parku Chapultepec krzewy i ogromne prastare drzewa ahuehuate stoją w bujnej zieleni - pewnie przyzwyczyły się do powietrza zatrutego spalinami. Spacerowali tu niegdyś azteccy książęta, a na jednym ze wzgórz Montezuma II zbudował letnią rezydencję. Dziś w każdą niedzielę bogactwo spotyka się tu z nędzą. Dumni Meksykanie podziwiają fontanny, pływają łódkami po jeziorach, tańczą w rytm samby, wciągając w swoje swawole turystów. Artyści - i ci, którzy się za takich uważają - prezentują przechodniom swoje umiejętności śpiewa-

cze. Turyści widzą oryginalny meksykański styl życia pod gołym niebem - majówki na trawnikach, tańce, zabawy. Do obcych podchodzą chłopcy z koszykami albo drewnianymi pudełkami z pastą i szczotkami, prosząc błagalnym wzrokiem o pozwolenie wyczyszczenia zakurzonych butów. Jakby przeniesione z innego świata piękne dziewczyny o czar^lnych włosach, wielkich czarnych oczach i czarująco ciemnej skórze tańczą wśród tłumu niczym nimfy z pradawnych czasów.

Kieszonkowcy też robią tu dobre interesy: w sklepach jubilerskich przyjezdni kupują prawdziwe i fałszywe błyskotki - złodzieje odróżniają je bez pudła. Butiki wabią klientów szykownymi wystawami:

Obok siedzą biedacy w łachmanach - zmęczonym wzrokiem i gestem pomarszczonych dłoni błagają o

parę pesos.

Stolica Meksyku jest pełna kontrastów. Jedna trzecia mieszkańców żyje w slumsach. Oto na przykład podstołeczne osiedle Nezahualcoytl: wzdłuż drogi prowadzącej do Puebli biedacy mieszkają w chatkach skleconych z blachy falistej, z tektury, ze starych opon samochodowych, drągów i żelaznych prętów. Wszechobecny jest alkohol: pija się tequillę albo zabójczą pulque z agawy. Nic dziwnego - przy bezrobociu dochodzącym do 60%. "Mieszkańcy Mexico City muszą ciągle coś robić - powiedział mi jeden ze 150 tysięcy miejscowych taksówkarzy. - Kiedy nie mają nic do roboty, piją."

W pobliżu gniazda nędzy stoi wspaniały gmach Opery Narodowej.

Muzycy w kapeluszach z szerokim rondem i ubraniach lamowanych srebrem występują codziennie z koncertem na Plaza Garibaldi. Świetne budynki, jak Pałac Sztuk Pięknych, Casa de los Azulejos, zbudowany około 1600 roku, czy Palacio Nacional, wzniesiony na ruinach rezydencji Montezumy, katedry, kościoły i muzea - mówią o historii i dawnej świetności tego miasta.

Poza przerażającymi kontrastami stolica Meksyku oferuje przyjezdnym niepowtarzalny obraz Azteków i ich przodków. Nie istnieje kopia tego wizerunku. Oryginałem jest Meksyk, największe miasto świata.

"Miejsce, gdzie zostaje się bogiem"

W lipcu 1520 roku Hernan Cortes, zdobywca Meksyku, przeżył wraz ze swoim oddziałem 438 żołnierzy *noche triste*, smutną noc - pobity, upokorzony i ranny uciekał ze stolicy Azteków, Tenochtitlan. Umknął do Otumby leżącej 40 km na północny wschód. Ale w kilka dni później musiał znów stanąć na czele swojej bandy naprzeciw przeważających sił dwustutysięcznej armii Azteków. Ze wznieść, znajdujących się 2 km na południe od Otumby, na pewno zauważył niezwykle równomierny układ wzgórz. Nie wspomina o tym wprawdzie żadna z kronik, możliwe jednak, że Cortes jechał między pagórkami i pagóreczkami - nie przeczuwając, co kryje ziemia pod kopytami jego konia. Wiedzieli o tym Aztecy, ale nic nie mówili. Pagórkowatą okolicę określali słowem *teotihuacan*, czyli "miejsce, gdzie zostaje się bogiem". Bernardino de Sahagún napisał: "Nazywali to miejsce Teotihuacan, ponieważ chowano tu bogów" [1]. Pierwotna nazwa tego miejsca nie jest *defacto* znana - nie wiadomo, kim byli Teotihuakanie i skąd przybyli, nie wiadomo również, jakim mówili językiem [2].

Już za czasów azteckich Teotihuacan leżało w gruzach, porośniętych bujną trawą, mchem i krzakami. Aztekowie mylili się twierdząc, że Teotihuacan było miejscem pochówku ich dawnych bogów, olbrzymich istot. Teotihuacan było wszystkim, tylko nie nekropolą - przynajmniej do dziś nie znaleziono tu boskich grobów.

Pewne jest natomiast, że Aztekowie znali swoją dawną stolicę tylko z legend - na własne oczy ujrzeli dopiero jej ruiny:

"W czas nocy, gdy nie świeciło jeszcze słońce, gdy nie nastał jeszcze dzień, właśnie wówczas, jak powiadają, bogowie zebrali się na naradę w miejscu, które nazwano Teotihuacan, i przemawiali do siebie słowami: 'Przybądźcie, o bogowie! Kto się tym zajmie, kto weźmie to na siebie i sprawi, żeby zajaśniało słońce, żeby stał się dzień?'" [1]

"Boski piec" i masakry wśród Azteków

Z legendy można wnosić, że bogowie się bali, a przedsięwzięcie mające uratować słońce uważali za przygodę nader niebezpieczną.

W boskiej naradzie w Teotihuacan wzięli udział między innymi: Citlalinicue, bogini gwiazdowego

nieba, i czerwony Tezcatlipoca, bóg w gwiazdnej szacie. Wedle innej legendy na to ważne zebranie przybył podobno nawet Quetzalcoatl, Wąż Ozdobiony Zielonymi Piórami, bóg Księżycy i Gwiazdy Zarannej [3]. Podobno tylko dwóch bogów z szacownego zgromadzenia - Tecuciztecatl i Nanauatzin - oświadczyło, że są gotowi podjąć niezwykle ryzykownemu zadaniu.

Śmiałkowie przez cztery dni oddawali się pokucie, następnie wykąпали się w świętym stawie, a wreszcie natarto ich kredą i odziano w kosztowne szaty zdobione piórami. Tymczasem ich boscy koledzy przepalali

"boski piec", rozniecając potężny ogień - żeby wrzucić do środka obu bohaterów wypucowanych i wystrojonych z okazji całego przedsięwzięcia. Wśród ognia i dymu boskie ofiary zniknęły na firmamencie. Etnograf Karl Kohlenberg [4] widzi w tej legendzie "typowy przykład, jak w mitycznych opowieściach miesza się często skutek i przyczynę". Kohlenberg uważa poza tym, że opis ten mógłby równie dobrze przedstawiać countdown przed startem rakiety kosmicznej.

Dopiero tak nowoczesne podejście do problemu pozwala zrozumieć legendę: Najpierw bogowie poczuli się do winy za zniknięcie słońca, do czego przyczynił się zapewne wybuch Planety X bądź jakiejś dużej planetoidy. Potem uradzili, jak naprawić nieszczęście. Być może rozważali, czy odłam ciała niebieskiego da się rozdrobnić lub przesunąć na inną orbitę - byli jednak wyraźnie przytłoczeni ciężącymi na nich ewentualnymi skutkami takiej ingerencji i wybrali na ofiarę dwóch kolegów. Dwuosobowa załoga przygotowywała się przez dwa dni, a tymczasem pozostała część zespołu doprowadzała "boski piec" do gotowości startowej. Potem ochotnicy pojawili się w kosztownych ubraniach (skafandrach kosmicznych) i rzucili się do wnętrza "boskiego pieca". Wśród dymu i ognia "piec" zniknął w otchłaniach Kosmosu.

Według azteckiej legendy szaleńczo odważni bogowie-astronauci mieli kłopoty z wypełnieniem zadania. Pojawiły się trudności. W dzienniku pokładowym zanotowano, że strzała obcego gwiazdnego boga

"trafiła w czoło" jednego ze śmiałków, który runął w dziewięciokrotny prąd, w morze Zachodu". Bogom w centrum startowym nie pozostało nic innego, jak zaoferować siebie samych, bo tylko ich krew mogła na powrót obdarzyć słońce siłą i życiem.

Fakty z najdalszej przeszłości opisane w mitach doprowadziły Azteków do składania straszliwych ofiar z ludzi.

Przed podbojem Tenochtitlan Cortes utrzymujący jeszcze przyjacielskie stosunki z władcą Azteków, Montezumą, poprosił go o pozwolenie wejścia do największej świątyni znajdującej się w centrum miasta. Cortes był wstrząśnięty. Ściany świątyni były pokryte zakrzepłą ludzką krwią, najednym z kamiennych ołtarzy leżały trzy ludzkie serca. W przejściach cuchnęło gorzej niż w rzeźni, gorzej niż cuchnie tysiąc gnijących zwłok.

Kiedy Cortes schodził ze swoją świtą po schodach świątyni, ujrzał na jednym ze wzniesień wielki drewniany budynek. Wszedłszy do środka Hiszpanie dokonali makabrycznego odkrycia: od podłogi do sufitu poukładano tam ludzkie czaszki. Doliczono się 136 tys. reliktyw straszliwych masakr, jakich dopuszczano się w królestwie Azteków. Informację potwierdza Historia królestw Colhuacan i Meksyku:

"Tymi, których poświęcono na ofiarę, byli jeńcy. Umarło Indian:

Tzapteca	- 16 000
Tlappaneca	- 24 000
Huexotzinca	- 16 000
Tziuhcohuaca	- 24 400" [5]

Lecz co wspólnego miały ofiary z ludzi składane przez Azteków - co można udowodnić - z

upadkiem Teotihuacan, które nigdy przecież nie było miastem azteckim?

W Teotihuacan bogowie dla ratowania ludzi złożyli ofiarę z siebie. Własną krwią zapłacili za to, żeby znów zaświeciło słońce i żeby przebudziła się ziemia.

Ludzie zawsze i wszędzie szukali ideałów - często popełniając przy tym błędy. Także w tym przypadku wszystko im się poplątało, przyjęty sposób rozumowania zaprowadził ich na manowce: Składając ofiary bogom chcieli naśladować bogów, którzy złożyli w ofierze własne życie.

Źle zrozumieli legendę - myśleli i obawiali się zarazem, że słońce będzie dla nich świecić tylko tak długo, jak długo będą składali ofary tocząc rzeki ludzkiej krwi. To, co było właściwe bogom, wydawało się słuszne również dla ludzi.

Rytuały ofiarne Azteków i Majów osiągnęły niewyobrażalne rozmiary. Ludy Mezoameryki, obszaru, na którym rozwinęła się wysoka kultura meksykańska i kultura Majów, prowadziły wojny, żeby przygotować dostateczny zapas ludzkiej krwi", żeby "nie wyczerpywać rezerw ludzkich własnego plemienia [6]. Niedorzeczna żarliwość religijna doprowadziła je do przekonania, że słońce musi być "karmione" krwią.

Zgodnie z rytuałem dwóch silnych mężczyzn łapało ofiarę za ręce i nogi i kładło na plecach na ołtarzu ofiarnym. Ołtarz znajdował się zwykle przed niewielką świątynią na szczycie piramidy, aby jak najwięcej ludzi mogło obserwować tę rzeźnię. Kapłan, ubrany we wspaniałe, wielobarwne szaty przetykane drogocennymi piórami, zreźnie wycinał obsydianowym, bogato zdobionym nożem serce z piersi ofiary. Nierzadko wyciągał potem pulsujące jeszcze serce niczym trofeum ku słońcu - przy szczególnych okazjach z mordowanego ściągano skórę, którą następnie przywdziewał kapłan, żeby odtańczyć w niej obrzędowy taniec.

Hiszpańscy kronikarze opisali jeden z takich rytuałów Majów: Najpierw nic nie przeczuwająca ofiara tańczyła wespół z innymi członkami plemienia, potem stawiano jej na piersi biały znak i przywiązywano do drewnianego pala. W trakcie tańca, który trwał nadal, nieszczęśnik stawał się żywą tarczą - każdy z uczestników strasznej ceremonii wypuszczał strzałę, celując w poranione ciało, pomalowane teraz na błękitny kolor ofiarny. Następnie z piersi nieszczęśnika wycinano podziurawione serce.

Jeśli wziąć pod uwagę zamęt panujący w umysłach ówczesnych ludzi, nie powinno nikogo dziwić, że ofiary dawały się prowadzić na śmierć bez oporu, sądziły bowiem, że oddają swoją krew za życie słońca, a więc za dalsze istnienie swojego ludu. Niektóre z nich znajdowały się pod wpływem środków odurzających - nie wiedziały, co się z nimi dzieje.

We wszystkich większych siedliskach Majów i Azteków znajdowały się kostnice, gdzie przechowywano i pokazywano z dumą czaszki i kości. Świadczyły one o tym, że plemię nie przygląda się beczynnemu gaśnięciu słońca [7].

Wielkie miasto zbudowane według planów i nie mające historii?

Zanim po zakończeniu intensywnych obrad w Teotihuacan bogowie zniknęli we Wszechświecie, pozostawili plany ogromnego miasta - plany, które dopiero dzisiaj zaczyna się powoli rozumieć.

Nikt nie wie, kim byli architekci-kapłani, bo nikt nie potrafi powiedzieć, kto i kiedy rozpoczął budowę tej metropolii. W gąszczu twierdzeń, przypuszczeń i spekulacji Teotihuacan jest jednak uważane jednogłośnie za świadectwo najstarszej cywilizacji na Wyżynie Meksykańskiej oraz za miasto, które nie miało historii.

Laurette Sejourne kierowała przez kilka lat pracami wykopaliskowymi w Teotihuacan i na ich

podstawie opublikowała liczne prace. Píše ona między innymi:

"Prapoczątki tej wysokiej kultury giną w najbardziej niedostępnych mrokach tajemnicy [...]. Jeżeli z trudem możemy przyjąć, że cechy danej kultury - style architektoniczne, orientacja budynków oraz specyfika rzeźby i malarstwa - już na samym początku odnalazły ostateczny charakter, to jeszcze trudniej będzie nam sobie wyobrazić, że należący do tej kultury zespół przesłanek duchowych

- doskonale ukształtowany - ni stąd, ni zowąd po prostu nagle zaistniał. Nie dysponujemy dowodami materialnymi, które mogłyby zaświadczyć o tym zadziwiającznym procesie rozwoju."

[8]

Kto zainspirował budowę Teotihuacan? Czyżby "bogowie"? Teotihuacan było z całą pewnością największym miastem Mezoameryki - w okresie rozkwitu rozciągało się na powierzchni 25 km² i miało 200 tys. mieszkańców. Wedle obowiązującej teorii jego budowę rozpoczęto około 300 r. prz. Chr. Teotihuacan było potem rozbudowywane w trakcie pięciu etapów. Do około 600 r. po Chr. wzniesiono około 2600

budynków. Dziewięćset lat - od roku 300 prz. Chr. do 600 po Chr.

- stanowi okres dość długi, cały czas jednak kolejne pokolenia architektów i budowniczych trzymały się początkowych planów. "Posłuszeństwo" tego rodzaju można zrozumieć tylko wówczas, kiedy się przyjmie, że wszystko działo się w sferze wpływów potężnej religii, dominującej nad wszystkim.

Około 650 r. po Chr. Teotihuacan było w pełni rozkwitu. Doszło wówczas zapewne do powstania. Powody rozruchów nie są znane. Możliwe, że chłopci i pospółstwo zbuntowali się przeciwko władcom.

Możliwe, że niewolnicy, przyszłe ofiary mordów rytualnych, zaczęli się bronić przed samowolą kapłanów - możliwe jest także to, że miasto opanowali nieznani zdobywcy. Nie wiadomo. Przypuszcza się nawet, że to sami kapłani zniszczyli swoje świątynie [9], ale trudno byłoby znaleźć jakiegokolwiek przyczyny takiego postępowania. Wielopłaszczyznowa zagadka Teotihuacan staje się jeszcze bardziej zmatwana. Po straszliwych zniszczeniach mieszkańcy, a wśród nich chyba też kapłani, na pewno powrócili do miasta, udowodniono bowiem, że budowle wznoszono jeszcze po roku 650 [...] aż do chwili, kiedy około 800 r. Teotihuacan zniknęło z historii. Tylko niewielkie grupy ludzi mieszkały jeszcze w ruinach - potem i oni wywędrowali albo powymierali. Miasto bogów opanowała przyroda.

Zaledwie 40 km od Teotihuacan zaczęło się powoli organizować królestwo Azteków. Jego stolicą zostało Tenochtitlan. To na jego ruinach toczy się gwarne życie obecnej stolicy Meksyku.

Teotihuacan powinno się znaleźć w Księdze

Rekordów Guinnessa

Teotihuacan budzi zdumienie ze względu na swój wielkomiejski rozmach, z powodu zaś doskonałej infrastruktury może być uważane za cud. Dzisiejsi urbaniści mogliby się tu wiele nauczyć. Z północy na południe biegnie przez miasto trzykilometrowa wspaniała ulica mająca 40 m szerokości, a nazywana dziś Camino de los Muertos, Drogą Zmarłych. Jej obie strony obrzeżało luksusowe korso, na którym stały niewielkie piramidy i świątynie. W kierunku północnym bulwar wznosił się o 30 m - obserwator znajdujący się na południowym krańcu miał złudzenie, iż ulica prowadzi do nieba. Tak jest zresztą i dziś - kto stanie na dolnym krańcu, ujrzy "nie kończące się" schody, zlewające się z piramidą. Droga Zmarłych dochodzi bowiem do piramidy Księżyca, schodkowej budowli, której podstawa ma wymiary 150 x 200 m - znacznie więcej niż dwa boiska do piłki nożnej. Od strony południowej budowla wypiętrza się pięcioma tarasami, ich środkiem szerokie schody prowadzą na szczyt.

Patrząc od strony piramidy Księżyca po lewej stronie Drogi Zmarłych stoi najbardziej monumentalna budowla całej Mezoameryki: piramida Słońca. Piramida ma wysokość 63 m; podstawę o wymiarach 222 x 225 m i jest skierowana na zachód. Choć jest wyższa od piramidy Księżyca o całe 19 m, to jednak ktoś obserwujący panoramę Teotihuacan z jej szczytu odniesie wrażenie, że obie budowle są sobie równe - spowodowane jest to spadkiem Drogi Zmarłych.

Piramida Słońca jest potężniejsza od piramidy Cheopsa w Gizie. Masę zużytego na nią budulca - gliniane cegły suszone na słońcu

- ocenia się na milion ton. Trzon piramidy składa się z kamieni i gliny, powłoka z utwardzonej zaprawy murarskiej była prawdopodobnie kiedyś pokryta warstwą wapna.

To, co dzisiaj mogą zobaczyć w Teotihuacan turyści, jest wciąż zadziwiające, choć nieporównywalne z okresem rozkwitu metropolu. Piramidy i świątynie lśniły wtedy kolorami. Dziś na spłaszczonych wierzchołkach piramid nie ma świątyń, na piramidzie Księżyca nie ma trzymetrowej kamiennej fgury ważącej 22 tony, którą znaleziono i odkopano później u podnóża budowli. Na szczycie piramidy Słońca stał pierwotnie posąg boga, powleczony złotem i srebrem - posąg ten istniał jeszcze po przybyciu hiszpańskich najeźdźców, ale franciszkanin Juan de Zumagarra (1478-1548), pierwszy biskup Meksyku, kazał go zdjąć i przetopić [10]. Do dziś nie wiadomo, co to było za bóstwo. Aztekowie opowiadali Hiszpanom, że Teotihuacan było nekropolą ich królów i bogów. Na podstawie tych relacji archeolodzy przypuszczali, że w piramidach znajdują się bogato wyposażone grobowce.

W roku 1920, potem w 1930 oraz niedawno kuto w piramidzie Słońca tunele - ale grobów nie znaleziono. Jeżeli istnieją, to znajdują się zapewne głęboko pod piramidami.

Trzecim co do wielkości obiektem jest Cytadela, zespół budowli, w którego centrum znajduje się świątynia Quetzalcoatl. Nazwa

"Cytadela", nadana przez hiszpańskich najeźdźców, jest absurdalna - tak samo nie pochodzi od budowniczych miasta, jak określenia

"piramida Słońca" i "piramida Księżyca", a nawet Teotihuacan. Quetzalcoatl był latającym bogiem Azteków i Majów - Teotihuacan tymczasem miało tyle wspólnego z Aztekami, a "Cytadela" z fortem, ile świątynia hinduistyczna z Dworcem Głównym w Zurychu.

Wzdłuż czterystumetrowych boków Cytadeli budowniczowie rozmieścili od północy, południa i zachodu po cztery piramidy - do naszych czasów dotrwały z nich zaledwie ruiny. Na wzniesionym tarasie najciekawszą i najpiękniej zdobioną (po odrestaurowaniu) budowlą Teotihuacan jest świątynia Quetzalcoatl. Głowy węzów ozdobionych piórami suną po fryzach, maski demonicznych istot wytrzeszczają oczy z boku schodów i z reliefów, ciała węży pełzną wokół dolnej części świątyni. To, co widzimy dziś w oślepiającym blasku słońca jako biel, szarość i brąz, lśniło niegdyś wszystkimi kolorami tęczy - każdy bóg, każdy demon miał "swoją" barwę. Reliefy służyły nie tylko ku ozdobie - miały wymowę religijną. W monumentalnych budowlach i w ich szeregach zakodowano święte przesłania. Nic, absolutnie nic nie pozostawiono inspiracji artystów, wszystko było zgodne z planem.

Motywy zdobnicze wewnątrz i na zewnątrz świątyni Quetzalcoatl potwierdzają fakt, że wizerunek uskrzydłonego boga-węża był znany w Mezoameryce na długo przed pojawieniem się Azteków i Majów.

Motywy są prawie takie same jak późniejsze obrazy "prawdziwego" boga Azteków, Quetzalcoatl, którego Majowie określali mianem Kukulcan. Tym samym z repertuaru zwyczajowych twierdzeń na ten temat można wyeliminować "białego, brodatego mężczyznę", który za czasów Majów przywędrował podobno "stamtąd, gdzie wschodzi słońce" [11]. Możliwe, że za czasów Majów

przywędrował tujakiś biały, brodaty mężczyzna ze wschodu, mężczyzna, na którego wołano Quetzalcoatl - pierwszy jednak, pierwotny i prawdziwy Quetzalcoatl istniał już w epoce Teotihuacan. Dowodem jest samo miasto, choć z owych czasów przetrwały tylko rudymenty. Archolodzy są zdania, że ściany zewnętrzne wszystkich budynków były niegdyś zdobione artystycznymi posągami i symbolami. Znalaziono resztki wspaniałych reliefów z maskami i innymi ornamentami, a także okładziny ścian zewnętrznych pokryte lśniącymi farbami. We wnętrzach odsłonięto dotąd około 350 malowideł ściennych, fachowcy uważają jednak, że mogą ich być nawet dziesiątki tysięcy [12].

Za tarasami świątyn i za piramidami, obrzeżającymi wspaniałą Drogę Zmarłych, znajdują się budowle, które dziś uznano by za mieszkalne. Są to struktury, na które składają się układy izb i dziedzińców. Ustalono, że jeden kompleks obejmował przeciętnie 30 pomieszczeń, wykopaliska jednak odsłoniły i takie struktury, gdzie było ich 175. Do 1983 roku zarejestrowano 2010 kompleksów mieszkalnych - niektóre były połączone ze świątyniami i kaplicami. Te ogromne układy architektoniczne wyposażono w doskonały system wodociągów i kanalizacji. Odkrycie warsztatów garncarskich oraz narzędzi pozwala wyciągnąć wniosek, że mieszkańcy kompleksów byli grupowani według zawodu. Miasto liczyło 200 tys. mieszkańców, a garncarstwo było tu najprawdopodobniej kwitnącą gałęzią rzemiosła, pozwalającą nawet na eksport - aż w Gwatemali odkryto naczynia pochodzące z Teotihuacan. Była to metropolia tętniąca życiem - większa od starożytnego Rzymu w czasach Cezarów.

Najnowocześniejsza technika na tropie tajemnic

Amerykański archeolog Rene Millon z Uniwersytetu Rochester wpadł na genialny pomysł. Żeby usystematyzować położenie budynków odsłoniętych z labiryntu ruin, zmienił perspektywę obserwacji. Z samolotu dostrzegł układ infrastruktury i powiązania między poszczególnymi budynkami. Wraz z zespołem swoich ekspertów ułożył na podstawie setek zdjęć lotniczych mozaikę, która ukazała obraz fantastycznej metropolii: wyraźny stał się jej podział na cztery części. Droga Zmarłych tworzyła, jak wiemy, oś północ-południe, wielka ulica prostopadła do niej oś wschód-zachód.

Ponad 5000 mniejszych i większych kwadratów obrazowało położenie budynków mieszkalnych i warsztatów rzemieślniczych. Miasto przecinała sieć ulic krzyżujących się dokładnie pod kątem prostym. Dopiero teraz można było uzyskać prawdziwy obraz - we właściwym znaczeniu tego słowa - pradawnej metropolii.

Wiosną 1971 roku profesor Millon poprosił o pomoc kolegów z wydziału informatyki. Do banku danych wprowadzono 281 informacji podstawowych. Program odpowiadał na pytania, w którym z kwartałów Teotihuacan zarejestrowano takie same bądź podobne artefakty - wkrótce umiejscowiono 300 pracowni garncarskich i 400 warsztatów, w których zajmowano się obróbką obsydianu [13]. Przeprowadzono też kartograficzną inwentaryzację systemu irygacyjnego.

Archeolodzy są zdania, że Teotihuacan było miastem poświęconym bogu deszczu Tlalocowi - pewnie dlatego, że w tysiącach wodociągów płynęła woda. Rzeźba przedstawiająca tego boga tkwiła przez dwa tysiące lat zaklinowana między skałami w pobliżu wsi Coatlinehan, około 20 km od Teotihuacan. Dziś żółtobrazowe monstrum stoi na straży Narodowego Muzeum Antropologicznego w stolicy Meksyku. Posąg o wadze 168 ton przewieziono tam na platformie specjalnego pojazdu o 48 kołach, wypożyczonego z Teksasu. Rozmarzony Tlaloc trwa teraz, w półśnie, na swoim postumencie. Stracił gdzieś części rąk, a uszkodzenia twarzy sprawiły, że jest prawie nie do poznania - mimo

wszystko pod dolną szczęką zwisa mu coś przypominającego kosz o wielu otworach, z których niegdyś kapał deszcz. W pobliżu piramidy Księżyca znaleziono niedużą, bardziej poręczną wersję wielkiego i złowróbnego boga deszczu - na tej podstawie uznano, że Teotihuacan jest centrum obrzędowym poświęconym grubemu Tlalocowi. Pod czaszkami obu posągów krąży może najdziwniejsze myśli, w których nieustannie pojawia się pytanie, dlaczego ich wzór, Tlaloca, uznano za boga deszczu. To jednak pozostaje nadal tajemnicą bezradnej nauki.

Jakimi jednostkami miary posługiwali się urbaniści z Teotihuacan?

Teotihuacan okazało się zadziwiającym, wielkim, kamiennym "kosmicznym modelem" [14], schematem Układu Słonecznego. Amerykański badacz Peter Tompkins wykazał, że między budowlami kultowymi a firmamentem zachodzą zdumiewające związki [15]. Tompkins powołał się przy tym na ustalenia swojego rodaka Hugh'a Harlestona jr., który podczas wieloletniego pobytu w Meksyku poświęcił się rozwiązywaniu tej kwestii [16]. Będąc inżynierem założył, że projektowanie nie jest możliwe, jeśli nie dysponuje się jednostką miary... i rozpoczął poszukiwania jednostki, jaką posługiwali się urbaniści, którzy projektowali Teotihuacan.

Harleston odnalazł wszędzie jednostkę równą 57 metrom - długości liczące 57 m (bądź wielokrotność tej wartości) odkrywał albo na budynkach i tarasach świątyń, albo budowle były wzniesione w odległościach podzielnych przez tę liczbę: na przykład przy Drodze Zmarłych znajdują się charakterystyczne budowle oddalone od siebie o 114 m (czyli 2×57 m) względnie o 342 m (czyli 6×57 m). Mur Cytadeli natomiast ma długość 399 m (czyli 7×57 m).

Następnie zaczął szukać mniejszej jednostki miary - 57 podzielił przez 3. Iloraz, czyli 19, pasował do wielu mniejszych budowli. Z racji swojego zawodu Harleston był przyzwyczajony do posługiwania się przy projektowaniu jednostkami jeszcze mniejszymi, podzielił więc 19 najpierw przez 6, a następnie przez 3. Wyniki porównał z mapami sporządzonymi przez profesora Millona. Swoje poszukiwania prowadził do chwili, kiedy odnalazł najmniejszą jednostkę miary stosowaną w Teotihuacan. Wynosiła ona 1,059 m. Jednostkę tę Majowie nazywali hunab, co znaczy "jednostka". Tak udało się znaleźć klucz do planu miasta - Teotihuacan można było teraz "otworzyć" za pomocą hunab. Cokolwiek zmierzono, było wielokrotnością tej jednostki. "Żeby ujrzeć coś wyraźnie, wystarczy często zmiana punktu widzenia" - napisał Antoine de Saint-Exupery (1900-1944).

Odkrywając jednostkę miary Harleston znalazł nowy i zdumiewający punkt widzenia.

Piramida Quetzalcoatl, piramida Słońca i piramida Księżyca mają odpowiednio wysokość 21, 42 i 63 hunab - stosunek ich wysokości wynosi 1:2:3. Stopnie piramidy Słońca wznoszą się o wielokrotność

3 hunab. Komputer wyliczył rzecz zadziwiającą: bok rzutu poziomego piramidy Quetzalcoatl równa się jednej stutysięcznej biegunowego promienia kuli ziemskiej. W Cytadeli zaś Harleston odkrył różne trójkąty pitagorejskie, liczbę pi wraz z jej funkcjami i wielkość odpowiadającą prędkości światła (299792 km/s). Badacz zaczął ogarniać zdumienie, gdy ujrzał cyfry migające z ekranu monitora. Położenie piramid i tarasów Cytadeli odpowiadało przeciętnym odległościom od Słońca poszczególnych planet - Merkurego, Wenus, Ziemi i Marsa. Jeżeli przyjąć odpowiednią skalę, odległość Ziemi od Słońca równa się 96 hunab. Merkury leży w odległości 36, Wenus 72, a Mars

144 hunab.

Zaraz za Cytadelą sztucznym "kanałem", który jest dziełem budowniczych miasta, płynie strumień San Juan - odległość od kanału do osi Cytadeli wynosi 288 hunab, o dalsze 520 hunab leżą ruiny nieznannej budowli, ta zaś odległość, w skali, odpowiada odległości dzielącej Słońce od Jowisza. Mierząc od środka Cytadeli - wzdłuż Drogi Zmarłych w kierunku piramidy Księżyca - Harleston powinien był odkryć w odległości 945 hunab budowlę, która oznaczałaby położenie Saturna

- nic takiego tam jednak nie znaleziono. Czyżby należało uznać jego dotychczasowe wyliczenia za chimery? Ale w Bibliotece Narodowej w stolicy Meksyku Harleston odnalazł stare plany Teotihuacan

- w planach tych, dokładnie w wyliczonym miejscu, znajdowała się jakaś budowla - okazało się, że jej resztki usunięto podczas wyrównywania terenu pod budowę asfaltowej szosy, prowadzonej dla wygody turystów. Projektanci Teotihuacan nie zapomnieli o zamarkowaniu położenia Saturna.

O 1845 hunab dalej, na końcu Drogi Zmarłych, oś piramidy Księżyca wyznacza odległość dzielącą Uran od Słońca. Czyżby jednak projektanci zapomnieli o kamiennych punktach mających oznaczać położenie Neptuna i Plutona?

Tak zwana Droga Procesji za piramidą Księżyca jest przedłużeniem

Drogi Zmarłych i prowadzi między wzgórz. Hugh Harleston wraz ze swoimi pomocnikami przeszukał tam wszystkie zbocza. Gdyby znaj dował się tu jakiś znak, to należałoby go szukać w odległości 2880 hunab - punkt ten odpowiadałby położeniu Neptuna w Układzie Słonecznym. W końcu Harlestonowi udało się odkryć na dość charakterystycznym wzniesieniu Cerro Gordo wzgórze świątynne oraz, nieco wyżej, w odległości 3780 hunab, pozostałości wieży o kształcie phallusa, którą tubylcy nazywają Xochitel (Kwiat). W modelu nie zapomniano też o Plutonie. Już więc na samym początku budowy urbanis ci Teotihuacan zaprojektowali kamienny model Układu Słonecznego, w który włączyli

- poza osią północ-południe tworzoną przez Drogę Zmarłych a zamkniętą piramidą Księżyca - naturalną konfigurację terenu.

Staram się informować moich Czytelników o sprawach, które można zweryfikować. Dlatego chciałem się dowiedzieć, na ile prawdziwe jest twierdzenie Harlestona, że na Cerro Gordo istnieją charakterystyczne znaki.

W ciągu wielu lat niezliczoną ilość razy szedłem Drogą Zmarłych, często odkrywałem przy tym nowe, zdumiewające rzeczy. Kiedy znalazłem się tam latem 1983 roku, do przeszukania zboczy Cerro Gordo posłużyłem się lornetką, a potem teleobiektywem: brązowozielona barwa ochronna wzgórz nie świadczyła o tym, żeby znajdowało się tam coś szczególnego. Zapytałem jednego z handlarzy - którzy niezmordowanie wciskają turystom najróżniejsze pamiątki, przede wszystkim niewielkie gliniane fujarki - czy prowadzi tam jakaś droga? Sprzedawca powiedział, że muszę pojechać do przysiółka Otumbo

- stamtąd prowadzi na szczyt droga, którą transportowano kiedyś materiały do budowy stacji radarowej. Handlarz powątpiewał, czy uda mi się tamtędy przejechać, bo po drodze znajduje się teren wojskowy. Ale już wielokrotnie zdarzało mi się pokonywać nie takie przeszkody, jeżeli tylko uznałem, że mój cel jest naprawdę pasjonujący.

W trakcie jazdy wśród pól pełnych kaktusów gasiłem pragnienie niewielkimi, zielonymi owocami opuncji figowej, sprzedawanymi przez dzieci stojące na skraju drogi - owoce te są słodkie i podobnie jak cytrusy zawierają sporo witaminy C. Jest na nie chyba duży popyt, bo całe grupy kobiet i mężczyzn pakowały wielkie ich ilości do drewnianych skrzynek. Nie zauważyłem drogi, która z

Otumbo powinna prowadzić na szczyt. W pewnym miejscu skręciłem w lewo - w górę biegła wąska droga wyłożona kamieniami. Kozy i owce patrzyły w kierunku mojego volkswagena z równym zdziwieniem jak indiańscy pasterze. W połowie drogi, na linii rozciągniętej w poprzek wąskiej szosy, wisiała tablica z groźnym napisem: "Przejścia nie ma". Zapewne właśnie w tym miejscu zaczynał się teren zamknięty - odemknąłem go więc odwiązując linę.

W miarę zbliżania się do wierzchołka, chronionego przed ciekawskimi kolejnym ostrzeżeniem: "Zamknięty teren wojskowy", droga stawała się coraz bardziej stroma. Jak okiem sięgnąć ani żołnierza, dodałem więc gazu, aż opony zapisały na kamieniach.

Wychodząc z kolejnego zakrętu ujrzałem na szczycie wieży olbrzymią antenę radaru obracającą się - należałoby powiedzieć: "majestatycznie". Volkswagena zatrzymałem w zagłębieniu terenu z nadzieją, że nie pojawił się na ekranie obserwowanym przez dyżurnego. Byłem gościem nie proszonym, schyliłem się więc i przebiegając od drzewa do drzewa starałem się dotrzeć do przedłużenia osi Drogi Zmarłych, znajdującej się teraz dużo niżej. Piramida Słońca i piramida Księżyca wyglądały z góry jak dziecinne klocki. Droga Zmarłych jak wstążka, Po chwili znalazłem się blisko szczytu. Wspinałem się w skalistym terenie chwytając się za gałęzie - w końcu dotarłem do punktu, który leżał dokładnie na osi będącej przedłużeniem Drogi Zmarłych! Gdzieś stąd powinno być widać

- o ile twierdzenie Harlestonea miało rację bytu - symboliczne miejsce oznaczające położenie Plutona. Nic takiego nie widziałem. W górze było pusto aż do plateau, na którym stała stacja radarowa, zacząłem więc schodzić ostrożnie z powrotem, mając na celowniku Drogę Zmarłych. Stąd nie mogłem już nie zauważyć szczytu starej wieży o kształcie phallusa! Leżała tylko o kilka kroków niżej! Nie miała okien ani drzwi. Tynk odpadał ze ścian, odsłaniając brązowoczarne kamienie. Punkt oznaczający położenie Plutona w Układzie Słonecznym znajdował się dokładnie na przedłużeniu Drogi Zmarłych!

W zapale nie zauważyłem, że tymczasem niebo zaciągnęło się ciemnymi chmurami, które - zanim zszedłszy niżej zweryfikowałem ostatecznie punkt oznaczający położenie Neptuna - zaczęły się pośpiesznie pozbywać swojego balastu. Przemoczony do suchej nitki dotarłem do volkswagena, który - jak się tego obawiałem - ślizgał się raczej po wygładzonych kamieniach i wilgotnym mchu, niż jechał w kierunku doliny. Jak każdy Szwajcar nawykły do porządku, chciałem na powrót umocować linę z tablicą "Przejścia nie ma", ale zatrzymali mnie czterej żołnierze w dziuple:

- Czego pan tu szuka?
- Jestem turystą, chciałem zrobić z góry zdjęcie piramid - usprawiedliwiałem się.
- To zabronione!
- A tu jeszcze ten deszcz... - Próbowałem się uśmiechnąć.

Dziwi się fachowiec, laika ogarnia zdumienie

Czy jednostka, jaką wyliczył Hugh Harleston, pasowała wyłącznie do jego modelu? Czy chciał wprowadzić w błąd uczonych? Za pomocą liczb można udowodnić prawie wszystko. Dlaczego to niby dawni architekci mieliby projektować swoje olbrzymie miasto według uniwersalnego modelu? Archeolodzy komentowali obliczenia Harlestonea uśmiechem pełnym znużenia, dopóki inne obserwacje nie kazały im się nad nimi poważnie zastanowić.

Droga Zmarłych nie przebiega dokładnie w kierunku północ-południe, "odchyła się o 17a na wschód od północy" [18]. Tak samo zorientowane są budowle Teotihuacan. Nie byłoby w tym nic dziwnego i można by to uznać za szczególną cechę układu urbanistycznego

Teotihuacan, gdyby nie fakt, że takie samo odchylenie od osi północ-południe powtarza się w innych ośrodkach kultowych Mezoameryki - na przykład w Tuli, odkrytej na nowo stolicy imperium Tolteków, albo w Chichen-Itza, starym mieście Majów. Nawet kierunki wyznaczone przez staroindiańskie sieci katastralne wskazywały odchylenie od północy o 17° na wschód - nawet Hiszpanie zachowali tę zasadę, zakładając tu osiedla. Wykazano również, że ów siedemnastostopniowy system odchylenia uwzględniał drogi, pola, wsie, klasztory i monumentalne budowle. Profesor Franz Tichy, który analizował ów fenomen, twierdzi:

"Problem polega na tym, że zgodnie z takim mniemaniem sieci katastralne musiałyby się zachować przez ponad 2000 lat. W przypadku czysto kulturowo-religijnego znaczenia sieci katastralnych i urbanistycznych fakt ten byłby trudno zrozumiały." [19]

Gdyby uznać, że Majowie i Aztekowie skopiowali po prostu siedemnastostopniowy system z Teotihuacan, udałoby się rozwiązać zagadkę.

Ale ten rebus nie da się tak łatwo rozwikłać. Teotihuacan od dawna leżało przecież w gruzach, kiedy Majowie i Aztekowie budowali swoje nowe miasta. Poza tym, jeśli budowano je uwzględniając system współrzędnych, to dlaczego nie uwzględniono dokładnie kierunku północ-południe?

Droga Zmarłych - odchyłona o 17° na wschód - była osią północ-południe, a zarazem główną arterią miasta. Przy niej wznoszono najważniejsze budowle. Ta trzykilometrowa ulica biegła obok Cytadeli, której środek markował położenie Słońca, następnie wzdłuż strumienia San Juan będącego odpowiednikiem orbit planetoid, przez zalane asfaltem ruiny, oznaczające położenie Jowisza. Potem mijała piramidę Słońca markującą położenie Saturna i dochodziła do piramidy Księżyca oznaczającej Urana. Na zboczach Cerro Gordo - na przedłużeniu osi Drogi Zmarłych - znajdowały się budowle, oznaczające położenie

Neptuna i Plutona - na końcu tej linii odkryto na szczycie góry prastare indiańskie ryty naskalne.

Budowniczości Teotihuacan od początku uwzględniali w swoich planach modelu Układu Słonecznego konfigurację terenu. Oś biegnąca do szczytu Cerro Gordo musiała być zatem odchyłona od kierunku północ-południe o 17°. Bo nawet ci genialni budowniczości nie potrafili przеносić gór! "Że coś się dzieje, to nic. Wszystkim jest o tym wiedzieć" - chciałbym móc powtórzyć za Egonem Friedellem (1878-1938).

Nie daje to jednak odpowiedzi na pytanie, dlaczego Majowie budując swoje późniejsze siedziby - jak choćby Mayapan czy Chichen-Itza, leżące w dżungli Jukatanu, a oddalone o ponad 1000 km w linii prostej od Teotihuacan - uwzględniali nadal pogrzebany przed wielu laty system siedemnastostopniowego odchylenia na wschód. W miejscu, gdzie budowano te miasta, nie było dominującego wzniesienia - trudno też byłoby znaleźć inny powód trzymania się tej zasady. System zastosowano po raz pierwszy w Teotihuacan ze względu na ukształtowanie terenu. Później boski plan uznano zapewne w świecie Mezoameryki za obowiązujący wzór postępowej kultury miejskiej. Teotihuacan przestało mieć tylko "znaczenie czysto kulturowo-religijne - stało się wzorem projektowania struktur urbanistycznych.

Tajemnicze mapy

W ostatnich latach prowadzono badania wzgórz, stoków i szczytów gór. Wszędzie w pobliżu charakterystycznych punktów archeolodzy znaleźli indiańskie ryty naskalne, których przedłużenia tworzyły sieć nakładającą się na Teotihuacan.

Na szczycie Cerro Haravillas, 7,5 km na zachód od piramidy Słońca, odkopano blok skalny trzymetrowej długości, na którym był wyryty wizerunek słońca oraz dwa splecione i dwa

skrzyżowane pierścienie.

Z miejsca znaleziska nie widać piramidy Słońca, bo zasłaniają ją wzniesienia terenu. Kiedy jednak badacze w stronę zasłoniętej wzgórzami piramidy Słońca skierowali teodolit, odkryli na najbliższym pagórku kolejny blok skalny, na którym po dokładnych oględzinach znaleziono geometryczne ryty - były to "skrzyżowane" okręgi oraz trójkąt. Oś zaś przeprowadzona przez środek okręgów wskazywała dokładnie szczyt piramidy Słońca.

Pomiary i obliczenia pozwoliły odkryć kolejny cud! Jeśli pierwszego dnia astronomicznej wiosny spojrzymy z piramidy Słońca na zachód, to zachodzące Słońce znajdzie się na horyzoncie dokładnie nad charakterystycznym kamieniem. Podobne znaki odkryto również na Cerro Chiconautla, 14 km na południowy zachód, jeszcze inne znajdowały się nawet 35 km na północny wschód od Teotihuacan. W mniejszej lub większej odległości znajduje się ponad 30 punktów wiążących się w zagadkowy sposób z Teotihuacan. Znaki te jednak miały jeszcze inny cel: wskazywały gwiazdozbiory, przede wszystkim Plejady, oraz odległe miasta. Takie same ryty naskalne jak wokół Teotihuacan odkryto 720 km na północ, w pobliżu miasta Durango. Nie ulega wątpliwości, że całą Mezoamerykę - a przypuszczalnie nawet północne tereny USA i południowe Kanady - pokrywa geometryczna sieć. Na Big Horn Mountain w stanie Wyoming znajduje się tak zwane medicine wheel (koło medyczne), pasujące do układu współrzędnych Teotihuacan i ukierunkowane na gwiazdy Rigel i Aldebaran - spełnia zatem założenia innych znanych punktów orientacyjnych: są skierowane na Teotihuacan a zarazem mają związek z gwiazdami.

Opary z magicznej szkatułki

Teotihuacan było zaprojektowane jako centrum pewnego systemu geograficznego i kosmicznego. Oba te komponenty musiano ustalić przed rozpoczęciem budowy. Budowle - elementy składowe struktury urbanistycznej - nie mogły być przecież później "przestawiane".

Ustalenie daty przesilenia letniego i zimowego jest względnie proste:

wiadomo, że kiedy pręt wbity w ziemię rzuca najkrótszy cień, mamy 24 czerwca, kiedy najdłuższy - 21 grudnia. O ile więc słońce nie skryje się za chmurami, na uzyskanie prawidłowych wyników pozwalają proste, choć długotrwałe obserwacje. W przypadku danych dotyczących gwiazd stałych czy orbit planet do wyliczeń trzeba stosować kwadranty i inne przyrządy, konieczną jest też wyższa matematyka. Jeżeli zaś ma się zamiar namierzyć z dokładnością do jednego metra punkty dość od siebie odległe i niewidoczne z jednego miejsca, to na obserwacje potrzeba bardzo długiego czasu i wielu pomiarów - od jednego pagórka do drugiego, od jednego szczytu do drugiego - oraz odpowiednich przyrządów. A do tego stuletniego okresu dobrej pogody!

Często wpadają mi w ręce książki, w których mądrzy autorzy zwracają się zazwyczaj do młodzieży - bo tę najłatwiej otumanić. Autorzy ci twierdzą, że w przypadku zadziwiających obserwacji nieba i dokładnych kalendarzy ludów Mezoameryki wcale nie jest konieczne

"powoływanie się na tajemnicze techniki dla zrozumienia tej astronomii" [20]. Żeby wyjaśnić "powstanie piramid i pałaców nie trzeba się też wcale uciekać do utraconych tajemnic", bo wszystko było bardzo proste: ludy Mezoameryki epoki kamiennej zmagistrowały sobie z biegiem stuleci specjalne drewniane bądź kamienne przyrządy do obserwacji astronomicznych. Twierdzi się nawet, że orbity planet i ustalenie kątów było możliwe dzięki wykorzystaniu "strzelnic", takich jak znajdujące się w najwyższym pomieszczeniu obserwatorium w Chichen-Itza. Nawet całe zespoły budynków można było - jak na przykład w Uaxactun - dokładnie zorientować astronomicznie,

ponieważ "gdy obserwację przeprowadzano z wysokości jednego budynku, słońce wschodziło w określonym momencie za róg budynku drugiego".

Po przeczytaniu takiego tekstu człowiek zadaje sobie pytanie, dlaczego poważni naukowcy nadal zajmują się kontrowersyjnymi domysłami, skoro wszystko można wyjaśnić w tak prosty sposób. Czytelnik nie obeznany z problematyką dowie się co najwyżej, że wszystkie zagadki już rozwiązano. Wcale tak nie jest.

W bardzo przemyślny sposób, za pomocą kuglarskich sztuczek manipuluje się faktami, które zaistniały dopiero po wzniesieniu zagadkowych budowli. "Strzelnice" obserwatorium w Chichen-Itza powstały po wzniesieniu tej budowli. W Uaxactún Słońce dawało się namierzyć dopiero wówczas, kiedy można je było obserwować z wysokości innego budynku".

Ze szczytu piramidy Słońca w Teotihuacan do punktów odniesienia na firmamencie prowadzą teoretyczne horyzontalne linie obserwacji. Aby tak jednak było, musiano najpierw określić dokładnie miejsce budowy oraz wysokość piramidy, ponieważ linie kierunku obserwacji "objawiały się" dopiero ze szczytu piramidy. Budowla ta wszakże nie mogła - jak powstała później "strzelnice" - być przestawiona o kilka metrów, gdyby po ukończeniu dzieła okazało się, że linie kierunku obserwacji mijają się z punktami odniesienia.

O czym nie wiadomo...

W czasach wznoszenia Teotihuacan nie znano jeszcze takich planet jak Uran, Neptun i Pluton - ale miały one swoje odpowiedniki w modelu Układu Słonecznego. Uran został odkryty w 1781 roku przez astronoma-amatora, Fryderyka Wilhelma Herschla (1738-1822)

- z wykształcenia muzyka. W latach 1840-1845 obliczenia pozwalały domniemywać istnienie Neptuna, ale potwierdził je dopiero obserwacjami w 1846 roku w Berlinie Johann Gottfried Galle (1812-1910): Małeńki Pluton został odkryty w XX wieku - ma on średnicę zaledwie 6000 km, jest zatem znacznie mniejszy od Marsa i Ziemi, światło odeń odbite jest tak słabe, że nie widać go przez słabsze teleskopy. Dopiero w 1930 roku Clyde William Tombaugh (ur. 1906) z Obserwatorium Lowell w Arizonie po systematycznym przeszukiwaniu nieba za pomocą astrofotografii odkrył dziewiątą planetę Układu Słonecznego.

Ponieważ ani Majowie, ani ich przodkowie, ani nieznani budowniczy Teotihuacan nie mieli teleskopów, to logiczne, że nie mogli mieć zielonego pojęcia o istnieniu Urana, Neptuna i Plutona, nie mówiąc o obliczeniu odległości tych planet od Słońca. Fachowcy wiedzą o tym, unikają więc jak mogą dyskusji na ten temat. Są zdania, że albo wyniki badań Hugh'a Harlestone'a są sprawą przypadku, albo mieszkańcy Teotihuacan dysponowali zestawem przyrządów umożliwiającym ustalenie położenia najodleglejszych planet Układu Słonecznego.

Przed kilku laty pod centralnym punktem piramidy Słońca odkryto jaskinię, leżącą głęboko pod złożami lawy. W literaturze fachowej nie udało mi się znaleźć żadnych wzmianek, czy w owym podziemnym pomieszczeniu znajdowały się jakieś przedmioty. Nie kwestionuje się istnienia tej jaskini, lecz resztę pomija się milczeniem. Pomieszczenie to jest kolejnym dowodem, że wszystko w Teotihuacan budowano według ścisłego planu - świadczy ono również o niezwykle precyzyjnym wyborze miejsca budowy, które - że tak powiem - od pierwszego sztychu łopaty budowniczych uwzględniało warunki naturalne okolicy.

Mimo to raczej akceptuje się najróżniejsze wykrety, niż dopuszcza możliwość, że to przybysze z Kosmosu przekazali budowniczym metropolii plany budowy i inne niepojęte dane.

Jeżeli przyjąć, że istoty pozaziemskie obdarzyły tubylców wiedzą astronomiczną i umiejętnością budowania miast, to nasuwa się pytanie, co było ich zamiarem? Właśnie to, brzmi odpowiedź, co tysiące lat później stało się rzeczywistością: Mądrzy naukowcy powinni wyciągnąć z tej nauki

wnioski, właściwe wnioski. Inaczej nie będzie dowodu na to, że stan ziemskiej wiedzy osiągnął poziom pozwalający ludzkości wkroczyć w erę kosmiczną.

Résumé

Nikt nie kwestionuje istnienia zdumiewających danych zawartych w kalendarzach ludów Mezoameryki oraz informacji o planetach (Wenus!) i procesach zachodzących na niebie. Genialne tabele zaćmień w Kodeksie Drezdeńskim świadczą o tym, iż ludy te wiedziały, że Ziemia się obraca i że jest okrągła. Niezaprzeczalny jest również fakt, że w okresie tych wysokich kultur te same ludy - owładnięte obłędem religijnym - zarżnęły bez litości setki tysięcy (!) ludzi tylko po to, żeby zachować słońce przy życiu.

Sprzeczność jest wyraźna: albo dla Teotihuacan i Majów Układ Słoneczny był znany - w takim jednak razie bezsensowne byłyby oflary z ludzi. Ponieważ jednak spełniano je "dlaprzebłagania słońca", ludy te nie mogły rozumieć funkcji Słońca oraz krążących wokół niego planet. Lecz mimo to wiedziały o Jowiszu, Saturnie, Uranie, Neptunie i Plutonie. Czy jest więc możliwe inne rozwiązanie tej sprzeczności niż twierdzenie, że "bogowie" obdarzyli te ludy podstawowymi informacjami o planetach?

Teotihuacan budowano przez okrągłe tysiąc lat "w sześciu różnych fazach" [21]. Ale już w chwili rozpoczęcia budowy musiał istnieć projekt całości - w trakcie tysiącletniego okresu wznoszenia miasta nie powstało nawet kilka budynków, które stanowiłyby dowód odejścia od założonego planu. O jego rygorystycznym przestrzeganiu świadczą również motywy na reliefach i malowidłach, na przykład Quetzalcoatl i tapir, małpa, grzechotnik czy jaguar - wizerunki zwierząt nie występujących na Wyżynie Meksykańskiej, lecz w leżącej znacznie niżej dżungli gwatemalskiej. Cześć oddawana "pierzastemu wężowi" jest w Teotihuacan wszechobecna.

Można przyjąć, że mieszkańcy Teotihuacan przywędrowali w te okolice z nizin. Czcili kosmicznego boga, a wywodząca się stąd wiara była zapewne na tyle silna i wzbudzająca strach, że plan dany ludziom uważano za świętość. W legendzie można znaleźć informację, że w Teotihuacan odbyło się niegdyś spotkanie bogów, którzy radzili nad losem ludzi. Legenda mówi też o kamiennych oznaczeniach w okolicy Teotihuacan - a wszystko stało się "za sprawą boskich rąk" [22].

Nauczony doświadczeniem, chciałbym podkreślić, iż nie twierdzę, że Teotihuacan zbudowali "bogowie"! Ten zarzut zaraz wypłynie jak potwór z Loch Ness. Nie ma dla mnie nic dalszego od twierdzenia, że nasi przodkowie nie potrafili wznosić monumentalnych budowli.

Tak, to mieszkańcy Wyżyny Meksykańskiej zbudowali je na wysokości prawie 2400 m n.p.m. Przed imponującymi ruinami stajemy ze zdumieniem. Ale Indianie nie podjęli tego nadludzkiego wysiłku dla przyjemności. Harowali w pocie czoła, ponieważ tak zaplanował wszystko i zażądał bóg, który władał ich istnieniem - bóg, który niegdyś przybył z nieba jako "pierzasty wąż".

Oko nam zbielało

Gerardo Levet, meksykański inżynier, z którym przyjaźnię się od lat zwrócił uwagę na coś, co stało się później prawdziwą sensacją mojej wyprawy do Teotihuacan w 1983 roku. Najpierw jednak zaprosił mnie na wystawną kolację do "Hacienda de los Morales", jednej z najlepszych spośród wielu znakomitych restauracji stolicy Meksyku.

- Widziałeś już w Teotihuacan pomieszczenie wyłożone wielkimi płytami miki? - zapytał mnie przy aperitifie.

- Nie mam o tym zielonego pojęcia!

- Musisz je zobaczyć! Mój stary przyjaciel archeolog opowiedział mi o tym. Napomknął też, że przedstawiciele tej dziedziny wiedzy stoją wobec dziwnej zagadki. Chodzi o to, że w Meksyku mika prawie nie występuje, a w Teotihuacan stosowano ją na wielką skalę - wprawiając całe warstwy między skały. . . Z pomieszczenia wyłożonego miką prowadzą podobno dziwne rury do innego niewielkiego pomieszczenia...

- powiedział Gerardo w wielkim sekrecie, bo odkrycie uznano oczywiście za ściśle tajne. - Musisz się wszystkiego dowiedzieć. Bądź co bądź ci faceci z epoki kamiennej musieli dużo wiedzieć o szczególnych właściwościach miki, w końcu w naszym kraju jest jej bardzo niewiele, importujemy ją ze Stanów Zjednoczonych, z Brazylii i z innych krajów...

Po zrealizowaniu pierwotnego planu podróży pojechałem więc jeszcze raz do Teotihuacan. Z wielkich autokarów wylewały się tabuny turystów. Nie wiedzieli, jak wymijać natrętnych handlarzy - dawali się podpuszczać, zaczęli targować o zdecydowanie za drogie naszyjniki, bransolety, posążki bogów, dywaniki do modlitwy i gliniane fujarki.

W końcu godzili się na cenę wprawdzie trzy razy niższą od wyjściowej, lecz nadal o wiele za wysoką. Istnieje bardzo prosty sposób, żeby ich ominąć i poświęcić cały swój czas na oglądanie rzeczy naprawdę wartych uwagi: trzeba tylko wiedzieć, że handlarze - podobnie jak równie natarczywe indiańskie dzieci - mają swoje "rewiry". Zostają, gdy człowiek idzie dalej.

Żaden ze strażników nie słyszał o mikowej komnacie. Pomaszerowaliśmy zatem - dziennikarz i fotograf Helmut Werb, Ralforazja - prawą stroną Drogi Zmarłych pod górę, a potem lewą stroną z powrotem do Cytadeli. Jakiś przewodnik opowiadał właśnie po angielsku swojej grupie o polach magnetycznych, które wykryto wzdłuż bulwaru - odniosłem wrażenie, że był to człowiek mający niezłe informacje. Usłyszałem, jak mówi: "Stąd, patrząc od Cytadeli, znajdą państwo mikę zaledwie na kilometr przed piramidą Słońca. Jeżeli będą się państwo trzymali prawej strony, ujrzą państwo tablicę z napisem 'Mika'. Nie zobaczą państwo jednak mikowej komnaty, bo jest zamknięta dwiema żelaznymi płytami." Przypadkiem wskazano nam właściwą, a nawet oficjalną drogę.

W miejscu oznaczonym tablicą znajdowała się istotnie żelazna płyta broniąca dostępu do drugiej takiej samej, widocznej kilka metrów dalej - obie były zakotwione w ziemi za pomocą łańcuchów spiętych masywnymi kłódkami. Przeprowadziliśmy pośpieszną inspekcję okolicy. Zastanawialiśmy się właśnie, jak otworzyć kłódkę - jeśli to konieczne, nawet za pomocą łagodnej perswazji - kiedy ze spojrzeniem człowieka dysponującego odrobiną władzy zbliżył się do nas dozorca.

- Powiedz, że jesteś archeologiem! - syknął Helmut, który jako dziennikarz potrafi się znaleźć w każdej sytuacji.

- Przyjechałem ze Szwajcarii. Jeden z moich meksykańskich kolegów, archeolog, opowiedział mi, że pod tymi płytami znajdują się warstwy miki. Można je zobaczyć?

Gorliwy strażnik zaczął z wysiłkiem myśleć, z pęku kluczy, jaki mu wisiał u pasa obok noża w pochwie, wybrał jeden. Spojrzał na mnie badawczo, potem przyklęknął i otworzył kłódkę. Do podjęcia tej decyzji mogło go skłonić rzucone mimochodem słowo "archeolog" i zdumiewający fakt, że znałem tajemnicę kryjącą się pod ziemią. Odtąd Helmut fotografował wszystko, co wpadło mu w obiektyw.

Gdy promienie słońca wśliznęły się do podziemnego pomieszczenia, oślepił nas blask miki, której płytami wielkości 10-20 cm była wyłożona podłoga. Niespodziewany efekt zaskoczył nas ponownie,

kiedy strażnik podniósł drugą płytę. Teraz widzieliśmy wszystko dokładnie - kamienne mury sufitu były przełożone, jak kanapka, warstwami miki - stanowiło to jakby plafon z kamieni ułożonych jeden na drugim i połączonych zaprawą murarską, potem była około siedmiocentymetrowa warstwa miki, potem następowała kolejna potężna, półmetrowa warstwa kamieni.

- Jak głęboko sięgają warstwy miki? - zapytałem strażnika.

- Zbadano dwadzieścia dziewięć metrów, ale warstwy mogą sięgać dalej. Jak daleko, okaże się podczas kolejnych prac.

Strażnik nie zabronił mi nawet wziąć do ręki jednej z płytek

- rozpadła się jak kruchotka folia - nie była grubsza od błony filmowej. Płatki miki są przejrzyste, lecz silnie odbijają światło słoneczne. Tak, to właśnie jest muskowitz (vitrum muscovitum), minerał, który nasi dziadkowie nazywali "szkłem z Moskwy".

Muskowitz, czyli glinokrzemian potasu i glinu, występuje najczęściej w żyłach w pobliżu skał granitowych. Niewielkie ilości odkryto również w Szwajcarii w górach św. Gotharda i w Alpach Północnotyrolskich.

Wielkie złoża są w Indiach, na Madagaskarze, w Afryce Południowej, w Brazylii, w Stanach Zjednoczonych i nad Jeziorem Bajkał w Związku

Radzieckim. Kraje europejskie skazane są na import, podobnie jak wiele innych, w tym kraje Ameryki Środkowej, gdzie w górach dominują skały wulkaniczne. Skąd pochodzi mika, którą na tak wielką skalę stosowano w Teotihuacan?

Mika ma właściwości, które czynią ją prawie niezastąpioną: jest elastyczna, wytrzymuje do 800°C, nie szkodzą jej gwałtowne skoki temperatury. Jest też odporna na rozpuszczalniki organiczne i większość kwasów - przede wszystkim jednak stanowi doskonały materiał na izolatory - nie boi się łuku elektrycznego, prądów błądzących i wyładowań. Ze względu na przejrzystość i wytrzymałość na wysokie temperatury stosuje się ją na wzierniki wielkich pieców. W elektrotechnice zastosowanie płytek mikowych jest bardzo wielostronne - służą one na przykład jako izolatory w lampach elektronowych oraz w transformatorach i urządzeniach radarowych. Obok wielu innych zastosowań miki używa się także w technice komputerowej. Gatunki niższej jakości miele się na proszek bądź rozwarstwa i stosuje w przemyśle do produkcji żelazek, tosterów, pralek i jako dodatek do specjalnych gatunków szkła.

Czy budowniczowie Teotihuacan wiedzieli o tak wielostronnych możliwościach stosowania miki? Można to potwierdzić bez najmniej szego udziału fantazji, bo inaczej nie kładlibyśmy między warstwy kamieni! Skąd zdobywali tak wielkie ilości tego minerału, a w dodatku płytek tak dużych, skoro i dziś, przy zastosowaniu nowoczesnych metod wydobycia, płytki mające 30-40 cm² należą do rzadkości?

Co działo się w tym pomieszczeniu? Czy komora taka była tylko jedna, czy istniało ich więcej - jeszcze nie odkrytych - które zabezpieczono w ten sposób przed wpływami z zewnątrz?

Pomyślałem o dwóch możliwościach, ale żadna mnie nie satysfakcjonuje:

- W pomieszczeniu wytwarzano wysoką temperaturę, a ciepło nie powinno przedostawać się na zewnątrz. Mogło tak być w razie stosowania urządzenia do przetopu metali. Ale ponieważ najpierw rozgrzałby się kamienny sufit, to panujące tu ekstremalne temperatury można by "odczytać" i dziś. Należy więc zadać pytanie, czy archeolodzy rozpoczęli takie badania.

- A może pomieszczenie z przekładkowym suftem miało być izolowane od temperatur panujących na zewnątrz? Przeciwno takiej hipotezie świadczy jednak fakt, że nad warstwą miki znajduje się półmetrowy kamienny mur, który sam stanowi dostateczną izolację. Istnieje tylko jedno wyjaśnienie, sprawiające jednak wrażenie zupełnej fantazji: nad komorą panowała stale temperatura wieluset

stopni - lecz temperatura nie na tyle

wysoka, żeby stopić kamienie.

Czy przeprowadzano tu jakieś eksperymenty? Gerardo Levet dowiedział się od jednego z archeologów, że podobno dwie rury prowadzą stamtąd do podziemnej komory w piramidzie Słońca. Strażnik nic o tym nie wiedział, a sztolnia do piramidy była zamknięta żelazną kratą.

Czy pod termoodporną warstwą bogowie przechowywali jakieś urządzenia? Można też zadać pytanie spekulatywne: Czy było to centrum energetyczne Teotihuacan?

Niezależnie od tego, jak wiele zadamy pytań i jak niewiele otrzymamy odpowiedzi, bezsprzeczne jest, że projektanci i budowniczowie Teotihuacan znali właściwości miki - inaczej oszczędziliby sobie trudu stworzenia przekładkowej izolacji.

Czy "przeciwnika" można zaatakować jego własną bronią? Budowniczowie Teotihuacan byli podobno ludem epoki kamiennej, nie mogli więc ani nie powinni wiedzieć nic na temat wysokich temperatur pozwalających na topienie metalu - którego nie znali. Dla wszechwiedzących uczonych jest jasne, że nie mieli pojęcia o elektryczności. Czyż nie pozostaje nam nic innego, jak wyciągnąć wniosek, że pomieszczenie to stworzyły potężne nieznane istoty? Że KTOŚ musiał znać właściwości miki i źródło importu tego minerału?

Podjejrzana wydaje mi się tajemnica, jaką otoczono całą sprawę. Żelazne płyty. Kłódki. Większość strażników nie ma o niczym zielonego pojęcia... Proszę nie wyskakiwać z wyświechtanym wyjaśnieniem, że taki skarb trzeba chronić przed turystami! Wystarczyłoby dwóch strażników na dwie zmiany. W Chichen-Itza turyści mogą wchodzić gęsiego do piramidy, gdzie podziwiają kamiennego jaguara. Dlaczego więc tu nie zamontowano - mimo kosztów - kuloodpornych szyb chroniących ściany. A może chodzi tylko o uniknięcie zbędnych pytań?

"Oto cała bieda: głupi są tak pewni siebie, rozsądni tak pełni wątpliwości" - twierdził Bertrand Russel (1872-1970).

VII. Palenque: odkryte, lecz wciąż zagadkowe

Nauka robi się naprawdę interesująca dopiero tam, gdzie się kończy

Juslus von Liebig (1803-1873)

W 1773 roku hiszpański oddział zwiadowczy doniósł kościelnemu zwierzchnikowi okręgu, biskupowi Antonio de Solis, że koło miasteczka Tumbala - w dzisiejszym stanie Chiapas na samym południu Meksyku

- znajdują się nader dziwne kamienne domy, casas depiedra. Duchowny uznał wiadomość za nieistotną - mogło chodzić co najwyżej o prymitywne indiańskie chaty.

Informacja zaczęła jednak krążyć w formie plotki i w końcu dotarła do Ramóna Ordóneza, księdza w Ciudad Real. Ordóñez polecił paru swoim ludziom oraz miejscowym Indianom obejrzeć kamienne domy.

Po powrocie ekspedycja z zachwytem opisywała kapłanowi wieże, piramidy i hale, odkryte w odległości tylko dwóch leguas (8,76 km) od niewielkiej wioski Santo Domingo de Palenque.

Ordóñez napisał raport, który po długich korowodach spowodowanych drogą służbową, dotarł do Komisji Królewskiej Audiencia w Gwatemali. Następnie Audiencia wydała oficerowi nazwiskiem Antonio del Rio rozkaz przeprowadzenia dokładnych oględzin ruin - wyznaczyła też rysownika, który miał przenieść na papier kamienne dziwy kryjące się w dżungli.

Wprawdzie wieś Santo Domingo była odległa od celu wyprawy zaledwie o 6 km, ale gęstwina i pora deszczowa sprawiły, że droga przez zielone piekło zamieniła się w koszmar. Del Rio dotarł do celu dopiero 3 maja 1787 roku. Był to początek odkryć w Palenque - odkryć, które w trakcie ostatnich dwustu lat dały wiele sensacyjnych wyników. Mimo wszystko jednak zagadka tego miasta nadal oczekuje na ostateczne i prawdziwe wyjaśnienie.

Z początkiem maja 1787 roku kapitan del Rio dotarł wraz ze swoim zmęczonym oddziałem do ruin porośniętych dżunglą. Potrzeba było dwóch tygodni, żeby wyciąć ścieżki w gęstwinie i usunąć część zarośli. Wreszcie kapitan stanął "pośrodku rozległej polany i patrzył jak urzeczony na ruiny pałacu, prawdziwego labiryntu pomieszczeń i podwórców, wzniesionego na ogromnym tarasie z ziemi i gruzu" [1]. Ze stiuków pokrywających ściany pełne niezrozumiałych znaków i wizerunków tajemniczych postaci, spoglądały na intruzów okrutne twarze. Zewsząd kapąła woda. Kapitana i jego ludzi prześladowały chmary krwiożerczych moskitów. Del Rio starał się jak najszybciej wypełnić nieprzyjemne zadanie. Brutalnie zerwał w jednej z wież część podłogi i wdarł się do przyziemia. Na samą myśl o jego bestialskim postępowaniu archeolodzy po dziś dzień dostają gęsiej skórki.

"Łupem" padły 32 przedmioty, przekazane następnie Audiencji wraz z 25 rysunkami i relacją Antonia del Rio. W Madrycie dossier i skrzynie ze znaleziskami zniknęły w przepastnym archiwum. Kupa gruzów w Nowej Hiszpanii - jak nazywano w rodzinnym kraju zdobyte obszary - nie zainteresowała nikogo na madryckim dworze.

Biegiem wydarzeń rządził przypadek.

Czterdzieści pięć lat później relacja Antonia del Rio w niewyjaśniony sposób wpadła w ręce londyńskiego księgarza i wydawcy Henry'ego Berthouda, który w 1822 roku opublikował ją w formie niewielkiej książeczki. Nie zwróciła ona jednak na siebie najmniejszej uwagi. Archeologia jeszcze nie istniała. Badanie starożytności było hobby zamożnych ekscentryków bądź awanturników szukających skarbów.

Świat miał inne kłopoty, nie zwracał uwagi na odkrycia w dalekim Meksyku. Lecz mimo to książeczka wydana w Londynie odegra w tej historii jeszcze pewną rolę.

Na razie skupiskami ruin zainteresowały się meksykańskie placówki rządowe. Francuz Guillaume Dupaix, emerytowany oficer artylerii, otrzymał polecenie zajęcia się "niektórymi ruinami". W planie umieszczono również Palenque. Dupaix nie wiedział nic o zadaniu Antonia del Rio, miał jednak u boku - podobnie jak niegdyś Hiszpan - malarza, profesora Jose Luciano Castañedę. Dość dobrze wyposażona wyprawa trwała trzy lata - od 1805 do 1808 roku. Do prac wykopaliskowych werbowano miejscowych Indian, na których jednak nie można było polegać.

Dupaix dotarł do Palenque w 1807 roku. Mimo że dzięki żarliwym studiom znał osiągnięcia wysoko rozwiniętych kultur Meksyku, wstrząsnął nim imponujący widok zniszczonych i zarośniętych budowli. Dupaix przeprowadził gruntowną inwentaryzację, którą wspaniale zilustrował jego przyjaciel Castañeda. Kompendium wiedzy zdobytej w Palenque powinno było poruszyć członków meksykańskiego rządu, lecz nawet tutaj, w ojczyźnie zabytków, biurokracja przegapiła swoją szansę: relację Dupaixa wrzucono do szuflady. Być może dobrze się stało, bo Hiszpanie i Meksykanie zaczęliby się prześcigać w plądrowaniu stanowisk archeologicznych. Mimo wszystko jednak o Palenque nie zapomniano. Miejsce to odwiedzali podróżnicy i badacze, wśród których znalazł się w 1816 roku Alexander von Humboldt. Dopiero w ćwierć wieku później dla Palenque wybiła wreszcie godzina zero.

Biegiem wydarzeń rządził przypadek!

Statysta w głównej roli

W historii odkryć w Palenque decydującą rolę odegrał hrabia Jean-Frederic von Waldeck. W oczach współczesnych był uważany za osobę błyskotliwą i lubianą, kręgi mieszczańskie określały go natomiast jako "nieco szalonego". Nigdy się nie dowiedziano, skąd pochodzi

- puszczał w obieg nierzadziejże wersje życiorysu, wymieniając jako miejsce swoich urodzin raz Pragę, raz Paryż, innym razem Rzym. Być może nie miał kryształowej opinii, ale nikt nie wątpił w jego talent jako malarza i rysownika.

Hrabia spotkał w 1821 roku londyńskiego wydawcę Henry'ego Berthouda, który zamierzał opublikować relację kapitana del Rio. Berthoud poprosił von Waldecka o zrobienie ilustracji do książki. Artysta dostarczył mu wówczas 16 miedziorytów, które, jak nam już wiadomo, nie przeszkodziły, że książka zrobiła klapę.

Tymczasem relacja kapitana del Rio bez reszty o władnęła von Waldeckiem. Hrabia marzył tylko o jednym - wyjechać do Meksyku! Wyruszył w marcu 1822 roku, pozostawiając w Londynie rodzinę.

Zapoczątkował niezbyt udaną kwestę na rzecz Palenque, przyjął propozycję meksykańskiej spółki kopalnianej sporządzenia planów i szkiców sytuacyjnych - do tego pracował jako nauczyciel i portrecista. Ale znajdował jeszcze czas i chęć na szkicowanie meksykańskich zabytków. Chyba naprawdę był "nieco szalony".

Rząd udzielił przybyszowi oficjalnego zezwolenia na prowadzenie badań w Palenque. "W imieniu meksykańskiego rządu" von Waldeck prosił więc Indian o pomoc przy oczyszczaniu ruin, ci jednak chcieli pieniędzy - odległy rząd nic ich nie obchodził. Trzy tysiące dolarów meksykańskich, cały majątek von Waldecka, stopniały w palących promieniach słońca jak kawałek masła, tak mały, że nie starczyłby na posmarowanie kromki chleba. Nastąpiła całkowita plajta, lecz Waldeck nie przerwał pracy. Często pozostawiany sam sobie przez niesolidnych współpracowników, dręczony tropikalnym klimatem, torował drogę do pozostałych świątyń, dzień w dzień siedział z rysownicą na kolanach w piekielnym skwarze tylko po to, żeby utrwalić przeszło sto widoków

Palenque. Żeby się uchronić przed duchotą, gwałtownymi oberwaniami chmur i wściekłymi ukąszeniami robactwa, urządził sobie w ruinach jednej ze świątyń mieszkanie tak skromne, że przypominało więzienie. Od kiedy Majowie opuścili Palenque był pierwszym człowiekiem, który zamieszkał w "kamiennym domu"! Jeszcze dziś budowlę, w której zdomowił się von Waldeck, nazywa się z ciepłą ironią "świątynią Hrabiego".

Jean-Frederic, zafascynowany Palenque, jako pierwszy odkrył na stiukowych reliefach głowy słoni. Odkrycie to doprowadziło go do przekonania, że Palenque zbudował jakiś lud z Azji lub z Afryki. Głowy słoni wprawiają uczonych w zakłopotanie do dziś! Od 12 tys. lat w Ameryce Środkowej nie było ani słoni, ani mamutów! Stoimy wobec alternatywy: albo Palenque zbudował nieznany lud, który widział słonie na własne oczy... albo ma ono ponad 12 tys. lat.

Dyskusja na temat słoni von Waldecka - jeżeli wolno mi się włączyć

- jeszcze się nie skończyła. Specjaliści obdarzeni szczególnym wzrokiem, widzą w głowach słoni "maski bogów deszczu". Laik nie oślepiiony nauką, widzi to, co von Waldeck - głowy słoni.

Bez wątpienia na starych mezoamerykańskich reliefach znajdują się głowy słoni. Na jednej ze ścian ruin Monte Alban - 250 km na południowy wschód od stolicy Meksyku - zrobiłem zdjęcie głowy słonia z wyciągniętą trąbą [2] - fotografia jest tak jednoznaczna, że nikt nie może bzdurzyć o "masce boga deszczu". Chorobliwe majaczenia, że głowy słoni odkryte przez von Waldecka są "maskami bogów deszczu", nie załatwiają sprawy. Bo jak doszło do tego, że wizerunki głów słoni pojawiły się w Monte Alban? Monte Alban w dolinie Oaxaca i Palenque w dżungli Chiapas dzieli w linu

prostej prawie 500 km, a budowle w obumiejscowościach powstały mniej więcej w tym samym okresie, czyli 500 r. prz. - 600 r. po Chr.

W czasie dwuletniego pobytu w ruinach hrabia von Waldeck zakochał się w Palenque. Szalał, kiedy tubylcy zrywali ze ścian stiukowe płytki, żeby je sprzedać. Zazdrośnie patrzył na zwiedzających - nie znosił, kiedy obcy szkicowali "jego" dom.

Zubożały, zgorzkniały, lecz nadal pełen nadziei pojechał wiosną 1834 roku do Campeche, leżącego nad zatoką o tej samej nazwie, gdzie w 1517 roku wylądowali Hiszpanie - miał nadzieję, że uda mu się tam dobrze sprzedać swoje rysunki. Po przyjeździe dowiedział się, że rząd Meksyku, którego życzliwością cieszył się dotychczas, ustąpił, członkom zaś nowego gabinetu nie dowierzał. Dlatego na wszelki wypadek dał swoje rysunki do skopiowania, powierzając oryginały pewnemu brytyjskiemu urzędnikowi. Miał nosa. Wkrótce zjawiała się delegacja burmistrza, która zrewidowała jego rzeczy i skonfiskowała rysunki - na szczęście były to tylko kopie! Meksykańskie gazety zaczęły zarzucać von Waldeckowi, że jak barbarzyńca grasował po Palenque i potajemnie wywoził stamtąd skarby. Nie miało to nic wspólnego z prawdą.

Wściekły i rozczarowany von Waldeck wyjechał z ukochanego Meksyku i powróciwszy do Europy zamieszkał z rodziną w Paryżu. W 1838 roku opublikował Romantyczną podróż archeologiczną po

Jukatanie zawierającą wybór 21 rysunków, których oryginały udało mu się zachować.

Podobnie jak relacja Antonia del Rio również książka von Waldecka zwróciła na siebie niewielką uwagę. Czy należy to tłumaczyć tajemniczością wieści napływających z Nowej Hiszpanii, czy może opinii, jaka otaczała arystokratycznego globtrotera?... W światku Paryża padały na przyjęciach i takie pytania: "Madame, czy pani słyszała? W strasznych dżunglach Nowej Hiszpanii istnieją podobno prawdziwe kamienne ruiny!" Większość uczonych nie zwróciła wprawdzie większej uwagi na relacje von Waldecka, nieuniknione było jednak, że paru zaraziło się tajemnicą Palenque.

Z kim przestajesz, takim się stajesz

Jednym z zarażonych był John Lloyd Stephens. Ten niezwykle uzdolniony młody człowiek urodzony 18 listopada 1803 roku w Shrewsbury w stanie New Jersey w USA, mając zaledwie 19 lat zdał egzamin prawniczy w Columbia College i w dwa lata później - po odbyciu kilku podróży - rozpoczął pracę jako adwokat w kancelarii przy Wall Street. Stephens zdobył sławę jako prawnik, który wiedział, jak najlepiej przedstawiać chłodne argumenty w mowach obrończych, i był pewien wrażenia, jakie wywrą one na ławie przysięgłych. Zdawało się, że jest mu pisana wspaniała kariera adwokacka, lecz przyplątało się zapalenie strun głosowych. Teraz Stephens aż za często wyjeżdżał za radą lekarza do Europy. Podróże stały się jego namiętnością jeszcze podczas studiów.

Był w Rosji, Grecji, Turcji, Polsce, Egipcie i Ziemi Świętej. Nauczył się francuskiego i arabskiego, w Egipcie pracował jako przewodnik - pisywał stamtąd zabawne, lecz rzeczowe listy do przyjaciół w Stanach. Jeden z nich opublikował je bez wiedzy Stephensa w pewnym wydawnictwie: adwokat stał się od razu popularnym i niezależnym autorem książki podróżniczej.

W Londynie Stephens zwiedził wystawę "Panorama Jerozolimy", gdzie eksponowano cykl obrazów Fredericka Catherwooda, i nawiązał kontakt z malarzem, którego prace wywarły na nim wielkie wrażenie.

W parę dni później spotkali się w pewnej herbaciarni. Także Catherwood wiele podróżował, z

wojaży po krajach basenu Morza Śródziemnego przywiózł teki pełne wspaniałych rysunków przedstawiających zabytki starożytności. Podróżnicza pasja sprawiła, że obaj mężczyźni od razu zostali przyjaciółmi. Snuli plany. Dokąd poprowadzi ich nowa przygoda?

Catherwood znał zarówno relację kapitana del Rio, jak i książkę von Waldecka. Dzięki literaturze również Stephens dysponował wiedzą na temat Jukatany, poza tym znał urzędowy protokół badań politycznego awanturnika i archeologa z zamiłowania, pułkownika Juana Galindo, który tak naprawdę miał na imię John - urodził się w Irlandii w 1802 roku. Trzydziestoczteroletni pułkownik dołączył do protokołu opisy świątyń i ruin.

Obu mężczyzn, owładniętych pragnieniem wyruszenia w podróż i ciekawych zaginionego świata podniecała myśl, że świadectwa dawnej, wysoko rozwiniętej kultury mogą istnieć naprawdę. Lecz cóż by to była za kultura? Przodkowie Indian nie mogli budować pałaców. Któż więc zbudował wieże, świątynie i piramidy, o których pisali del Rio, hrabia von Waldeck, Dupaix i Galindo? Nowi przyjaciele byli zdecydowani zbadać całą rzecz jak najdokładniej.

John L. Stephens wrócił do działalności adwokackiej - starał się jednocześnie o stanowisko charge d'affaires Stanów Zjednoczonych przy Federacji Środkowoamerykańskiej w Gwatemali. Łut szczęścia i stosunki sprawiły, że pragnienie się spełniło. Został dyplomatą, otrzymał upragniony paszport, który w obcych krajach otwierał wiele drzwi, W jego bagażu znalazł się też plik listów polecających - lecz przede wszystkim mógł obciążyć budżet federalny znaczną częścią kosztów ekspedycji. Tymczasem do Nowego Jorku przybył Frederick Catherwood. Stephens dał mu do podpisania umowę, wedle której Catherwood miał być rysownikiem wyprawy, oraz zapewnił jego rodzinie stałą pensję.

3 października 1839 roku przyjaciele wyruszyli w podróż. Jej celem były kontrowersyjne ruiny pozostałe w Ameryce Środkowej po nieznannej kulturze.

Początek naukowych badań historii Majów

W trakcie dwóch długich i pełnych przygód podróży obaj namiętni badacze-hobbyści odwiedzili 44 zrujnowane miasta. Udało im się urzeczywistnić swój zamiar: ich dwie prace opublikowane w latach 1841 i 1843 zdobyły popularność zarówno w świecie nauki, jak i wśród zwykłych czytelników. Pierwsza książka [3] już w roku wydania miała 12 nakładów i przełożono ją na wszystkie ważniejsze języki. Stephens napisał pierwszy bestseller archeologiczny - same opisy Palenque zajmowały w nim przeszło 60 stron.

Turysta podjeżdżający dziś pod odrestaurowane ruiny taksówką albo autokarem z klimatyzacją, nie ma zielonego pojęcia o straszliwych trudach, jakie Stephens i Catherwood znosili tu przed prawie 150 laty.

Zaczynała się właśnie pora deszczowa, kiedy obaj przyjaciele - oraz kilku tubylców z pobliskiej wioski Santo Domingo de Palenque

- dotarli do ruin. Dziewiczy las był pełen wilgoci i parował. Z początku obaj mężczyźni nie potrafili nawet znaleźć "kamiennych domów"

ukrytych w gęstej, podmokłej dżungli.

Podobnie jak ekscentrycznemu von Waldeckowi również Stephensowi i Catherwoodowi nie pozostało nic innego, jak zamieszkać w ruinach. Pierwszą noc spędzoną pod dachem moskity zamieniły w piekło. Bagaże przesiąkły wodą. Wilgoć spowodowana bezustannym deszczem sprawiała, że buty, ubrania i rzeczy ze skóry pokrywały się pleśnią. Przedmioty z żelaza - oskardy, łopaty i noże - rdzewiały. Nie pozbawiony resztek humoru Stephens zapisał: "Na reumatyzm nie

będziemy długo czekać."

Nie mieli siekier do wycinania ścieżek - jedynym narzędziem była maczeta, duży i ciężki nóż z szeroką klingą o podgiętym końcu - mieli je Indianie, o ile się zjawili. Stephens płacił im 18 centów za dniówkę, ale tubylcy byli leniwi, przychodzili do pracy późno, kończyli ją wcześniej: "Niekiedy zjawiało się tylko dwóch albo trzech, ten sam rzadko przychodził drugi raz. W trakcie naszego pobytu przewinęli się wszyscy mieszkańcy wioski."

Do moskitów, tych "uprzykrzonych krwiopijców", dołączały w ciągu dnia jadowite węże, kleszcze i inne robactwo. Noce były równie przerażające. Nie można było zapalić świecy, ponieważ blask światła zwabiał miriady maleńkich dręczycieli - jedynie dym cygar utrzymywał owady na dystans.

Kiedy przedarłszy się przez gęstwinę krzaków, porostów i lian, dotarli do tarasów i piramid, znaleźli spękane kamienie, które zniszczyła sama przyroda, i mury rozbite przez kapitana del Rio. Stephens odkrył nawet miejsca, skąd wyszabrowano stiukowe zdobienia. Potem podziwiali posągi bogów lśniące jeszcze resztkami czerwonej, niebieskiej, żółtej, czarnej i białej farby. Widok demonicznych pysków i postaci przystrojonych piórami i skórą obdarzył ich pełnią szczęścia, jakiego tylko może doznać archeolog. Z zachwytem stawali przed ścianami, z których spoglądały na nich dzikie twarze, bezradni wobec tajemniczego labiryntu niezrozumiałych znaków. Posągi o dumnym i poważnym spojrzeniu domagały się respektu: "Zamarliśmy ze zdziwienia wobec ich pogodnego spokoju oraz niezwyklego podobieństwa do posągów egipskich". Mimo nasuwających się nieodparcie analogii z Egiptem Stephens był świadom niepowtarzalności kultury ludu, który zbudował Palenque. "To, co ujrzelśmy, było wspaniałe, zagadkowe i zasługujące na najwyższą uwagę."

Stephens uznał Palenque za imponującą spuściznę ludu, który się tu rozwijał i - bez jakichkolwiek wpływów z zewnątrz i bez nauczycieli

- pozwolił rozkwitnąć w całej pełni swojej kulturze. Nic nie wywarło na nim, powiedział, "w powieści dziejów większego wrażenia od tego spektakularnego, wielkiego i wspaniałego miasta". W stylu gawędziarskim i pełnym humoru Stephens dał dowody swojej rzetelnej wiedzy i wspaniałego daru obserwacji. Ilustracje Catherwooda uzupełniały opis precyzyjnymi wizerunkami obiektów. Catherwood był "pierwszym ilustratorem, który zaakceptował sztukę Majów i jej niepowtarzalny styl" [4] - owe ilustracje-dokumenty są niezastąpione nawet dla współczesnych badaczy, ponieważ detali, jakie przedstawiają, nie da się tak utrwalić nawet za pomocą fotografii. Zasługą Stephensa i Catherwooda jest "zapoczątkowanie naukowych badań historii Majów" [5].

Kiedy Stephens i Catherwood łamali sobie głowę nad tą kulturą, nie mieli nawet pojęcia o prawdziwych "cudach". Nie odczytano jeszcze hieroglifów, nie znano zadziwiającego kalendarza.

Palenque dziś

Odrestaurowany ośrodek obrzędowy leży na wzgórzach i sztucznych tarasach, rozdzielonych potokiem Otulum na część zachodnią i wschodnią. Już ten strumień jest pierwszym powodem do zdumienia.

Wodę Otulum skierowano podziemnym kanałem tak dużym, że czterech mężczyzn może w jego wnętrzu iść swobodnie obok siebie. Wyrafinowany system kanalizacyjny przejmował kiedyś także strumienie wody deszczowej spływającej z dachów świątyń - tylko o parę metrów na zachód od świątyni Inskrypcji woda była doprowadzana akweduktem i podziemnymi kanałami do "Pałacu".

Wielki Pałac, El Palacio, to wywierający ogromne wrażenie kompleks budowli wzniesiony na tarasie o kształcie trapezu i tak zagmatwany, że turystom zdarza się tu niekiedy stracić orientację.

Ta masywna budowla jest podzielona na wiele mniejszych i większych dziedzińców leżących na różnych poziomach - dziś określa się je mianem Dziedzińca Głównego, Dziedzińca Zachodniego, Dziedzińca Wschodniego i Dziedzińca Wieży. Dolna część - po stronie południowej - nosi elegancką nazwę Subterraneum.

W zachodniej, wydłużonej elewacji budynku dominuje pięć kwadratowych słupów dwumetrowej grubości, pokrytych stiukowymi płaskorzeźbami. Jeden z reliefów wyobraża Indianina w sandałach przywiązanych do nóg tasiemkami. Pod podeszwami sandałów widać najwyraźniej kółeczka. Odważny obserwator uzna, że są to wrotki.

W murach pozostawiono otwory w kształcie litery T, które - jakoby

- są symbolem boga słońca. Na Dziedzińcu Wschodnim znaleziono kamienną płytę o wymiarach 2,40x2,60 m, zdobioną 262 niepowtarzalnymi rytami Majów - są to sceny mitologiczne, głowy bogów, ludzie i zwierzęta oraz hieroglify kalendarzowe.

Gigantyczny Pałac dzieli się na trzy płaszczyzny, leżące jedna nad drugą. Płaszczyzna na poziomie gruntu ma 100 x 180 m [7].

Równie natrętne jak moskity były pytania o sens i cel Wielkiego Pałacu dominującego nad parnym Palenque. "Pytaj rozsądnie, a usłyszysz rozsądną odpowiedź" - twierdził z odważnym optymizmem grecki tragiczny Eurypides (ok. 480 - 407/406 r. prz. Chr.). Na rozsądne pytania jednak udzielano dotychczas raczej niezbyt rozsądnych odpowiedzi - twierdzono mianowicie, że były to mieszkania kapłanów, żeński klasztor albo pałac władcy.

Sensowniejszą wypowiedź usłyszałem z ust Białego Niedźwiedzia, który mówił o uniwersytecie istniejącym niegdyś w ojczystej miejscowości jego przodków - w Palatquapi. Najprędzej zaakceptowałbym właśnie taką interpretację. Pałac leży w centralnym punkcie miasta i znajdują się w nim sale najróżniejszej wielkości. Jest tam również

"woda bieżąca" i wiele kamiennych ubikacji, które rozmieszczono, że tak powiem, w strategicznych miejscach budynku - wszystkie są spłukiwane wodą, która odprowadza ekskrementy pod ziemię.

Biały Niedźwiedź opowiadał, że na parterze uczniom wykładano historię ich ludu, na pierwszym piętrze zapoznawano ich z wiadomościami z zakresu chemii i przyrody, na drugim uczono astronomii i matematyki. Lokalizacja uniwersytetu odpowiada umiejscowieniu Wielkiego Pałacu.

Z labiryntu pomieszczeń i dziedzińców wznosi się na podstawie

7,0 x 7,5 m piętnastometrowa wieża o masywnym cokole. Wieża ma trzy piętra po 2,5 m wysokości każde. Duże okna umożliwiają doskonałą obserwację stron nieba - znaleziony tu i zidentyfikowany hieroglif symbolizujący planetę Wenus świadczy niezbicie o przeznaczeniu wieży do celów związanych z astronomią.

Konstrukcja wieży nie jest typowa dla budownictwa Majów, stanowi unikat w ich architekturze. Dziś określa się ją mianem obserwatorium - dawniej klasyfikowano ją jako wieżę widokową bądź strażniczą. Na wieże obserwacyjne nadawałyby się bardziej piramidy na wzgórzach, bo wznoszą się jeszcze wyżej niż szczyt "wieży". Wież strażniczych Majowie nie znali, ich miasta nie miały fortyfikacji - były otwarte ze wszystkich stron. Zdziwiałe jest również to, że w wieży nie było wejścia na pierwsze piętro, wąziutkie schodki prowadziły od razu na piętro drugie i trzecie.

W podziemiach, nad którymi wzniesiono Wielki Pałac, obok pomieszczeń biegły korytarze. Najdłuższy z nich (20 m) kończy się przy ciągu schodów - ciąg ten przez otwór w podłodze prowadzi do centrum

Pałacu. Maista John E.S. Thompson przypuszcza, że "korytarze te były przeznaczone do przygotowywania spektakularnych sztuczek umacniających wśród wiernych siłę religii", mogły

jednak również służyć do odprawiania "obrzędów, wiążących się ze światem podziemnym" [8]

- drugą hipotezę uważa Thomson za bardziej prawdopodobną, bo korytarze ozdobiono reliefami, tajnych przejść natomiast nie opatrywano by dekoracjami. Dla archeologa Pierre'a Ivanoffa wszystko było znacznie prostsze: "Wzmiankowano też o istnieniu suterren czy raczej pomieszczeń piwnicznych, które jednak nie odznaczają się niczym szczególnym." [6] Jeżeli te podziemne korytarze nie odznaczały się "niczym szczególnym" - czy raczej: "nie odznaczają" - to dlaczego budowano je z takim trudem i ozdabiano reliefami? Ta bzdurna glosa to jeszcze nic - niektórzy twierdzą nawet, że owe niewielkie komory były "łaźniami parowymi" [5]. Sauna w klimacie, w którym przy najmniejszym ruchu pot tryska człowiekowi wszystkimi porami skóry! O, dobry, stary Eurypidesie, jakże się pan pomylił!

Nieco rozsądniej byłoby chyba uznać te pomieszczenia za niewielkie laboratoria, jakie są na każdym uniwersytecie, na którym wykłada się nauki przyrodnicze - a znajdują się one zazwyczaj właśnie w takim miejscu, żeby nieudane eksperymenty nie wyrządziły żadnej szkody. Podziemne usytuowanie byłoby idealne. Moja propozycja uznania podziemnych komór za laboratoria to spekulacja - ale teoria "łaźni parowych" nie może być już brana serio! Pozwolę sobie jeszcze skromnie dodać, że być może pomieszczenia te służyły jako magazyny, w których przechowywano wartościowe dobra, niebezpieczne energie...

albo po prostu rzeczy łatwo ulegające zepsuciu. Łaźnia parowa? Długo trzeba myśleć, żeby wpaść na coś takiego.

W Pałacu odkryto także system rur kanalizacyjnych. Prawdopodobnie w czasach, kiedy budynek tętnił życiem, istniał tu system wentylacyjny - "powietrze" w podziemiach zapiera dech w piersi. Zaakceptowanie przemyślanego systemu wentylacyjnego pozwoli wreszcie rozwiązać nie wyjaśniony dotychczas problem oświetlenia podziemnych korytarzy Pałacu - jeśli była tam dostateczna ilość tlenu, to mogły się palić żywiczne pochodnie, jakie stosowali Majowie! Kwadratura koła: żywiczne pochodnie zakopciłyby niechybnie reliefy, tymczasem nie widać na nich nawet najmniejszego śladu sadzy. Sądzę, że panowie z wydziału archeologii powinni przemyśleć problem oświetlenia stosowanego przez Majów. Nie odkryto tu jeszcze czegoś niezwykle istotnego. A może powinien wkroczyć Scotland Yard?

Nazwy: dym to i mary

Literatura naukowa stosuje wynalezione przez siebie nazwy świątyń i piramid z taką oczywistością, jak gdyby przejęła je od budowniczych.

Ale pierwotne nazwy tych budowli wcale nie są znane - nawet nazwa Palenque nie pochodzi od założycieli miasta.

Palenque znaczy po hiszpańsku "ogrodzenie" albo "plac turniejowy", niekiedy tłumaczy sięje również jako "miejsce palisad". Fachowcy są zdania - i słusznie - że nazwa Palenque została przejęta od pobliskiej wsi. Kiedy pierwsi osadnicy hiszpańscy zakładali nową wieś, miejscowość ta nie nazywała się Palenque, lecz Santo Domingo.

Dopiero 20 lat później księża ochrzczili to miejsce mianem Santo Domingo de Palenque. W XVI wieku ta zapadła dziura w dziewiczej puszczy tropikalnej na pewno nie była "placem turniejowym", trudno zaś uznać, aby w drodze wyjątku zaopatrywano ją w "ogrodzenie".

Nazwa "miejsce palisad" też nie wchodzi w grę, bo ówczesny przysiółek Palenque na pewno twierdzą nie był.

Czy istnieje rozwiązanie tego dylematu? Sądzę, że tak!

Koronnym świadkiem historii Majów będzie dla mnie znowu Biały Niedźwiedź. Biały Niedźwiedź opowiada, że za czasów jego dawnych przodków miejsce to zwano Palatquapi, a mieszkali tam Kaczynowie, przybysze z Kosmosu. Czy na tej podstawie nie można przyjąć, że to właśnie Indianie przekazali hiszpańskim osiedleńcom stare określenie Palatquapi, a Hiszpanie zrozumieli to słowo tak, jak je usłyszeli? W ten sposób Palatquapi mogło się przeobrazić w Palenque, a z Santo

Domingo mogło powstać nowe określenie Santo Domingo de Palenque. Ruiny Palenque leżą nadal tylko o 10 km od Santo Domingo de

Palenque, które tymczasem rozrosło się w niewielkie miasteczko przy linii kolejowej Coatzacoalcos-Campeche. Z Villahermosy, stolicy stanu Tabasco, można dotrzeć do naszego celu autobusem po przejechaniu szosą 108 km, latają tam też dwusilnikowe samoloty.

Po tym wyjaśnieniu nie można już traktować takich określeń jak "świątynia Krzyża", "świątynia Liściastego Krzyża" czy "świątynia Słońca" jako nazw nadanych przez budowniczych - oni nie mieli z nimi nic wspólnego.

Świątynie, świątynie - cyfry, cyfry

Na najwyższym z czterech poziomów piramidy stoi świątynia Słońca o kwadratowej podstawie 23 x 23 m. Ściany świątyni mają 1 m grubości, do zwieńczenia dachu budowla wznosi się na 19 m, szczyt przedni

- podobnie jak ściany boczne - jest zdobiony wspaniałymi stiukowymi reliefami. Do wnętrza świątyni, do sanktuarium prowadzą trzy wejścia. Po obu stronach wejścia środkowego ściany są pokryte płaskorzeźbami przedstawiającymi dwie bogato przystrojone postacie naturalnej wielkości. W niewielkim pomieszczeniu znajduje się Tablica Słońca, od której wzięła nazwę świątynia.

Tablica Słońca to zachowany w dobrym stanie relief o wymiarach 3,0 x 1,1 m wyobrażający tarczę, na której krzyżują się dwie włócznie zdabione piórami. Podobno wizerunek ten przedstawia Słońce Jaguara. Zadałem sobie bardzo wiele trudu, żeby rozpoznać tam słońce lub jaguara - bez skutku. W takich sytuacjach trzeba mieć wzrok specjalistów, żeby zrozumieć, o czym piszą w swoich uczonych komentarzach. Z prawej i lewej strony kompozycji kapłani stoją na ciałach niewolników" [9]. A może są to wizerunki bogów wędrujących na barkach ludzkości? Nic nie jest tu zdefiniowane do końca.

Scenerii dopełniają cykle hieroglifów. Światowej sławy archeolog-maista Herbert J. Spinden odczytał z inskrypcji - obok dat późniejszych, jak na przykład rok 613 prz. Chr. i 176 po Chr. - datę sięgającą znacznie dalej w przeszłość: 13 października 3373 prz. Chr. [10] W

trakcie dyskusji uczeni przyjęli jednak za najstarszą znaną datę dzień

I 1 sierpnia 3114 prz. Chr. - jest to początkowa data chronologii

Majów.

Na świątyniach w Palenque jest tak wiele dat, że nawet specjaliści nie zawsze mogą się w nich połapać. Niewątpliwa jest data urodzin władcy Majów, Pacala, który przyszedł na świat około 603 r. po Chr., zmarł zaś około 683 roku. Odczytano też datę upadku Palenque - ostatni hieroglif podaje rok 780 po Chr.

Profesor Spinden odczytał następujące daty:

- w świątyni Krzyża

7 lutego 3379 prz. Chr.

8 kwietnia 3371 prz. Chr.

21 grudnia 2619 prz. Chr.

- w świątyni Słońca

25 grudnia 2619 prz. Chr.

- w świątyni Liściastego Krzyża

8 stycznia 2618 prz. Chr.

20 kwietnia 2584 prz. Chr. Jeśli nawet według najświeższych teorii od każdej z tych liczb należy odjąć 260 lat, to mimo wszystko będą to daty sięgające bardzo daleko w przeszłość - i nie wiadomo dlaczego Majowie uwiecznili je na swoich budowlach. W czasach określanych przez daty odczytane w Palenque Majów jeszcze nie było!

W tej sytuacji odważę się przedstawić skromny postulat. Mądry Indianin Hopi, Biały Niedźwiedź, opowiada, że przodkowie jego ludu wędrowali z Ameryki Południowej kierując się ku Ameryce Środkowej. Może Indianie ci utrwalali najważniejsze daty swojej wędrówki? A może ów złowróżbny początek kalendarza Majów -11 sierpnia 3114 r. prz. Chr. - oznacza dzień, w którym z nieba zstąpili Kacznicy? A może

21 grudnia 2619 r. prz. Chr. oznacza dzień, w którym przodkowie

Majów wylądowali na wybrzeżach Ameryki Południowej, kiedy ich ojczysty kontynent,

Kasskara, pogrążył się w morzu? A może dzień 20

kwietnia 2584 r. prz. Chr. oznacza datę wyruszenia Indian w wielką wędrówkę z południa na północ?

Tego nie wiemy. Ale z dużą dozą prawdopodobieństwa można wykluczyć, że w przypadku danych z inskrypcji chodzi o daty fikcyjne, bez związku z rzeczywistymi zdarzeniami: daty te są za dokładne, poza tym jest ich za dużo. Jeżeli istniałaby tylko jedna taka data, którą twórcy kalendarza umieściliby w miejscu fikcyjnego początku chronologii, wówczas - wprawdzie z niechęcią - byłbym skłonny uznać, że to możliwe. Ale zagadkowy zbiór dat obejmujący tysiąclecia nie daje podstaw do przyjęcia hipotezy o fikcyjności datowań, co fachowcy przypisują kapłanom Majów.

W Palenque odkryto i odczytano cykle astronomiczne. Znamienne są okresy liczące 7260 i 144000 dni [11], odnaleziono jednak cykle liczące 18700, a nawet 370000 lat [12]. Po odczytaniu pewnej inskrypcji z wyliczeń wynikało, że jeden z cykli liczył 455393401 dni - proszę sobie tylko wyobrazić, że są to - jeżeli nie uwzględni się lat przestępnych - 1247653 lata.

Cykle tak długie nie mają na pewno nic wspólnego z historią ludzkości. Terminy upływające po tysiącach czy milionach lat są zastrzeżone dla bogów.

Sensacyjne odkrycie pod świątynią

Spośród wielu artystycznie zdobionych budowli najbardziej tajemnicza jest świątynia Inskrypcji, Templo las Inscripciones. Znajduje się w południowo-zachodnim rogu Pałacu, przed wzgórzem, które archeolodzy uznali za naturalną formację tektoniczną. Mam co do tego pewne wątpliwości. Wzgórze to bowiem jest podzielone na cztery wyraźne tarasy, a na jego szczycie odkryto świątynię i trzy niewielkie skupiska ruin leżące na osi, której przedłużeniem jest równoległe do najniższego stopnia świątyni i kieruje się dokładnie ku zachodniej krawędzi wydłużonego budynku. Pagórek, porośnięty gęstym lasem, zasłania widok od południa. Piramidy Majów stały zaś zawsze w miejscach, z których roztaczał się widok na wszystkie strony świata. Mógł sobie jednak wyobrazić, że w tym naturalnym z pozoru pagórku kryją się niespodzianki archeologiczne.

Świątynia Inskrypcji wznosi się na szczycie szesnastometrowej piramidy składającej się z 9 cokołów. Na górę prowadzą szerokie, strome schody o 60 stopniach - do świątyni jest pięć wejść - każde ma z boku po dwa słupy z niepowtarzalnym stiukowym zdobieniem. W środku znajdują się wspaniałe płyty reliefowe zawierające 617 hieroglifów, stąd nazwa - świątynia Inskrypcji. Tu miała miejsce największa sensacja archeologiczna Mesoameryki.

Tajemnicza grota pod piramidą!

Na kierownika prac wykopaliskowych w Palenque Narodowy Instytut Antropologii i Historii Meksyku wyznaczył dr. Alberta Ruz Lhuilliera, meksykańskiego archeologa urodzonego w Paryżu. Ze względu na porę deszczową prace ograniczały się do czterech miesięcy w roku. Dr Ruz zainteresował się przede wszystkim świątynią Inskrypcji - po pierwsze dlatego, że znajdowała się tak wysoko na spłaszczonym szczycie piramidy, po drugie - że nie była dość dokładnie zbadana przez jego poprzedników.

Ruz pracował od rana do wieczora. Pewnego dnia obserwując przebieg prac w świątyni zauważył w podłodze podłużny ślad - polecił go oczyścić. Ślad okazał się fragmentem zarysu prostokątnej płyty. Po jej przeciwległych stronach znajdowało się dwanaście otworów, jak gdyby krawędź płyty była perforowana. Dr Ruz zbadał ściany pomieszczenia i zwrócił uwagę na fakt, że zagłębiają się one w grunt bardziej, niż należałoby się tego spodziewać - schodzą znacznie poniżej poziomu płyty.

Wystarał się więc o dźwignię. Z początku jego ludzie podnosili ciężką płytę podłogową z trudem, centymetr po centymetrze, dysząc z wysiłku.

Potem jednak przestały im przeszkadzać nawet moskity i duchota. Podnieceni i zaciekawieni próbowali przebić wzrokiem ciemność w pomieszczeniu, które otworzyło się pod ich stopami. Stopniowo zaczęli widzieć kamienie i gruz, potem zarys schodów. Po uprzątnięciu wierzchniej warstwy gruzu ukazało się wejście do piramidy - schod miały polerowane stopnie. Dotknęli ścian, które również były jak wypolerowane. Lecz zwały ziemi i kamienie zagradzały przejście - zasypano je kiedyś z rozmysłem.

Praca była męczarnią. Im niżej schodzili, tym bardziej zbity był gruz, tym cięższe kamienne bloki. Mieli lampę naftową, brakowało jednak tlenu, powietrze robiło się coraz gorsze. W ciasnocie podważano kamień za kamieniem i wydobywano na zewnątrz. Na górę wyciągano mozolnie jedno wiadro gruzu po drugim.

Do końca pierwszego sezonu prac wykopaliskowych odsłonięto 23 stopnie. Dr Ruz był przekonany, że za rok odkryje tajemnicę piramidy. Przypuszczał, że schody prowadzą do jej wnętrza albo że są częścią tajnego połączenia z sąsiednią świątynią.

W trakcie drugiego sezonu wykopaliskowego odsłonięto dalsze 21 stopni. Strome schody biegły w kierunku zachodnim, co potwierdzało hipotezę, że stanowią połączenie z inną świątynią. Ogromną niespodzianką było odsłonięcie w 1950 roku stopnia czterdziestego piątego - trafiono tu na odcinek podłogi, a korytarz zakręcał o 180°. Potem znów zaczęły się schody, prowadzące teraz na wschód - ku środkowi piramidy.

Światło elektryczne ułatwiło pracę. Powietrze jednak zrobiło się nie do zniesienia. Nie było czym oddychać. Jedynym połączeniem ze światem zewnętrznym był nadal otwór w podłodze, który teraz znajdował się 15 m nad miejscem prac.

Rok 1951. Kopano coraz głębiej. W jednej ze ścian otworzył się prostokątny otwór. Usunięto gruz i ludzie mogli odetchnąć. Otwór był wylotem szybu wentylacyjnego biegnącego przez ośmiometrowy mur do zachodniej ściany piramidy. Oddychając teraz świeżym powietrzem archeolodzy odkopali dalsze 13 stopni. Po 66. stopniu otworzył się przed nimi wąski, poziomy korytarz. Kolejny sezon dobiegł końca. Tym razem dr Ruz był przekonany, że w przyszłym roku dotrze do celu: prace toczyły się tylko 3 m nad powierzchnią gruntu - prawie na poziomie podstawy piramidy.

Rok 1952. Następną przeszkodą był mur z kamieni spojonych zaprawą murarską. Po jego rozbiciu ujrzano ścianę z wmurowanym w nią glinianym pojemnikiem, zawierającym: dwa kolczyki, siedem ozdób z jadeitu, trzy małe, malowane gliniane płytki i cudowną perlę o średnicy 13 mm. Czy ściany broniły dostępu do skarbcza?

Ale syzyfowa praca jeszcze się nie skończyła. Spod gruzu odkopano kilka wysokich stopni, ale

potem znów trafiono na ścianę czterometrowej grubości. Praca nad jej pokonaniem pochłonęła cały tydzień. Za ścianą krył się sarkofag, w którym znajdowały się szczątki zmarłych - pięciu mężczyzn i jednej kobiety.

15 czerwca 1952 roku dr Ruz stanął wraz ze swoim zespołem przed kamienną płytą, jakby trójkątnymi drzwiami o podstawie 1,60 m i wysokości 2,45 m. Podważono ją i w szparę szerokości dłoni wsunięto lampę elektryczną. Przycisnąwszy twarz do kamienia Ruz zaczął opisywać towarzyszącym mu osobom rzeczy niewiarygodne:

"Z mglistych mroków wyłoniła się wizja baśniowa, fantastyczna feeria nie z tego świata. Jakby ogromna zaczarowana grota wyrzeźbiona w lodowej bryle, ze ścianami lśniącymi i połyskującymi jak śnieżne kryształy. Delikatne girlandy stalaktytów zwieszały się jak frędzle kotary, a stalagmity na podłodze wyglądały jak zastygły воск z wielkiej świecy. Całość robiła wrażenie opuszczonej kaplicy." [13]

Ściany, na których znajdowały się wielkie reliefy przedstawiające jakieś postacie, lśniły, jakby zrobiono je ze śnieżnych kryształów. Podłogę krypty pokrywała wielka płyta pełna fascynujących hieroglifów.

Kiedy uchylono drzwi na tyle, że dało się wejść do środka, niecierpliwość i ciekawość podnieconych badaczy sprawiła, że z sufitu postrącano stalaktyty.

Gdyby pozostał choć jeden z nich, można by obliczyć, ile lat minęło od chwili, gdy po raz ostatni wchodziło do pomieszczenia! Stalaktyty, czyli nacieki krystaliczne zwisające ze stropu (albo stalagmity, które powstają na gruncie wskutek osadzania węglanu wapnia po wyparowaniu kapiącej wody) rosną w ciągu roku o kilka milimetrów a czasem centymetrów - w przypadku okolicy bogatej w skały wapienne powiększają się oczywiście szybciej niż w okolicy, gdzie dominuje granit. Podziemna krypta odkryta przez dr. Ruzę miała 9 m długości,

4 m szerokości i 7 m wysokości. Przez całe stulecia, całe tysiąclecia w Palenque padały deszcze, przez mury przenikała wilgoć. Od ludzi, którzy powinni się na tym znać, nie otrzymałem niestety odpowiedzi, z jaką szybkością rosną w takich warunkach stalaktyty. Kiedy świątynia tętniła życiem, deszcz nie przenikał zapewne przez mury, bo Majowie dbali o stan budowli obrzędowych. Niestety zaczęło się, gdy odeszli. Odtąd nikt nie zasklepił szczelin w ścianach piramidy, wysiewały się w nich leśne rośliny, których korzenie rozsadały budowlę. W Palenque suma rocznych opadów jest bardzo duża, zresztą cały półwysep Yukatan należy do rejonów najbogatszych w opady - mimo wszystko parę miesięcy w roku jest dość suchych, panują tam wówczas wielkie upały.

Poza tym do budowy piramidy użyto dużych ilości wapienia.

Nie potrafię sobie wyobrazić, żeby geolodzy, meteorolodzy i fizycy nie mogli wspólnymi siłami wyliczyć, o ile milimetrów albo centymetrów powiększałyby się w takich warunkach stalaktyt. Dzięki temu można by datować świątynię Inskrypcji. Może byłoby to punktem zaczepienia dla rozwikłania niepojętych dat chronologii Majów.

Krypta, leżąca na osi północ-południe, znajduje się 18 m poniżej tarasu, na którym stoi świątynia, czyli 2 m poniżej podstawy piramidy. Po stiukowych reliefach znajdujących się na ścianach przeciąga procesja uroczyście przystrojonych kapłanów. Podłogę pokrywa płyta mająca 3,80 m długości, 2,20 m szerokości i 25 cm grubości - zrobiona z ciosu kamiennego wagi około 9 ton.

Pod płytą odkryto sarkofag wagi około dwudziestu ton, w którym znajdował się szkielet mężczyzny. Obok szkieletu znaleziono jadeitowe ozdoby, kolczyki z wyrytymi na nich hieroglifami i naszyjnik z pereł

Z sarkofagu do korytarza prowadziła rurka z gliny. W jakim celu?

Podobno po to, żeby mógł tamtędy ulecieć duch zmarłego. Czy nie mógłby to być równie dobrze rodzaj przewodu, którym wpompowywano trujące pary?

W literaturze fachowej można ostatnio przeczytać, że zmarłym był Pacal, jeden z władców Palenque. Ale hipoteza ta nie jest tak pewna, jak się zdaje.

Istnieją inskrypcje kalendarzowe, odnoszące się wyraźnie do władców rządzących w latach 603-683 po Chr. Pacal zasiadł podobno na tronie mając 12 lat i rządził lat prawie 70. Byłby więc Matuzalemem wśród Majów, których przeciętna długość życia wynosiła zaledwie 35 lat.

Dr Ruz stwierdził, że dat umieszczonych na płycie grobowca "nie można ustalić dokładnie, ponieważ powtarzają się co 52 lata". Zaczęto więc szukać hieroglifów kalendarzowych, które miałyby związek z inskrypcjami odkrytymi w komorze grobowej. Znalaziono je w Pałacu.

Od tego czasu po literaturze fachowej jak widma krążą twierdzenia, że na płycie grobowca odczytano daty 603 oraz 633 r. po Chr. Nie jest to ściśle. W rzeczywistości z inskrypcji na płycie grobowca można wnioskować -jak twierdzi dr Ruz - co najwyżej o cyklach, te zaś wyliczono razem z innymi inskrypcjami kalendarzowymi, znajdującymi się poza świątynią Inskrypcji. Dokładnych wyników nie da się uzyskać także z innego powodu. Nie można ustalać regencji Pacala na lata 603-683 po Chr. i jednocześnie twierdzić, że ostatnia (najpóźniejsza) data, która podobno znajduje się na płycie grobowca, oznacza rok 633 po Chr.!

Czyżby płytę grobowca sporządzono 50 lat przed śmiercią Pacala i opatrzono nieprawdziwą datą jego śmierci? Panowie!

Poza inskrypcjami kalendarzowymi na płycie grobowca znajduje się jeszcze charakterystyczne przedstawienie figuralne. Jeżeli płyta grobowca miałaby stanowić pamiątkę po władcy imieniem Pacal, wówczas w kamieniu byłby wyrzeźbiony jego konterfekt. Nie, powiadają uczeni, to nie jest Pacal, to bóg kukurydzy Yum Kox! [5] Cóż więc naprawdę przedstawia płyta grobowca z Palenque?

Kolejne spotkanie z Palenque

Wiele zmieniło się w Palenque od czasu, kiedy byłem tu ostatni raz w 1965 roku! W Villahermosie powstał nowy port lotniczy, droga łącząca to miasto z Campeche ma wspaniałą asfaltową nawierzchnię. Tam, gdzie jeszcze przed 20 laty rosła tropikalna dżungla, dziś rozciągają się rozległe pastwiska i pola - krajobraz łąki rolniczej. Pacalowi zaś, ostatniemu władcy Indian z Palenque, postawiono przy wjeździe do jego dawnej rezydencji pomnik - kamienna twarz z taką uwagą patrzy w niebo, jakby Pacal chciał jako pierwszy zameldować o powrocie bogów.

Ale Santo Domingo de Palenque pozostało małym, brudnym miasteczkiem, starającym się wyciągnąć od turystów jak najwięcej forsy za pomocą swojej jedynej atrakcji - dyskotek! Wprawdzie tutejsze hotele oferują baseny z wodą "stojącą" ("Las Ruinas") albo "bieżącą" ("Nututun"), ale pozostaje problem podstawowy - czystość kuchni. Zemsta Montezumy dotknie każdego, kto nie będzie sam obierać owoców i jada warzywa nie tylko gotowane, nie unikając przy tym cielęciny, wołowiny i wieprzowiny. Głód można tu zaspokajać jedynie kurczakami z rożna i rybami z rusztu.

Paolo Sutter, mój krajan mieszkający w Palenque od ćwierć wieku, posługuje się sześcioma językami i jest uważany za "najbardziej międzynarodowego" z przewodników. Prowadzimy dyskusję na naj wyższym plateau świątyni Inskrypcji, skąd rozciąga się widok na okolicę okupowaną przez gromady turystów. Zastanawiamy się, skąd przybyli Majowie.

- W zeszłym tygodniu oprowadzałem grupę radzieckich turystów. Rozmawialiśmy na ten sam temat. Gdy w dyskusji przedstawiłem im teorię, wedle której na kontynent amerykański ludzie dotarli

przez zamarznąłą Cieśninę Beringa, Rosjanie wybuchnęli śmiechem. Powiedzieli, że zeszłego roku temperatura w Cieśninie Beringa spadła do minus 61°C, a przed kilku laty było tam nawet minus 74°C. Wszystko zamarzło na kamień, nie mogłyby tamtędy przejść ani istoty dwunożne, ani czworonożne.

Pan Sutter spojrzał na mnie z namysłem i dorzucił:

- Ludzie nigdy nie narażają się dobrowolnie na śmiertelne niebezpieczeństwo, nie idą w śmiercionośne zimno, na dodatek bez jasno wytyczonego celu. Ludzie, którzy przekraczali niegdyś Cieśninę Beringa, nie byli w stanie przewidzieć, gdzie skończy się ich wędrówka. Nie, trzeba wreszcie skończyć z tą bajeczką o migracji przez Cieśninę Beringa! - Tu Paolo Sutter uśmiechnął się chytrze: - Nawet w żartach nie będe wspominał tej teorii. Nie mogę się narażać na śmieszność, wie pan...

- Skąd zatem pańskim zdaniem przybyli Majowie? - spytałem po chwili.

- Z Azji - odparł pan Sutter, jakby było to oczywiste. - Wylądowali na wybrzeżach Oceanu Spokojnego, na terenach dzisiejszej Gwatemali. Następnie przeszli przez góry i w Tikal założyli swoją pierwszą dużą osadę.

- Dlaczego właśnie w Tikal?

Pan Sutter jest przewodnikiem nie byle jakim: ze skórzanej torby przewieszanej przez ramię wyciągnął mapę i rozpostarł ją na ziemi. Było na niej widać koncentryczne kręgi, zakreślone od punktu, w którym leży Tikal.

- Widzi pan! Tikal leży w centrum kultury Majów. Jeżeli igłę cyrkla wbije się w ten punkt i wykreśli okręgi o odpowiednim promieniu, to obejmą one siedliska Majów leżące najbardziej na północ, na południe, na zachód i na wschód. To z Tikal zaczęło się kiedyś rozrastać we wszystkich kierunkach imperium Majów.

Przypomniałem sobie pytanie, jakie zadał mi Julio Chaves w trakcie rozmowy nad dachami Tikal: "Dlaczego właśnie tu, Don Eric?!" Rzeczywiście: Tikal leżało w samym centrum imperium Majów. Ale mimo wszystko twierdzenie Suttera nie było do końca pewne. Jeżeli Tikal zbudowano jako centrum przyszłego imperium, to stąd płynęły instrukcje do całego narodu: tylko tu, tylko tam, tylko w takiej bądź innej odległości wolno się teraz osiedlać. Pota tym przybysze z Azji znalazłyby koło i na pewno zrobiliby tu z niego użytek. Majowie koła nie stosowali.

W trakcie dyskusji obserwowałem potok ciekawskich, którzy tłoczyli się u wejścia do komory grobowej. Oczywiście i ja chciałem jeszcze raz zobaczyć mojego "boga-astronautę". Powietrze w pomieszczeniu było takie jak kiedyś - gorące, duszne, pachnące stęchlizną, za to strome schody prowadzące do szybu piramidy były teraz oświetlone. Kiedy dotarłem na dół, moje rozczarowanie było ogromne. Komorę odgradzono od zwiedzających żelazną kratą, za nią zaś widok zasłaniał jeszcze drut kolczasty i - żeby doprowadzić środki ostrożności do obłędu - wiecznie wilgotna szyba uniemożliwiająca zobaczenie czegokolwiek. Najcenniejszego obiektu Palenque, a zarazem najbardziej interesującej pozostałości po Majach, nie da się już nawet sfotografować.

To zrozumiałe, że taki skarb musi być chroniony przed dotykiem zwiedzających. Podobnie jak gdzie indziej, także tu wystarczyłaby żelazna krata. A może to potrójne zabezpieczenie jest czymś więcej, może chodzi nie tylko o ochronę zabytku? Moją nieufność obudziło pewne spostrzeżenie: Tam, gdzie Indianie sprzedają pamiątki - głowy bogów albo hieroglify wyryte w steatycie - prawdziwym przebojem były przed 19 laty najróżniejszej wielkości repliki płyty sarkofagu. Czyżby odbyła się totalna wyprzedaż tego towaru? Ale nie można nie doceniać sprytu Indian, którzy zaraz postaraliby się o nowe dostawy z rodzinnych warsztatów. W zaułkach Palenque odnalazłem kilku rzemieślników zajmujących się rzeźbą w kamieniu - pracowali sumien nie, wycinali, skrobali,

kopiując detale reliefów według wzorów znajdujących się na stiukowych ścianach miejsca obrzędowego Majów.

Żaden z nich jednak nie wytwarzał reprodukcji płyty sarkofagu! Czyżby - cóż za honor! - trzeba było odgórnie ograniczyć popularność mojej interpretacji tego wizerunku? W Muzeum Antropologicznym w stolicy Meksyku znajduje się wprawdzie replika płyty sarkofagu - ale nie uda się jej sfotografować: nie wolno używać lampy błyskowej, nie wolno również stanąć na stołku, żeby, przycisnąwszy aparat do balustrady, zrobić zdjęcie na czas. Tylko fotograf o umiejętnościach człowieka-gumy da sobie radę w takich warunkach. Powiedziano mi, że jeszcze przed kilku laty w sklepikach hotelowych i pamiątkarskich sprzedawano kamienne imitacje płyty bądź jej wizerunki na kolorowych plakatach. Chcąc się o tym upewnić zaproponowałem jednemu z handlarzy wysoką sumę za replikę. "Tego się już nie robi - brzmiała odpowiedź. Popyt na ten towar był bardzo duży, ale -jak człowiek ten sądzi - ktoś "z góry" dał cynk, że lepiej zaprzestać wytwarzania kopii, ponieważ w ten sposób podsuwa się "masom" głupie myśli. Jeśli to prawda, wówczas ów niebezpieczny, wspaniały zabytek kultury

Majów należałoby jeszcze raz poddać pod dyskusję.

Płyta sarkofagu z Palenque

W mojej pierwszej książce, Wspomnienia z przyszłości [14], z zachwytem opisywałem zdumiewającą istotę, którą przedstawiono w środku płyty w postaci astronauty, jakby siedzącego w pojeździe kosmicznym i obsługującego skomplikowane przyrządy. Wyraziłem wtedy przypuszczenie, że z tyłu postaci wyobrażono strumienie ognia - gazy odrzutowe rakiety.

Reakcja była zdumiewająca. Fachowcy zaniemówili dowiedziawszy się o nonszalanckiej interpretacji laika. Ale gdy książka stała się światowym bestsellerem, gdy na jej podstawie nakręcono film, gdy chmary turystów ruszyły z pielgrzymką do Palenque, żeby ujrzeć mojego "astronaukę", w wieży z kości słoniowej pełnej uczonych zahuczało jak w ulu. Wprawdzie żaden archeolog nie zadał mi pytania, czy nie chciałbym moich heretyckich poglądów uaktualnić bądź podać w wątpliwość - za to w 1973 roku odbył się w Palenque kongres fachowców, na którym wszechwiedzący uczeni w sposób wiążący mieli oświadczyć, co - wedle opinii akademików - przedstawia naprawdę płyta sarkofagu z Palenque. Do ustalenia wiążącej opinii nie doszło. Tylko ja zostałem zdyskwalifikowany.

Minęło prawie 20 lat od opublikowania mojego pierwszego spon tanicznego opisu. Przed dziesięciu laty zrelatywizowałem swój początkowy zachwyty w książce Oto mój świat. Wiele się wówczas nauczyłem

- ale nie dosyć. Nadal widziałem na reliefie istotę wyglądającą jak astronauta, istotę, która przykucnęła wewnątrz jakiegoś bardzo skomplikowanego urządzenia. A dziś?

Dziś znam najważniejszą literaturę dotyczącą płyty sarkofagu z Palenque, wiem, co znaczą poszczególne hieroglify, zajmowałem się od podstaw kalendarzem Majów i próbowałem - by the way, jak mówią Amerykanie - "wczuć" się w świat tablic z wyrytymi na nich napisami. W końcu zauważyłem, że interpretacje archeologiczne są oparte na bardzo niepewnych podstawach.

Bez wątplenia na płycie sarkofagu z Palenque znajdują się hieroglify i wizerunki, znane także z innych ośrodków Majów - przedstawiające ptaka quetzala (dziś godło Gwatemali) oraz tak zwany Krzyż Życia.

Aby uznać, że na głowie siedzącej postaci znajduje się ptak quetzal, trzeba mieć specjalne okulary, jakich używają tylko archeolodzy. Krzyż

Życia natomiast jest określany raz jako Drzewo Życia, innym razem jako Krzyż Wszechświata Podzielonego Na Czwo. Wynik każdej interpretacji zależy w istocie od tego, jaką reprezentuje się szkołę, w której oczywiście obowiązuje teoria najważniejszego profesora.

Wszystkie te szkoły zgadzają się tylko co do jednego - że nie da się odczytać większej części napisu biegnącego wzdłuż brzegu płyty sarkofagu i otaczającej ją na bocznej krawędzi. Dotychczas odcyfrowano jedynie niektóre hieroglify - oznaczające daty oraz astronomiczne znaki Wenus, Słońca, Gwiazdy Polarnej i Księżyca. Na samą myśl, jakie fantastyczne rzeczy wypisywano na temat siedzącej postaci, człowiekowi stają dęba wszystkie "włosy w brodzie boga burzy"!

Przeciwko hipotezie, że chodzi tu o Yuma Koxa, boga kukurydzy wypowiada się Marcel Brion:

"W centrum płyty wyrzeźbiono postać człowieka, być może jest to portret zmarłego. Postać, przystrojona ozdobami i mocno odchyłona do tyłu, spoczywa na wielkiej masce przedstawiającej boga ziemi, śmierć." [5]

Pierre Ivanoff widzi wszystko zupełnie inaczej:

"Symboliczne znaczenie tego dziwnego wizerunku... stawia kilka zagadek. Bóg śmierci jest według wierzeń Majów dzięki swoim związkom z królestwem podziemi, również bogiem płodnej ziemi. Mężczyzna nad nim wyobraża swoją sprężystą postawą powstawanie życia. Jego twarz przypomina twarz boga kukurydzy, mógłby więc być inkarnacją przyrody budzącej się do życia. Autorytet i władzę uprzedmiotawia obrzędowa buława wszechświata podzielonego na czwo, krzyż, który jest zarazem odbiciem świata czasu i zmiany władzy. Ptak moan wreszcie symbolizuje śmierć." [6]

Miloslav Stingl z kolei ma na nosie zupełnie inne okulary. Oto jego interpretacja:

"[...] rozpoznaję postać młodego mężczyzny; prawdopodobnie nie jest to portret jakiejś konkretnej osoby, ale symbol człowieka - rodzaju ludzkiego. Z jego ciała wyrasta krzyż, który [...] był symbolem życiodajnej kukurydzy. Z liści kukurydzy po obu stronach wyłaniają się dwugłowe żmije. [...] Z ciała młodzieńca wyrasta życie, on sam jednak spoczywa na twarzy śmierci: na potwornej głowie fantastycznego zwierzęcia, z którego paszczy wyrastają ostre kły." [9]

Dr Alberto Ruz Lhuillier ujrzał:

"[...] młodego mężczyznę, opierającego się o wielką maskę potwora ziemi... nad nim stoi krzyż, identyczny ze słynnym krzyżem innej świątyni w Palenque. Z dwugłowego węża wypadają niewielkie mitologiczne postacie, a wśród nich ptak quetzal z maską boga deszczu. Możemy przyjąć, że scena oddaje podstawowe założenia religii Majów..." [13]

W najnowszych publikacjach na ten temat dominuje pogląd, że chodzi jednak o kapłana bądź księcia Majów, możliwe, że o Pacala

- w każdym razie o postać, wpadającą w rozwartą paszczę potwora.

Tym zaś, co w swojej naiwności opisałem kiedyś jako strumienie ognia - jest w rzeczywistości "wyraźnie rozpoznawalny potwór ziemi" [16].

Jeszcze dziś pójdę do okulisty, ale powinien mi towarzyszyć Paul Rivet, słynny archeolog, który w tej właśnie części reliefu widzi "stylizowane włosy brody boga burzy"!

Po przedstawieniu paru próbek bełkotu naukowców jeszcze raz chciałbym poddać pod dyskusję problem płyty sarkofagu z Palenque. Ponieważ nie da się jej już sfotografować, ośmielę się przedstawić tę osobliwość na przykładzie wiernej repliki w kamieniu, którą przed paru laty sporządził dla mnie, poświęcając na to wiele miesięcy pracy, pewien Indianin z Palenque.

Nie twierdzą, że płyta sarkofagu przedstawia pojazd kosmiczny w sposób technicznie

doskonały. Mogę tu rozpoznać pochyloną do przodu istotę ludzką w skomplikowanym nakryciu głowy, przywodzącym na myśl jakieś urządzenie techniczne, z którego biegną do tyłu podwójne przewody - wedle zdania archeologów jest to tylko ozdoba fryzury. Istota dotyka niemal nosem jakiegoś urządzenia, przy którym manipuluje obiema rękami (poruszając jakieś gałki czy przełączniki) - zdaniem archeologów istota siedzi pod "krzyżem życia". Zarzucano mi, że wrażenie, iż jest to rakieta, mogłem odnieść tylko wówczas, jeżeli obserwowałem płytę w położeniu pionowym, a tak robić nie wolno. Pionowe ustawienie wizerunku bardzo mi odpowiada, bo płomienie wytryskują z dolnej części (spod pojazdu kosmicznego), co jest normalne w przypadku raket wzbijających się w niebo. Nigdzie nie udało mi się niestety odkryć ani "potwora ziemi", ani nawet "ptaka quetzala".

Można założyć, że mądry kapłan Majów chciał pozostawić potomności wizerunek przedstawiający odwiedzinę istoty pozaziemskiej, która z jego punktu widzenia była bogiem. Pobożny ów człowiek nie znał się oczywiście na skomplikowanej technice, tym bardziej na jednoosobowych lądownikach, jakimi nieznaną istotą poruszała się między Ziemią a macierzystym statkiem kosmicznym. Kapłanowi, człowiekowi z epoki kamiennej, wszystko, co ujrzał, wryło się w pamięć. Następnie przeniósł to na zagadkowy dziś relief i objaśnił w jedynym znanym mu piśmie, w piśmie hieroglificznym. Dlatego nie widzę nic niezrozumiałego w fakcie, że na płycie sarkofagu obok naiwnej kompozycji z elementów technicznych pojawiają się symbole astronomiczne. Dr Alberto Ruz widzi we fryzie, w którego środku siedzi istota, "kosmiczną ramę, otaczającą egzystencję ludzką, w której gwiazdy panują nad niezmiennym upływem czasu".

Zarzucano mi niepoohamowaną fantazję. Trzeba mieć jednak fantazję znacznie bardziej wybujałą, aby zamiast ukazanych w uproszczony sposób elementów techniki widzieć tu półwora ziemi, monstrum, kolby kukurydzy, stylizowane włosy brody boga burzy i ptaka quetzala.

Strojenie "wiedzy" banialukami, które na kilometr trąca nie nauką, lecz bezradnością, nie przybliży nam prawdziwego znaczenia tego wizerunku ani o włos z brody boga burzy.

To zdumiewiające, słyszę, że w Palenque - jedynym z największych i najstarszych ośrodków obrzędowych Majów - nie odkryto stel, których w innych miejscach jest pełno. Wcale mnie to nie dziwi. W Tikal i Copan stele - symbole boskości - przyznawano rodzinom władców i kapłanów. Oznaczały one boską władzę. Ale w Palenque-Palatquapi bogowie byli obecni, mieszkańcy tego miasta widywali ich codziennie na uniwersytecie. Nikt nie potrzebował stel reprezentujących bogów.

Albert Einstein napisał:

"Większość podstawowych idei nauki jest sama w sobie bardzo prosta i można je przekazać w języku zrozumiałym dla każdego."

Po wszystkim, co powiedziano dotychczas na temat Palenque, można tylko mieć nadzieję, że kiedyś pojawią się interpretacje sformułowane w języku zrozumiałym dla każdego. Jeśli nie, to z wypowiedzi Einsteina będzie trzeba wysnuć wniosek odwrotny - że nie chodzi tu o podstawowe idee nauki. Któż bowiem zrozumie ten język - mętny i zagmatwany?

Paolo Sutter powiedział mi, że przy zastosowaniu najnowocześniejszej techniki pod inną piramidą wykryto następny grób i że zapewne będzie to kolejna sensacja.

- Dlaczego nie próbowano tam dotrzeć?

- W Meksyku na wszystko musi nadejść właściwy czas, a poza tym nikt nie ma pieniędzy. Jeśli uniwersytet albo mecenas da, powiedzmy, 100 tysięcy dolarów na prace wykopaliskowe, to tutaj dotrze najwyżej 10 tysięcy! Widzi pan, Meksykanie mają taką dziwną metodę liczenia pieniędzy: 6 razy 4 równa się 24. Zapisz 4, a 20 zachowaj dla siebie! Podróże kształcą! Poza tym dowiedziałem

się, że w Meksyku wcale nie tak łatwo przeforsować rozpoczęcie prac archeologicznych, nawet jeśli się ma dość pieniędzy.

Parlament liczy się ze zdaniem Indian -jeżeli nie mają ochoty, żeby grzebano w którejś z ich historycznych świętości, to prace wykopaliskowe nie dojdą do skutku. Archeolodzy chętnie rozpoczęliby prace w Palenque, Chichen-Itza i innych ośrodkach kultury Majów - ich starania jednak kończą się często niepowodzeniem ze względu na opór miejscowych Indian, którzy chronią swoje świętości - a mają wiele, wiele czasu. Jeżeli jednak rozpocznie się działalność archeologiczną, to pracują tam wyłącznie robotnicy indiańscy.

Kosmiczny rasizm

Amerykański archeolog W. Rathje napadł na mnie, pisząc, że "dyskwalifikowanie osiągnięć Majów" przez pana von Dänikena oraz "jego jednoznaczna deklaracja przyznająca najwybitniejsze duchowe i techniczne umiejętności panom z Kosmosu jest nową formą rasizmu - rasizmu kosmicznego" [17].

Stosując tę samą metodę można by odpowiedzieć, że jest to perfidna faszystowska enuncjacja. Lepiej zacytuję więc jedną z sentencji Ludwiga Tiecka (1773-1853): "Przyjąłem zasadę, żeby działać według własnych zasad, nie troszcząc się o to, w jakim mnie to postawi świat i czy nie będzie źle zrozumiane."

Ale do rzeczy.

Nigdy by mi nawet przez myśl nie przeszło dyskredytować wspaniałe osiągnięcia Majów, bo przecież to właśnie oni - nie "panowie z Kosmosu" - zbudowali te wspaniałe świątynie i piramidy! Nigdy nie kwestionowałem osiągnięć tego ludu, lecz w niczym nie zmieni to mojego mniemania, że to istoty z Kosmosu były nauczycielami i doradcami Majów albo ich przodków. Tego, co przypisuje mi archeolog Rathje, nie uda się znaleźć w żadnej z moich książek, a i ja sam nigdy tego nie powiedziałem. Z pewnością należę do najpilniejszych i najuważniejszych czytelników książek archeologicznych i z całą pewnością rację ma zuryskie czasopismo "Weltwoche": "Gdziekolwiek wykopaliska archeologiczne zapowiadają powiększenie się stanu naszej wiedzy, tam obecny jest Erich von Daniken". Całym sercem byłbym po stronie archeologów, gdyby tylko zechcieli trochę szybciej i trochę odważniej pokonywać przeszkody z tradycyjnych sądów i gdyby ich interpretacje wykroczyły poza ogólnie przyjęty punkt widzenia naszej współczesności, słabo rozwiniętej technicznie.

Dopóki jednak archeolodzy będą się tylko dziwić, to szkoda czasu i atlasu. Linda Schele, która jest profesorem na Uniwersytecie Stanowym Alabama, przypuszcza, że w świątyni Inskrypcji kryje się jakiś "cud"! Zauważyła mianowicie, że w dniu przesilenia zimowego, słońce zachodzi dokładnie "w" świątyni Inskrypcji i że jest to widok, jaki w odwrotnej fazie powtarza się pierwszego dnia wiosny - kiedy to słońce wznosi się "ze" świątyni Inskrypcji. Całe to widowisko najlepiej obserwować z dachu świątyni Słońca, leżącej na wschód od świątyni Inskrypcji. [18] Jeżeli się o tym wie, wówczas będzie zrozumiałe, że usytuowanie tych budowli nie jest przypadkowe - prowadzi to także do wniosku, że sarkofag o wadze dwudziestu ton i dziewięciotonową płytę umieszczono w określonym położeniu "przed" wzniesieniem piramidy. Dlatego płyta sarkofagu po wsze czasy pozostanie na swoim miejscu

- nijak nie uda się jej wynieść po stromych i wąskich schodach.

Najpierw zatem był grób (świątynia?) księcia, kapłana albo Kaczyny

- może krypta istniała na setki lat przed zbudowaniem nad nią piramidy. Nieważne, kiedy ją zbudowano - istotne jest, że wzniesiono ją według planu i zorientowano astronomicznie - co wiązało się z powrotem bogów. Trochę za wiele jak na lud epoki kamiennej, który poza wymienionymi już obliczeniami astronomicznymi dysponował danymi o Płejadach i niepojętych gwiazdnych bogach. Właśnie o nich mówi Ksigga Kapłanów Jaguara:

"Zstąpili z drogi gwiazd...

Mówili magicznym językiem gwiazd nieba...

Tak, ich znakiem jest nasza pewność, że przybyli z nieba... Kiedy znów zstąpią, trzynastu bogów i dziewięciu bogów, uporządkują znowu, co niegdyś stworzyli." [19]

Aneks

Olmekowie

- lud, który w czasach preklasycznych mieszkał w Meksyku na terenach dzisiejszych stanów Veracruz i Tabasco. Olmeków uważa się za przedstawicieli pierwszej wysoko rozwiniętej kultury Nowego Świata, której okres rozkwitu przypada na początki pierwszego tysiąclecia prz. Chr., koniec zaś datuje się mniej więcej na koniec 400 r. prz. Chr. Można powiedzieć, że Olmekowie byli ojcami kultury Majów.

Majowie

- grupa złożona z wielu plemion, najwybitniejszy cywilizowany lud staroamerykański. Osiedlali się na terenach dzisiejszej Gwatemali, na półwyspie Jukatan, w części obecnych meksykańskich stanów Tabasco i Chiapas, w Belize i na części obszarów obecnego Hondurasu i Salwadoru. Pochodzenie Majów nie zostało wyjaśnione. Archeologia w następujący sposób klasyfikuje historię Majów:

wczesny okres preklasyczny - 2000-1200 r. prz. Chr.

średni okres preklasyczny -1200-400 r. prz. Chr. (W tych okresach powstały najstarsze ośrodki obrzędowe Majów.)

późny okres preklasyczny - 400 r. prz.Chr.-300 r. po Chr.

wczesny okres klasyczny - 300-600 r. po Chr.

późny okres klasyczny - 600-900 r. po Chr. wczesny okres postklasyczny - 900-1200 r. po Chr.

późny okres postklasyczny -1200-1520 r. po Chr. (przybycie Hiszpanów).

Aztekowie

- indiański lud, który osiedlał się przede wszystkim na Wyżynie Meksykańskiej. Około 1345 r. po Chr. w miejscu, gdzie dzisiaj znajduje się miasto Meksyk, założyli swoją stolicę - Tenochtitlan. Sto lat później władza Azteków sięgała do wybrzeży Zatoki Meksykańskiej, około 1510 r. nawet od jej wybrzeży do Oceanu Spokojnego i Gwatemali. Aztekowie byli ludem wojowniczym i praktykowali składanie ofiar z ludzi. W 1521 roku Cortes zadał im druzgocącą klęskę.

Teotihuakanie

- byli budowniczymi Teotihuacan, ogromnego zespołu urbanistycznego znajdującego się 48 km na północny wschód od obecnej stolicy Meksyku. Nie wiadomo skąd Teotihuakanie przybyli ani kim byli.

Mezoameryka

- jest pojęciem z pogranicza kultury i geografii wprowadzonym w 1943 roku przez archeologa P. Kirchhoffa. Mezoameryka obejmuje imperium Majów - i ich poprzedników - oraz Azteków.

Przypisy:

I. Cudowna podróż w epokę kamienną

1. Diego Garcia de Palacio, Carta dirigida al Rey de Espada, Honduras i San Salvador 1576.
2. Rafael Girard, Dße ewigen Mayas - Geschichte und Zivilisation, Zurich 1969.
3. Richard E.W. Adams, Ancient Maya Canals, "Archeology", v. 35, nr 6, 1982.
4. John L. Stephens, Incidents of Tarvel in Cenral America, Chiapas and Yucatan, New York 1969.

II. Początek końca

1. Frederic V. Grunfeld (wyd.), Spiele der Welt - Tlachtli, Szwajcarski Komitet UNICEF, Zurich b.d. Zob. też Kronikarze kultur prekolumbijskich, przeł. Maria Sten, Kraków 1988, s. 76 i 272.
2. Diego de Landa, Relación de las cosas de Yucatan, 1566
Diego de Landa, Yucatan before and after the Conquest, translated by William Gates, New York 1978.
3. Bernal Diaz del Castillo, Historia verdadera de la Conquista de la Nueva España, Mexico 1969.
4. Wilfried Westphal, Die Maya - Volk im Schatten seiner Vdter, Munchen 1977.
5. William H. Prescott, History ofthe Conquest of Mexico, Paris 1844.
William H. Prescott, Geschichte der Eroberung von Mexico, t. 1. i 2., Leipzig 1845.
6. Der große Brockhaus, Wiesbaden 1953.
7. C. W. Ceram, Bogowie, groby i uczeni, przeł. Jerzy Nowacki, Warszawa 1987 (I wyd. polskie 1958), s. 316 n.
8. Walter Lehmann, Die Geschichte der Königreiche von Colhuacan und Mexico, Stuttgart/Berlin 1938.
9. Irene Nicholson, Mexican and Central American Mythology, London/New York 1967.
10. Pierre Honore, Ich fand den Weißen Gott, Frankfurt a.M. 1965.
11. Wilfried Westphal, Die Maya - Vofk im Schatten seiner Väter, Munchen 1977.

III. Dzicy, biali, cudowne księgi

1. Rafael Girard, Die ewigen Mayas - Geschichte und Zivilisation, Zurich 1969.
2. Brian M. Fagan, Die vergrabene Sonne, München 1979.

3. Antoon Leon Vollemaere, *The Maya Year of 365 Days in the Codices*, Mechelen (Belgia) 1973.
4. Diego de Landa, *Relación de las cosas de Yucatan*, 1566.
Diego de Landa, *Yucatan before and after the Conquest*, translated by William Gates, New York 1978
5. Jose de Acosta, *Historia natural y moral de los Indios*, t.4., Sewilla 1590.
6. Helmut Deckert, *Maya Handsehrift der sachsisehen Landesbibliothek Dresden*, Codex Drcsdensis, Berlin 1962.
7. Ferdinand Anders, *Codex Tro-Cortesianus (Codex Madrid)*, Graz 1967.
8. Günter Zimmermann, *Die Hieroglyphen der Maya-Handsehriften*, Hamburg 1956.
9. George E. Stuart, *The Maya, Riddle of the Glyphs*, "National Geographic", v.148, nr 6, 1975.
10. Harald Steinert, *Die Schrift der Maya wird entsehleiert*, "Die Welt" z 14 VIII 1978.
11. *Maya-Hieroglyphen entsehlusselt*, "Bremer Nachrichten" z 4 II 1976.
12. Thomas Barthel, *Die gegenwärtige Situation in der Erforschung der Maya-Schrift*, (w:) *Proceeding of the thirty-second International Congress of Americarrists*.
13. Thomas Barthel, *Muyahieroglyphen*, "Bild der Wissenschaft", z. 6, 1967. 14. Herbert Wilhelmy, *Welt und Umwelt der Maya*, München 1981.
15. Arnost Dittrich *Der Planet Venus und seine Behandlung im Dresdener Maya-Kodex*, (w:) *Sonderausgabe aus den Sitzungsberichten der Preußisehen Akademie der Wissenschaften Phys.-math. Klasse*, XXIV, 1937.
16. Ernst Förstemann, *Die Astronomie der Mayas*, "Das Weltall" z 1 VII 1904. 17. Robert W. Willson, *Astronomical Notes on the Maya-Codices*, Papers of the Peabody Museum of American Areheology and Ethnology, Harvard University, v. VI, nr 3, Cambridge/Mass. 1924.
18. B.a., *God and Science: Survey findings show pupil doubts*, "Malvern Gazette", z 14 IV 1983. *Schoolboys air their religious beliefs*, "Church Times" z 8 IV 1983.
19. David Whitehouse, *A decade (and more!) of pseudo-science*, "New Scientist", z 7 IV 1983.
20. *Weltraumatlas*, Bern 1970.
21. Michael Rowan-Robinson, *Mahan astronomy*, "New Seientist" z 18 X 1979. 22. Sylvanus Griswold Morley, *La Civilicación Maya*, Mexico 1947.
Sylvanus Griswold Morley, *The ancient Maya*, Stanford 1946.
23. John Eric S. Thompson, *Die Maya - Aufstieg und Niedergang einer Indianerkultur*. München 1968.
24. Robert Henseling, *Das Alter der Maya-Astronomie und die Oktaeris*, "Forschungen und Fortschritte, Nachrichtenblatt der deutschehen Wissenschaft und Technik", Berlin, r.25., z. 3/4, 1949.